

Frankfurt nad Menem, lotnisko

Gdybym powiedział matce, że chcę jechać do Pakistanu, toby mi nie pozwoliła. Zabroniłaby mi, chociaż miałem już dziewiętnaście lat.

Jak się z nią pożegnać, by nie wyglądało to na pożegnanie? Powiem jej, że bolą mnie plecy, i poproszę, by mnie po-masowała, a potem obejmę ją, żeby jej podziękować. I w ten sposób ją pożegnám.

Poszedłem na górę i jeszcze będąc na schodach, powiedziałem:

- Mamo, bolą mnie plecy. Czy możesz mnie pomasa-
wać?

-Jest już późno - odparła. -Jutro zrobię ci masaż. Stałem na schodach, matka była już w sypialni. W ciemności nawet jej nie widziałem.

- *Salam alejkum* - powiedziałem.

-*Alejkum salam* - odrzekła.

Wtedy widziałem ją ostatni raz.

Do dwudziestego piątego roku życia.

Byłem spakowany: paszport, wiza, bilet. Selcuk miał na mnie czekać w samochodzie. W południe odlatywał mój samolot z Frankfurtu.

Chciałem pożegnać się też z braćmi, ale ich także nie mogłem tak po prostu objąć. Dawniej Ali zawsze prosił, żebym kładł się obok niego, gdy szedł spać. Zadawał mi wtedy różne pytania, dopóki nie zmorzył go sen. Oznajmiłem więc:

-Ali, kładę się z tobą, pogadamy jeszcze chwilę.

Zanim zasnął, powiedziałem, że pójdę na chwilę do swojego pokoju. Pocałowałem Alego, a następnie naszego maleńkiego braciszka Alpera.

Potem zgasilem światło.

Na lotnisku byłem niespokojny. Chciałem powiedzieć matce, że wrócę za parę tygodni i żeby się o mnie nie martwiła. O dziesiątej rano zadzwoniłem do niej z automatu.

- Gdzie jesteś? - spytała.

Wiedziała już, że wyjechałem.

-Jestem w innym mieście... Nie w Bremie. Przez jakiś czas będę teraz w podróży, ale niedługo wrócę! Nie martw się...

Zaczęła płakać.

•Dokąd jedziesz? Wracaj natychmiast! - powiedziała.

•Wyjeżdżam tylko na kilka tygodni, nie płacz.

Mama nie przestawała jednak płakać, a ja musiałem kończyć, żeby nie spóźnić się na samolot. Nie mogłem jej przecież powiedzieć, że lecę do Pakistanu.

Nie pozwoliłaby mi.

I dobrze by zrobiła.

Peszawar, Pakistan

Nigdy nie zapomnę tego dnia. Był pierwszy grudnia 2001 roku. Miałem wracać samolotem z Peshawaru do Niemiec. Mój przyjaciel Mohammad pomógł mi spakować prezenty do torby podróżnej. W meczecie pożegnałem się z tablighami* i pojechaliśmy na lotnisko w Peshawarze.

- Cieszysz się? Jutro będziesz znowu w domu, z matką - powiedział jeszcze w autobusie Mohammad.

Miałem ze sobą plecak z rzeczami oraz przypiętą do paska małą torebkę na

pieniądze i dokumenty. Moją torbę podróżną niósł Mohammad. Odprowadzał mnie, gdyż bilet powrotny do Niemiec miałem właściwie z Karaczi, a on chciał załatwić, bym mógł lecieć z Peszawaru. Miał powiedzieć, że chcę być w Niemczech, zanim moja żona przyleci z Turcji do Bremy.

Znowu mam na sobie lśniący płaszcz od Hugo Bossa. Całą podróż przeleżał w torbie, bo było bardzo gorąco. Myślałem, że tutaj, podobnie jak w Niemczech, jest jesień. Zabrałem więc ze sobą ciepłą odzież. Chciałem elegancko wyglądać w drodze do szkoły koranicznej i podczas spacerów po mieście.

W dniu przylotu do Karaczi, trzeciego października, miałem więc na sobie wełniany sweter i płaszcz. Tymczasem

było tam tak gorąco jak u nas latem. Nosilem więc głównie podkoszulki i buty traperki firmy KangaRoos. Później, w Guantanamo, Niemcy zarzucali mi, że noszę wojskowe obuwie.

Dla rodziców kupiłem słodycze: pięknie opakowane, prawdziwe dzieła sztuki. Właściwie są zbyt drogie, by je ot tak, po prostu zjeść. Dla Alpera, mojego braciszka, mam ręcznie robioną drewnianą zabawkę - grę zręcznościową z kołami i drzewkiem. Sobie kupiłem parę rękawic na rower z bardzo porządnej skóry. Ileż musiałbym za podobne zapłacić w Bremie! Dla mamy wziąłem jeszcze naszyjnik ręcznej roboty z drewna, skóry i niebieskich kamieni - *lapis lazuli*.

Autobus pomalowany jest w kolorowe wzory, obwieszony dzwoneczkami i czerwonymi oraz żółtymi światełkami. Jarzy się jak dyskoteka. W Pakistanie wszystkie autobusy tak wyglądają. Jest to niewielki busik z

przesuwanymi drzwiami. Jedzie nim jakieś dziesięć osób, więcej pewnie by się zresztą nie zmieściło. Mohammad siedzi tuż przede mną. Dwaj inni mężczyźni natychmiast zajęli miejsca obok niego, więc ja usiadłem z tyłu.

Zbliżamy się do punktu kontroli. Gdy wędrowaliśmy z Mohammadem i innymi tablighami od meczetu do meczetu, przez takie punkty kontrolne przeprawialiśmy się już jakieś cztery, pięć razy. Spotyka się je w całym kraju. To w Pakistanie zupełnie normalne.

Taki punkt kontrolny to budka strażnicza i jeden lub dwóch policjantów. Mają sznur przymocowany po drugiej stronie drogi do jakiegoś domu lub słupa. Policjant siedzi na krześle i popija herbatę, a gdy chce kogoś zatrzymać, pociąga za sznur, napina go, i jadący musi stanąć. Kiedy nie ma ochoty nikogo kontrolować, sznur leży po prostu na ziemi i wszyscy po nim przejeżdżają. Czasami policjanci napinają sznur, zaglądną przez okna do autobusów i każą jechać dalej. Mnie nigdy nie kontrolowali.

Policjant podnosi sznur i napina go. Dzwoneczki na autobusie podzwaniają, kierowca zatrzymuje pojazd. Za nami tworzy się korek. Policjant stoi obok swojego siedziska i zagląda przez szybę do naszego busa. Jego wzrok pada na mnie: wyglądam inaczej niż pozostali pasażerowie i moja jasna karnacja natychmiast rzuca mu się w oczy. Stuka w okno i mówi coś do mnie. Mohammad opuszcza szybę i odpowiada mu. Nie wiem, co powiedział policjantowi.

Policjant raz jeszcze zwraca się do mnie. Odpowiadam po niemiecku: „Nie mówię w pana języku”.

Naturalnie nie zrozumiał mnie. Żąda moich dokumentów, w każdym razie tak mi się wydaje. Wyciągam je z saszetki przy pasku i podaję mu. Mówi coś i

daje mi do zrozumienia, że powinienem wysiąść. Biorę plecak, przepycham się przez zatłoczony autobus i wysiadam. Samochody za nami zaczynają trąbić.

Mohammad także chce wysiąść, ale nie zdąża dojść do drzwi, bo wszyscy podróżni trzymają bagaż na kolanach. Policjant daje kierowcy znak, że ma jechać dalej. Zatrząskuje drzwi, Mohammad zostaje w środku.

Nie zobaczyłem go już więcej.

Mohammada spotkałem przed kilkoma tygodniami w Islama-badzie, kiedy chciałem się przyłączyć do grupy tablighów. Tablighowie są uczniami szkół koranicznych wędrującymi od meczetu do meczetu, by modlić się i uczyć. Ja znałem tylko parę angielskich słów, Mohammad był ode mnie kilka lat starszy i bardzo dobrze mówił po angielsku. Był Pakistańczykiem, a Pakistan znajdował się wcześniej pod rządami Brytyjczyków. Mówił trochę po turecku, więc służył mi za tłumacza, wiele mi objaśniał. Był ze mną aż do chwili zatrzymania mnie w Peszawarze.

Nazwa Peszawar ma indyjskie korzenie i oznacza „miasto kwiatów”, mówił Mohammad. Zafascynowało mnie to: takie stare miasto, tyle widziało. Było tu wielu znamienitych ludzi, między innymi Aleksander Wielki. Przed tysiącem lat do Peszawaru przybyli arabscy muzułmanie, przynosząc ze sobą objawienia Allacha.

Mohammad z dumą przedstawiał mnie imamom w meczetach: Murat jest Niemcem. Jest też Turkiem, jak nasi praojcowie, mówił. Oni, Pasztuni, przyjęli islam, zakładali parki i ogrody, sadzili palmy i kwiaty.

Meczet, w którym ostatnio nocowaliśmy razem z innymi tablighami, był jednym z największych w Peszawarze. Zmieściłyby się w nim wszystkie meczety Bremy. Pomieszczenia dla studiujących Koran znajdowały się wokół otwartego wewnętrznego dziedzińca; tu także wszędzie rosły

kwiaty. Minarety pięły się wysoko ku niebu. Gdy klęczałem na dywanach sali modlitw, byłem oszołomiony liczbą oraz pięknem ornamentów na ścianach i w kopule. Mohammad opowiadał mi, że przed stu laty na bazarze przed meczetem wybuchł wielki pożar. Jego płomień nie zniszczył jednak samej świątyni, gdyż modlili się w niej zgromadzeni wierni. Ochronił ich Allah.

Wcześniej odwiedzaliśmy różne meczety w Islamabadzie. Wszystko robiliśmy tam razem. Codziennie braliśmy udział w zajęciach szkoły koranicznej. Uczyliśmy się, jak czytać Koran, jak należy go rozumieć, jak trzeba się modlić. Była też nauka hadisów - poznawaliśmy słowa proroka Mahometa, które przetrwały w tradycji ustnej. Dowiadaliśmy się, jak powinniśmy się zachowywać jako tablighowie oraz w jaki sposób należy pomagać innym. W przerwach między lekcjami były wspólne posiłki, dwa w ciągu dnia. Chodziliśmy na zakupy i zawsze dochodziło do sporów, kto ma zapłacić.

To zupełnie normalne, że człowiek śpi w jakimś meczecie, potem przez cały dzień uczy się w innych świątyniach, że odwiedza innych tablighów i pije z nimi herbatę.

Na ulicach i bazarach Peszawaru było tłoczno, duszno i gorąco. Cuchnęło spalinami i rozkładającymi się odpadkami. Ustawicznie trąbili kierowcy taksówek i jasnoniebieskich motorowerowych riksów, wyglądających jak małe trójkołowe ciężarówki z jednym reflektorem. Panował tam straszny ścisk i kompletny chaos. Czego tam nie było: samochody i konie, osły i przeładowane ciężarówki, piesi, rowerzyści przewożący lodówki lub sofy. I całe mnóstwo przybyszów zewsząd: z Indii, Afganistanu, z Chin i Kaszmiru.

Jeźdnie oznakowane były podobnie jak w Bremie, ale tu nikt się do tych znaków nie stosował. W ogólnym chaosie każdy jechał, którydy chciał. Taksówki, motorowery oraz riksze wjeżdżały po prostu w tłum i trzeba było w okamgnieniu usuwać się im z drogi.

Ostatniego dnia przed wyjazdem przemierzałem bazary, by kupić prezenty dla rodziny. Te bazary przypominały targowiska lub październikowy festiwal piwa w Niemczech, tyle że były bardziej kolorowe i zwariowane. Byli tam złotnicy i wytwórcy srebrnej biżuterii, kramy z przyprawami i mięsem, sprzedawcy kobierców, garncarze, stoiska z elektroniką i telefonami komórkowymi, sprzętem fotograficznym, podrabianymi butami Nike, fałszywymi roleksami i podróbkami markowych kurtek. Handlowano tu wszystkim, czego dusza zapragnie.

Był tam nawet rynek opowiadaczy oraz pokazy egzotycznych zwierząt i jadowitych węży. Czegoś takiego nie oglądałem nawet w telewizji: zaklinacz ułożył w krąg linę i wszedł do stworzonego w ten sposób koła. Wokół niego stało wiele przykrytych koszy. Podnosił pokrywy, a z koszy wysuwały się ku górze rozmaite węże: kobry, żmije, najbardziej jadowite gady o krzykliwych barwach. Zaklinacz zamknął oczy, uderzał zwierzęta w głowy, ale nie czynił im krzywdy, tylko się z nimi bawił. A wszystko to odbywało się pośrodku ulicy. Kto chciał, dawał mu pieniądze.

Najbardziej fascynowały mnie liczne pokazy ninja i kung--fu. Pakistan graniczy z Chinami i jest tam mnóstwo dobrych trenerów. Szkoły ninja i kung-fu są bardzo rozpowszechnione. Razem z Mohammadem często przyglądaliśmy się wojownikom ninja. Podziwialiśmy, jak rzucają nożami, w jaki sposób walczą. W Pakistanie nie ma ograniczeń w pokazywaniu takich rzeczy. Każdy może żyć, jak chce. Ta wolność bardzo mi przypadła

do gustu.

Tak było aż do owego pamiętnego dnia, kiedy autobusem jechałem na lotnisko.

Mam wejść do budki, policjant dwa razy uczynił ruch głową, żebym zrozumiał. Wskazał palcem pozbawione drzwi wejście.

W porządku, chcąc skontrolować wizę i paszport, pomyślałem. Mohammad z pewnością będzie na mnie czekał na zewnątrz. I zaraz pojedziemy dalej.

Jest to niski budynek. Wchodzę do pokoiku, w którym na podłodze leżą dywany, jak w meczecie. Pomieszczenie jest całkiem puste, z sufitu zwisa goła żarówka. Nie ma żadnych biurków, tylko jeden drewniany stół w rogu, przy którym można pić herbatę. Policjant próbuje ze mną rozmawiać, ale to niemożliwe. Nie rozumiemy się. Pokazuje na migi, że zaraz wróci.

Za chwilę pojawia się inny policjant, zapewne szef poprzedniego. Jest średniego wzrostu, dość pulchny. Ma wielkie wąsy i trzydniowy zarost. Nosi turban i pakistański strój: długą po kolana koszulę oraz białe bawełniane spodnie. Mówi coś po angielsku. Pyta, skąd przyjechałem. Od-

powiadam: z Niemiec. Chce wiedzieć, czy jestem dziennikarzem.

Nie.

Czy jestem Amerykaninem?

Nie.

Czy pracuję dla Amerykanów?

Odpowiadam, że jestem Turkiem i przyjechałem z Niemiec.

Czy pracuję dla Niemiec? A może dla Niemców - nie zrozumiałem

dokładnie.

Mężczyzna w turbanie trzyma w ręku mój turecki paszport. Zdaje się nie do końca rozumieć, że pochodzę z Niemiec, że jestem równocześnie Niemcem i Turkiem, zwłaszcza że nie posiadam niemieckiego paszportu. Myśli zapewne, że z rozpędu się wygadałem. Może sądzi, że jestem szpiegiem lub kimś takim.

- *Do you have camera?*

Mówię mu, że tu jest mój bagaż i mogą zajrzeć do środka. Wyciągam ku policjantom plecak: *Look. Look!**

Przeszukują plecak. Mężczyzna w turbanie mówi coś do drugiego funkcjonariusza, ten wychodzi i chwilę później wraca z innego pomieszczenia, niosąc telefon. Jest to telefon przewodowy. Komendant dzwoni do przełożonego. Domyślam się, że rozmawiają o mnie. Odkłada słuchawkę i znowu mówi coś do tamtego policjanta. Ten zabiera telefon i wraca z kluczem, niewielkim lusterkiem, golarką oraz pianką do golenia.

Komendant się goli.

W tym pomieszczeniu także nie ma drzwi, podobnie jak przy wejściu. Podczas gdy komendant z całym spokojem się goli, z zewnątrz dobiega głośna wymiana zdań. Jestem nie-

mal pewny, że to Mohammad. Chce przyjść do mnie. Ale rozpoznaję jedynie głos policjanta.

Stoję pośrodku pomieszczenia, przede mną na podłodze leży plecak. Co chwila do środka wchodzi policjant i co chwila komendant rzuca mu jakiś krótki rozkaz. Tamten w odpowiedzi coś mu przynosi. Tym razem jest to karabin maszynowy.

Przychodzą inni policjanci, również uzbrojeni w karabiny. Chwytają mnie i wyprowadzają na zewnątrz, ale nie z powrotem na ulicę, gdzie powinien czekać Mohammad, lecz na podwórzu. Stoi tam samochód, pikap. Z przodu siedzi kierowca, obok niego sadowi się policjant. Ja mam usiąść z tyłu. Samochód jest czterodrzwiowy; po obu moich stronach lokują się uzbrojeni policjanci, a dwaj kolejni z tyłu, na pace.

Jedziemy przez miasto, trwa to może pół godziny. Okolica jest bardzo ładna: duże wille otoczone ogrodami z wysokimi bramami wjazdowymi. Przez jedną z takich bram wjeżdżamy do jakiegoś parku, mijamy jeszcze jedną bramę, za którą rośnie mnóstwo drzew owocowych. Wygląda to na teren prywatny, ale każdego wejścia strzegą wartownicy. Zatrzymujemy się. Ktoś idzie ku nam: jakiś człowiek o jasnych włosach, w okularach. Amerykanin albo Niemiec, nie wiem. Mógłby być też Rosjaninem. Nosi europejskie ubranie, co w Pakistanie nie jest częste. Białą koszulę i ciemne spodnie.

Willa jest dwupiętrowa. Rosną przed nią drzewa pomarańczowe i mandarynkowe, prawdziwie turecki ogród. Blondyn może mieć trzydzieści pięć, czterdzieści lat; w każdym razie jest już na wpół łysy. Zaciera ręce, jakby się z czegoś cieszył, i płynnym pakistańskim rozmawia z policjantami. Do mnie zwraca się po angielsku: mam z nim pójść. Policjanci idą za nami. Prowadzi mnie do pomieszczenia przypominającego pokój w czterogwiazdkowym hotelu. Z podwójnym łóżkiem, lustrem w ramie, dywanem i dużymi kwiatami doniczkowymi.

Potem na krótko wychodzi i wraca z innym mężczyzną, najwyraźniej Pakistańczykiem, ale również ubranym po cywilnemu. Obaj mnie przepytują.

Czy jestem Amerykaninem?

Czy jestem Niemcem?

Czy jestem dziennikarzem?

Na ile potrafię, próbuję im wyjaśnić, że chcę jeszcze dziś lecieć do Niemiec. Że jeśli nie polecę dziś, nie zostanie mi już dużo czasu. Że termin odlotu do Niemiec upływa czwartego listopada, ale bilet powrotny jest ważny dziewięćdziesiąt dni.

Mówią, że wrócą i będą dalej mnie pytać, że mam czekać.

Czekam około godziny.

Żaden z nich nie wraca. Zamiast nich przychodzą policjanci.

Czy zostawszy sam w tym pokoju, powinienem był uciec? Drzwi Willi nie były zamknięte. Ale dokąd miałbym uciekać? Wszędzie byli uzbrojeni strażnicy i policjanci. Myślałem, że chodzi tylko o moją wizę. Nie popełniłem w Pakistanie żadnego przestępstwa, niczego nie ukradłem, nikomu nie wyrządziłem krzywdy. Byłem pewny, że nie zatrzymają mnie na dłużej niż kilka godzin. Chodziło tylko o parę pytań, to wszystko. Nie myślałem o niczym specjalnym, byłem tylko zły, że zabierają mi tyle czasu.

Nie myślałem o wojnie w Afganistanie. Cóż ja miałem wspólnego z Afganistanem? Może uważali mnie za dilerów narkotyków. Afganistan jest jednym z największych producentów narkotyków na świecie. Ale ja nie przewoziłem

przecież narkotyków, nigdy nie miałem też kontaktu z żadnym sprzedawcą używek. Myślałem, że kiedy się przekonają, że nie jestem ani Amerykaninem, ani dziennikarzem, ani dilerem, pozwolą mi odejść.

Nie wiedziałem, że miało to trwać pięć lat.

Tym samym pikapem policjanci przewieźli mnie do strażnicy w pobliżu willi. Powiedzieli, że muszę tam przenocować. Następnego dnia, mówili, zawiozą mnie na lotnisko, żebym mógł polecieć do Turcji. Dlaczego do Turcji, spytałem. Jestem z Niemiec! Przypomniałem sobie, że druga część mojego bagażu została z Mohammadem. Torba z prezentami. Miałem nadzieję, że Mohammad zjawi się następnego dnia na lotnisku i pomoże mi jakoś dotrzeć do Niemiec.

Strażnica wyglądała tak samo jak ta pierwsza: nie miała drzwi wejściowych, a w środku było pomieszczenie wyłożone dywanami. Nie założyli mi kajdanek, nie wyglądało to więc na więzienie.

- *You sleep here. Tomorrow we come, bring you to airport. You Turkish, you fly to Turkey** - powiedział policjant.

Pomyślałem, że mam spać na jednym z dywanów. Ale przechytrzyli mnie. Otworzyli drzwi i zobaczyłem kraty. Więc jednak było to więzienie.

Policjanci wepchnęli mnie do celi. Była duża, może pięć na dziesięć metrów, i pełna ludzi. Wszyscy ciemnoskórzy, prawdopodobnie Pakistańczycy lub Afgańczycy. Było ich może z pięćdziesięciu. Przyjrzeni mi się uważnie, a potem serdecznie mnie przywitali. W pewnym momencie gwałtownie się rozstąpili, pozostawiając pośrodku wolne przejście. Jeden z nich podszedł do mnie: młody, miał może ze trzydzieści lat. Wyglądało na to, że jest tu przywódcą.

* Będziesz tu spał. Jutro przyjdziemy i zawieziemy cię na lotnisko.

Jesteś

Turkiem, polecisz do Turcji.

- *Salam alejkum.*

-*Alejkum salami*

Po angielsku powiedział, że nazywa się Raheg. Potem podał mi rękę.

- *Do you want to be my guest? You want to come with me, please?**

Raheg powiódł mnie do drzwi na końcu celi. Za nimi było następne pomieszczenie: jego prywatny kąt. Wyglądało przytulnie: łóżko, poduszki, gładki stół, na którym stało coś do jedzenia, dzbanek do herbaty, szklanka, srebrna taca z serem.

Raheg był potężnie zbudowany, znacznie większy ode mnie. Mierzył dobre metr dziewięćdziesiąt i ważył ze sto dwadzieścia kilo. W porównaniu z pozostałymi więźniami był zamożnym człowiekiem. Był więźniem jak my wszyscy, ale wszyscy go słuchali, także policjanci. Gdy mówił: idźcie i przynieście mi coś - szli i przynosili. Pizzę, hot-doga, co tam chciał. Spytał mnie, na co mam ochotę.

- Na nic - odpowiedziałem.

Przez całe popołudnie odwiedzali go ludzie. Policjanci za każdym razem otwierali drzwi celi i zdawało się, że się go obawiają, gdy obwieszczali mu wizytę. Najwyraźniej był szefem nie tylko w tej celi, ale w całym więzieniu. W swoim pokoju miał butlę z gazem i kocher. Trwał ramadan i w ciągu dnia pościłem. Raheg również. Wieczorem rozłożył swój dywanik modlitewny i zaprosił mnie, byśmy pomodlili się razem. Podarował mi nową koszulę. Moja była cała zakurzona. Ze względu na upał trzeba było tu codziennie zmieniać koszule. Raheg powiedział, że odda moje brudne ubranie do prania. Zanim się przebrałem, wziąłem prysznic we wspólnej celi. Gdy wróciłem, jedzenie było już gotowe. Przygotowali

je inni więźniowie. Były to kartofle, mięso i ryż, a nawet sałata.

Rozmawialiśmy niemal przez całą noc.

Raheg powiedział, że był ważnym dilerem, handlował opium. Wynikało to z jego rodzinnej tradycji. Robili to już jego przodkowie, cała rodzina trudniła się tym handlem. Podobno przewoził przez przełęcz na granicy z Afganistanem duże ilości opium i resztę życia spędzi w więzieniu. Kazał przynieść dla mnie świeże owoce i zaparzyć miętową herbatę. Pouczył mnie, że nie powinienem odzywać się do policjantów ani słowem. Kimkolwiek jestem, cokolwiek uczyniłem, w żadnym razie nie powinienem im nic mówić. Odparłem, że już im wszystko powiedziałem.

-From now on: no more. You don't say anything. That's better for you.

OK, pomyślałem. Jest już kilka lat w więzieniu, to wie, co należy robić, a czego nie.

Raheg opowiadał mi o swojej rodzinie, Pasztunach, mieszkających w Pakistanie i Afganistanie. Pasztunów obowiązuje przykazanie: ktokolwiek wchodzi do twego domu, jeśli przed czymś lub przed kimś ucieka, daj mu schronienie, nakarm go i pomóż mu. Wiedziałem od Mohammada, że przykazanie to działa jak prawo. Raheg powiedział, że porozmawia z policjantami, żeby mnie wypuścili. Dał mi kilka numerów telefonów do swoich braci i krewnych. Kiedy mnie wypuszczą, mam do nich zadzwonić, to się mną zaopiekują. Pieniądze nie stanowią problemu, mówił - oni dadzą ci pieniądze.

*- No problem. You can fly to Germany**

Pasztuni mają swoje własne zasady. Raheg był dla mnie dobry.

Następnego dnia modliliśmy się wspólnie, wszyscy więźniowie. Potem przyszli strażnicy. Mieli ze sobą kajdanki i chcieli mnie skuć. Raheg wściekł się i ich zwymyślał. Wszyscy więźniowie stali za nim. Sprawa wyglądała

groźnie, więc strażnicy się wycofali. Po chwili wrócili bez kajdanek. Pożegnałem się z Rahegiem, a on mnie objął. Strażnicy mnie wyprowadzili. Na zewnątrz czekał samochód. Limuzyna z przyciemnionymi szybami. W środku siedzieli dwaj uzbrojeni policjanci.

Gdy minęliśmy pierwszy zakręt, zatrzymali się. Jeden z policjantów wysiadł i przyniósł kajdanki z bagażnika. Zakuli mnie i pojechaliśmy dalej. Funkcjonariusz siedzący obok mnie zaczął się nagle usprawiedliwiać. Słowo, którego użył, znałem z tureckiego.

- *Mecburi* - powiedział.

Mecburi znaczy: muszę to zrobić, jestem zobowiązany.

Jechaliśmy kilka godzin. Następnie zatrzymaliśmy się przed jakimś budynkiem - nie mogłem się zorientować, czy było to więzienie. Jeden z policjantów wysiadł i rozmawiał z kimś, kto się zdenerwował i mówił dość głośno. Widziałem dzieci na rowerach. Podjechały do samochodu i zaglądały do środka. Wytykały mnie palcami i śmiały się.

- Osama, Osama! - wołały.

Gdy policjant wrócił do samochodu, miał ze sobą coś w rodzaju worka na kartofle. Zarzucił mi go na głowę. Zrobiło się ciemno.

Znowu jechaliśmy godzinami, tak mi się w każdym razie zdawało. W limuzynie było tak gorąco, że można się było udusić. Próbowałem wytłumaczyć to policjantowi siedzącemu obok mnie. Podniósł nieco worek, żeby lżej mi było oddychać, ale pozostali go ofuknęli. Mimo to unosił go od czasu do czasu.

Zatrzymaliśmy się. Policjanci prowadzili mnie po schodach, słyszałem trzask drzwi lub bram, które się za mną zamykały. Szliśmy jakimś długim

korytarzem, w którym rozbrzmiewały nasze kroki, potem ponownie usłyszałem odgłos zamykania drzwi, najprawdopodobniej metalowych.

- Stop!

Zdjęli mi z głowy worek. Stałem w pustym pomieszczeniu. Bez umywalki, bez toalety- nic tam nie było. Tylko ściany z cegły. Bezpośrednio za metalowymi drzwiami znajdowały się jeszcze ciężkie drzwi drewniane. Podłoga była z betonu. W jednej ścianie, tuż pod sklepieniem, znajdował się głęboki okrągły otwór, przez który do celi sączyło się światło. Zdjęli mi kajdanki, a następnie zamknęli drzwi. Wciąż jeszcze myślałem: zaraz wrócą, zadadzą znowu jakieś pytania, a potem odwiozą mnie na lotnisko.

Kilka godzin później usłyszałem kroki i wszedł ktoś w cywilnym ubraniu. Długa koszula, marynarka i turban. Pytał mnie po angielsku:

- Kim jesteś?

-Jak się nazywasz?

- Ile masz lat?

- Skąd przyjechałeś?

-Jesteś dziennikarzem?

-Jesteś Niemcem?

- Turkiem?

- Po co tu przyjechałeś?

- Co robiłeś w Pakistanie?

-Jesteś żonaty?

- Z Pakistanką?

I tak dalej, przez wiele godzin. Jego angielszczyzna była niewiele lepsza od mojej. Opowiedziałem mu o tablighach i o Mohammadzie. Co chwilę pytałem go o możliwość zatelefonowania.

W końcu powiedział: przyniosę ci telefon. No *problem*. Wyszedł i zamknął drzwi. Więcej go nie widziałem.

Próbuję liczyć dni, ale nie bardzo mi to wychodzi. Nie wiem, czy jest dzień, czy noc. Światło jest przez cały czas włączone. Kiedy mam wrażenie, że jest noc, czyli jestem zmęczony, próbuję spać. Gdy myślę, że jest dzień, wstaję i modlę się. Nie mam zegarka, zabrali mi go razem z paskiem i butami, więc chodzę boso. Mam tylko spodnie, które cały czas nosiłem, i pakistańską koszulę, którą podarował mi Raheg.

Odpowiedzialni za mnie są dwaj strażnicy. Sądzę, że pracują na zmiany, po dwanaście godzin. Pojawiają się jednak nieregularnie. Czasami jeden przychodzi kilka razy pod rząd, potem znów nie ma żadnego. Z jednym trochę rozmawiam, drugi zawsze milczy.

Przychodzą, żeby mi coś przynieść. Czerwoną soczewicę. Zawsze jest to czerwona soczewica - gotowana, ale nigdy ciepła. Raz dziennie. Do tego szklanka wody dwa razy dziennie, choć nigdy o tej samej porze. Wydaje mi się, że czasami posiłki przepadają. Muszę wielokrotnie prosić o wodę, zanim ją wreszcie dostanę. Rozmawiam ze strażnikami zawsze przez drewniane drzwi.

Również wtedy, gdy idę do toalety. Za drewnianymi drzwiami jest puste pomieszczenie, takie samo jak to, w którym znajduje się arabskie klo - dziura w podłodze i spłuczka z wodą. Dalej są drzwi metalowe, za którymi siedzą strażnicy. Nieraz godzinami stoję pod drzwiami, nim któryś z wartowników otworzy i pozwoli mi iść do toalety. Powstrzymuję się, żeby nie załatwiać swoich potrzeb na podłogę w celi, tak długo to trwa.

Muszę wytrzymać.

Boję się. Co się stanie, gdy upłynie termin ważności mojego biletu? Nie

mam pieniędzy, by kupić następny. Zapłacą mi za bilet? Niechby i do Turcji, myślę, byle tylko daleko stąd.

Podchodzę do drzwi. Chodzę tam i z powrotem.

Cela ma może dwa na trzy metry. Tam i z powrotem. Już wiem, że dalej tak nie może być. Muszę coś zrobić, inaczej oszaleję! W tę i z powrotem. Czytałem kiedyś, że można zwariować, jeśli zbyt długo przebywa się w izolatce. W tę i z powrotem. Muszę się czymś zająć. W tę. Podchodzę do drzwi. Z powrotem. Muszę coś zrobić. Inaczej się rozchoruję.

Słyszę kroki.

Zgrzyt klucza.

Pojawia się wartownik, ten, który mówi.

- Czy mogę dostać Koran? - pytam. - Koran, Koran. *Can I have?*

- *Yes, yes* - potakuje, uśmiecha się, zamyka drzwi. Jego kroki oddalają się, słyszę łoskot metalowych drzwi. Czekam. Chodzę tam i z powrotem. Upływają godziny.

Dwa dni później strażnik przynosi mi egzemplarz Koranu. Myślę, że upłynęły dwa dni.

- Koran - mówi i podaje mi księgę.
- *Elhamdulillah* - mówię.

Niech Allah będzie pochwalony.

Wartownik odchodzi. Trzymam książkę w rękach. To piękny moment. Otwieram ją i czytam:

W Imię Boga Miłosiernego i Litościwego. Chwała niech będzie Bogu, który stworzył niebiosa i ziemię i uczynił ciemności i światło! Jednak ci, którzy nie wierzą, dają swojemu Panu równych. On jest Tym, który

stworzył was z gliny; potem wyznaczył pewien termin, termin wyznaczony u Niego...

Szósta sura. Nie mogę uwierzyć, że słyszę słowa Koranu. Przysłuchuję się własnemu głosowi, gdy głośno odczytuję wersety. Jestem więźniem, ale robię coś dobrego: studiuję Koran. Wiem, że jest to dobry czyn, który zostanie mi policzony.

On jest Bogiem w niebiosach i na ziemi. On wie, co czynicie skrycie i jawnie. On wie także, co wy zyskujecie...

Nagle kroki, zgrzyt klucza, drzwi się otwierają.

Wchodzą pakistańscy policjanci w turbanach i uniformach. Zabierają mi Koran. Mają kajdanki, a właściwie ciężkie i zardzewiałe metalowe kajdany. Pierścienie, które zakładają mi na przeguby, mają szerokość tabliczki czekolady. Skręcają je kluczem inbusowym. To samo robią mi na kostkach u nóg. Wiem, co teraz nastąpi.

Jeden zarzuca mi worek na głowę.

Ciemność.

Gdy wyprowadzają mnie z celi, kajdany pobrzękują. Za sobą słyszę trzask drewnianych, potem metalowych drzwi. Prowadzą mnie przez puste pomieszczenie z toaletą, za drugie metalowe drzwi, pokój strażników, znowu żelazne drzwi, potem korytarz z odgłosami kroków. Wciąż zamykają się za mną jakieś drzwi. Czuję ciepło słońca. Jest dzień. Siedzę w jakimś samochodzie na tylnym siedzeniu, po obu moich stronach znajdują się policjanci.

Słońce dobrze mi robi, choć wcale go nie widzę. Jest ciepło, powietrze pachnie, czuję to mimo worka. Dokąd zabiorą mnie tym razem? I jak długo

przebywałem w tej celi?

Liczę: dziesięć razy odmawiałem poranną modlitwę.

Jedziemy kilka godzin. W trakcie podróży zatrzymujemy się; słyszę, jak policjanci wysiadają i piją herbatę. Słyszę, jak pobrzękują łyżeczkami o szkło, śmieją się i gadają. Zostawili mnie samego w samochodzie; cały czas muszę słuchać płynącej z radia muzyki: pakistański pop. Pokarało mnie.

Po trwającej może pół dnia jeździe docieramy na miejsce. Prowadzą mnie po schodach, słyszę zamykanie wielu drzwi, pomiędzy którymi są schody, w górę i w dół; znowu drzwi. Potem policjant zatrzymuje mnie ręką: mam stać.

Ktoś zdejmuje mi z głowy worek. Jestem w pomieszczeniu nieco tylko większym niż cela, którą dopiero co opuściłem. Ale to pomieszczenie jest z jednej strony otwarte: widzę metalowe kraty, a za nimi korytarz o szerokości mniej więcej metra. Skądś wpada do środka sztuczne światło.

W jednym kącie pomieszczenia jakiś człowiek siedzi po turecku na podłodze. Policjanci rozkuwają moje kajdany i zostawiają nas samych.

Jakiś metr przed tamtym człowiekiem stoi pudełko wielkości kartonu na buty. Widzę, że są w nim słodycze. Zielone, żółte i czerwone drażetki.

Jestem głodny jak nigdy. Przez wiele dni jadłem tylko czerwoną soczewicę i najchętniej po prostu rzuciłbym się na to pudełko.

-Salam alejkum.

-Alejkum salami - odpowiada siedzący na podłodze.

Teraz wiem: to Arab.

Pytam, kim jest. Odpowiada po arabsku, więc nic nie rozumiem. Siadam na podłodze w drugim kącie pomieszczenia. Mężczyzna spogląda na

pudełko. Ja również.

Po chwili pyta:

- Chcesz coś zjeść? - pokazuje na migi; tak to rozu
miem.

- Nie - odpowiadam gestami. - Nie, dziękuję.

Arab przykłada rękę do ust i kiwa głową.

-Jedz, jedz - pokazuje na migi.

Zjadam wszystkie cukierki. Oddałbym za nie wszystkie pieniądze, jakie kiedykolwiek posiadałem.

Nie wiedziałem jeszcze, że wkrótce będzie nas tu czterech. Dwaj inni Arabowie byli właśnie na przesłuchaniu, jak dowiedziałem się, gdy wrócili do celi. Mężczyzna, który poczęstował mnie słodyczami, był z Bahrajnu. Nazywał się Kemal. Jeden z dwóch pozostałych pochodził z Omanu. Nazwijmy go Salah. Jest już w domu, ale nie chcę, by miał powód do niezadowolonia. Z Salahem spędziłem cztery lata życia. Spotykałem go ciągle w różnych blokach Guantanamo. Salah świetnie mówił po angielsku. Opowiadał mi, że studiował w Stanach Zjednoczonych. Kemal do dziś jest w Guantanamo.

Z jednej strony moja sytuacja się poprawiła: mogłem przynajmniej rozmawiać z Salahem. Z drugiej jednak strony wyraźnie się pogorszyła, gdyż ta cela była wilgotna i gorąca. Wszędzie laziły karaluchy, chrząszcze i komiczne egzotyczne pająki o tłustych cielskach i włochatych odnóżach. Nie było też toalety, tylko kubeł. Wkrótce się rozchorowałem. Często wymiotowałem samą wodą lub kwaśną żółtawą pianą. A przecież dawali nam od czasu do czasu ryż, nie tylko czerwoną soczewicę. I pakistański chleb.

Na czterech dostawaliśmy dwa razy dziennie kawałek chleba wielkości chlebka pita oraz talerz soczewicy albo ryżu. Dzieliliśmy to między siebie, ale ja jakoś nie mogłem jeść. Było to dziwne: stale byłem głodny, ale nie potrafiłem niczego przełknąć. Nie znałem wcześniej tego uczucia. W Bremie podczas ramadanu w ciągu dnia także nic nie jedliśmy. Ale rano i wieczorem najadaliśmy się do syta. Nieraz burczało nam w brzuchach, ale przecież nie bolało.

Teraz żołądek naprawdę mnie bolał. W gardle wiecznie czułem kwasowość. Wszystko mnie bolało: żołądek, przełyk, nawet język, który stał się ciężki i obrzmiały. Po kilku dniach przyszło osłabienie i bóle głowy. Nie mogłem spać, coraz mniej mogłem się poruszać. Wciąż jednak rozmawiałem z Salahem. Nauczyłem się od niego po angielsku więcej niż podczas całego pobytu w Pakistanie.

W tym czasie Pakistańczycy przesłuchiwali mnie tylko dwa razy. Zadawali wciąż te same pytania. Robili mi zdjęcia, brali odciski palców.

Czego tu szukasz?

Skąd jesteś?

Czym się zajmowałeś?

Potem zawieziono mnie na pierwsze przesłuchanie do Amerykanów.

Krótko jechaliśmy przez miasto; przez cały czas słyszałem jego odgłosy: riksze motorowerowe, hałas targowiska. Byłem w kajdankach, a na głowie miałem worek. Gdy się zatrzymaliśmy, było mi bardzo gorąco. Policjant zdjął mi z głowy worek i zobaczyłem budynek, do którego mnie eskortowali. Była to duża, jasno tynkowana willa. Wewnątrz nagle zrobiło się zimno, zapewne za sprawą klimatyzacji. Prowadzili mnie przez salon wypełniony kwiatami, fotelami, książkami, przez korytarz, ciężkie, białe, przeszkłone

drewniane drzwi. Wysoko pod sufitami obracały się wentylatory. Weszliśmy do pomieszczenia, w którym kazano mi czekać. Policjanci usiedli na ławce obok mnie.

Wkrótce drzwi się otworzyły i zobaczył mnie wchodzący Amerykanin. Wyglądało na to, że niemal się mnie przestraszył. Czego oczekiwał? Był najwyraźniej zdetonowany, że widzi Europejczyka. Zabrudzonego, oberwanego i nieogolonego, ale jednak białego człowieka.

- *The German guy!** - zawołał.

Wszedł drugi Amerykanin i bacznie mi się przyjrzał. Obaj byli ubrani po cywilnemu, w koszule i spodnie; ten drugi no-

sił jeszcze wycięty w serek pulower. Miał szpakowate włosy i wąsy. Mógłby być Niemcem.

-Jestem z Niemiec. Jestem Niemcem - powiedziałem.

Popatrzyli na siebie z porozumiewawczymi uśmiechami.

- *Yeah. The German guy* - powiedział ten w swetrze.

Policjanci dali mi do zrozumienia, że powinienem wstać i pójść z nimi. Amerykanie szli przodem, my za nimi. Zostałem wprowadzony do pokoju przesłuchań. Trzy krzesła, stół. Byłem jeszcze w kajdankach, wokół mnie stali uzbrojeni strażnicy. Może Amerykanie bali się, że ich zaatakuję, myślałem później. Ja tymczasem chciałem ich tylko spytać, kiedy wreszcie będę mógł wrócić do domu. Mogłem nawet jechać do Turcji. Wciąż jeszcze myślałem, że o wszystko mnie wypytają i wypuszczą.

Człowiek w swetrze splótł ręce wysoko nad głową i rozpoczął przesłuchanie. Pytania były podobne do tych, jakie stawiali mi wciąż policjanci pakistańscy, ale teraz lepiej je rozumiałem.

Nazwisko?

Wiek?

Zawód?

Kiedy przyjechał pan do Pakistanu?

Wszystko to miał przed oczami w moim paszporcie i bilecie lotniczym!

Potem chciał wiedzieć, dlaczego jestem w Pakistanie. Próbowałem mu wytłumaczyć, że zgłębiam Koran. Że chciałem studiować Koran w centrum Mansura w Lahore*, ale nie przyjęto mnie, uzasadniając, że teraz byłoby zbyt niebezpiecznie przyjmować cudzoziemców. Ponieważ Amerykanie napadli właśnie Afganistan - ale tego mu nie powiedziałem.

Początkowo rozzłościłem się, że mnie nie przyjęli. Ale ponieważ już tu byłem, nie chciałem od razu wracać do domu. Od tablighów z Bremy wiedziałem, że uczniowie szkół ko-ranicznych w Pakistanie wędrują też małymi grupkami od meczetu do meczetu. Chciałem dołączyć do takiej grupy, objaśniałem Amerykaninowi.

Chciał wiedzieć, co robiłem w Pakistanie od czasu przyjazdu, a więc przez ponad dwa miesiące. Odpowiedziałem, że wędrowałem z innymi uczniami, że sypialiśmy w meczetach, a w ciągu dnia modliliśmy się i studiowaliśmy.

Moja angielszczyzna nadal była bardzo słaba. Wydawało się, że mój rozmówca wielu rzeczy nie rozumie. Coś jednak zrozumiał, bo chciał wiedzieć, kim są ci uczniowie szkół koranicznych, jak się nazywają i gdzie obecnie przebywają. Odpowiedziałem, że tego nie wiem. Wciąż dochodzili nowi studenci, niektórzy wędrowali w inną stronę, ale to było mi trudno mu wytłumaczyć. Opowiedziałem Amerykaninowi o Mohammadzie, którego nie widziałem od momentu zatrzymania mnie w

punkcie kontrolnym w Peszawarze, a który z pewnością się o mnie dowiadywał.

Potem Amerykanin chciał wiedzieć, w jakich miejscach w Pakistanie byłem.

Odparłem:

-Karaczi. Airplane: I landing. No speak language. Nobody speak English. I meet Hassan in the pianę, Hassan is from Isla-mabad. So I go to Islamabad. But not with Hassan, Hassan take the airplane to Islamabad.

*-So y on went by bus or by train to Islamabad?** - spytał Amerykanin.

* Karaczi. Lotnisko: ląduję. Nie znam języka. Nikt nie mówi po angielsku. W samolocie spotykam Hassana. Hassan jest z Islamabadu. Więc jadę do Isla-mabadu. Ale nie z Hassanem. Hassan leci do Islamabadu samolotem. /A pan pojechał do Islamabadu autobusem czy pociągiem?

- Airplane. I buy new ticket and take the airplane, later. But in Islamabad don't fmd Hassan. Telephone number hę give me - no good. I go to Lahore, to Mansura Centerfor Islam. They say: no German, too dangerous. I go to Islamabad, I meet Mohammad. We sleep in the Mosques. We study Koran. We study Hadith. Hadith!

Jeden z pakistańskich policjantów skinął głową.

- Then we take train to Peschawar.

Co robiłem w Niemczech?

Nie potrafiłem pojąć, dlaczego chciał to wiedzieć.

- / live in Bremen. I live in the house of my parents. I study ships and then I study Koran. I marry Muslim womanfrom Turkey,

so I want to study Koran - z dumą pokazałem mu ślubną obrączkę na palcu.

-Are you a terrorist? - zapytał nagle Amerykanin.

- Terrorist? No! I'm German. I'm Turkish, but I live in Germany. I'm born in Germany, in Bremen.

• *Do you know Osama?*

-No.

• *Where is Osama? Tell me!*

-I don't know.

• *Tell me and I'll let you go...*

• *No! No! I don't know...**

Pakistańscy policjanci zaprowadzili mnie z powrotem do celi z tamtymi. Spędziliśmy tam jeszcze kilka dni. Potem zjawili się pakistańscy żołnierze. Ich dowódca był mały i przysadzisty. Możliwe, że był generałem. Przyniósł nam niebieskie kombinezony, rodzaj stroju więziennego. Musieliśmy je założyć i nie wolno nam było nosić nic pod spodem. Nasze ubrania zostały zabrane, skuto nam ręce i nogi.

Salah i pozostali zapewne już wiedzieli, że zostaniemy przekazani Amerykanom. Ale nie zdradzili mi tego.

Generał powiedział:

- Mecburi. Mecburi. - Popatrzył na mnie, a potem dodał po angielsku: *- Forgive me!* - i zarzucił mi na głowę worek na kartofle.

Nigdy mu nie wybaczę. Nawet po śmierci.

Gdy wchodziliśmy schodami na górę i ładowano nas na ciężarówkę, worek lekko się rozchylił i podniósł, czego żołnierze nie dostrzegli. Zobaczyłem, że była to ciężarówka wojskowa, pomalowana na

maskujące kolory. Ale nagle czyjaś ręka naciągnęła mi znowu worek na oczy.

Tym razem pojechaliśmy niedaleko. Trwało to może dziesięć minut. Usłyszałem samoloty, śmigłowce. Pomyślałem natychmiast: wywiozą mnie do Turcji. Silniki już pracowały, musiały być gotowe do startu. Usłyszałem inne ciężarówki, a następnie głosy. To byli Amerykanie.

Przy wysiadaniu mój worek znowu lekko się uniósł. Zobaczyłem wielu Amerykanów w mundurach. Jasne ubrania maskujące. Pomyślałem jeszcze: lecimy do jakiejś amerykańskiej bazy wojskowej w Turcji. Wreszcie stąd wyjadę.

Przeszukują mnie. Mimo że nie mam nic pod kombinezonem, nic już nie posiadam, nawet butów. Czuję wszędzie ich dłonie, są wulgarni. Ktoś ujmuje moją prawą rękę. Ściągają mi obrączkę, moją ślubną obrączkę, obrączkę z jej imieniem! Żołnierz lub żołnierze szamoczą się z nią, ja wykręcam rękę, próbuję zacisnąć pięść, ale jestem zbyt słaby. Rozprostowują mi palce, obrączka się zsuwa. Jestem za słaby, żeby się bronić, a moje palce są teraz znacznie szczuplejsze niż dawniej.

Następnie słyszę, jak żołnierz wyrzuca obrączkę.

Metal uderza głucho o asfalt.

Jestem wściekły, ale nie mogę nic powiedzieć. Jestem na pół żywy z głodu, skuty, z trudem trzymam się na nogach. Niemal powala mnie ogłuszający ryk.

To instalacja hydrauliczna, która automatycznie otwiera drzwi samolotu.

Wpychają nas do środka. Pod stopami czuję zimny surowy metal.

- *Sit! Sit! Sit down, motherfucker!* * - wrzeszczy mi do ucha jakiś żołnierz.

Padam do tyłu na zadek i kucam na podłodze. Żołnierz przyciska mi głowę do piersi. Słyszę krzyki, wołania - to głosy innych więźniów.

Nagle czuję uderzenie w głowę. Przewracam się. Leżę na boku. Dostaję kopniaka w brzuch.

Po raz pierwszy ktoś mnie bije.

Butami stają mi na rękach i nogach, na grzbiecie. Nie mogę się bronić, tylko się kulę.

Nie mam siły krzyczeć. Myślę tylko o jednym: lecimy do Turcji. Dowiozą mnie do jednej ze swoich baz i tam przekażą Turkom!

Wiążą mnie na podłodze. Szybko im to idzie.

Ktoś kopie mnie w plecy.

Słyszę syk instalacji hydraulicznej. Rozkazy. Kłapa się zamyka. I tyle.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, dokąd naprawdę mnie wiozą.

Kandahar, Afganistan

Zostałem sprzedany Amerykanom za trzy tysiące dolarów. Sami to potwierdzili podczas jednego z niekończących się przesłuchań w Guantanamo.

- Wiem - powiedziałem na tym przesłuchaniu - że ocze kiwaliście więcej, płacąc za moją głowę te pięć tysięcy dolarów.
- Trzy tysiące - powiedział przesłuchujący. - Zapłaciliśmy

za ciebie trzy tysiące dolarów.

Wiedziałem więc, że to prawda.

Wszyscy w Pakistanie wiedzieli, że za obcokrajowców były premie. Sprzedano również wielu Pakistańczyków. Lekarzy, taksówkarzy, sprzedawców warzyw, których poznałem później w Guantanamo. Jest mi obojętne, kto otrzymał za mnie pieniądze. Mógł to być równie dobrze policjant z punktu kontrolnego w Peszawarze, jak któryś z tych jasnowłosych Europejczyków lub Amerykanów, których widziałem w willi. A może cała komenda w Peszawarze podzieliła tę sumę między siebie? Trzy tysiące dolarów to w Pakistanie mnóstwo pieniędzy. Mężczyzna może się za to ożenić, kupić samochód albo mieszkanie.

Wszyscy o tym wiedzieli. Tylko ja nie. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że Amerykanie zapłacili za nas, jakbyśmy byli niewolnikami.

Przed odlotem zostaliśmy nie tylko spętani i zakuci w kajdanki, ale i związani jak paczki pocztowe. Słyszałem odgłos śmigłowca oraz krzyki żołnierzy i więźniów. Przez worek, który cały czas miałem na głowie, udało mi się dostrzec fragmenty aluminiowych ścian samolotu. Nasze ciała były do nich ciasno przypięte długimi pasami, a szeroko rozłożone nogi przytwierdzone do podłogi. Łańcuchy miałem tuż nad kostkami. Mogłem poruszać tylko głową.

Na pokładzie oprócz mnie znajdowało się trzech moich towarzyszy z celi i mniej więcej dwunastu innych więźniów. Nie potrafię powiedzieć, ilu było żołnierzy, ale sądząc po liczbie głosów, musiało ich być wielu. Stale chodzili od jednego więźnia do drugiego i bili nas pięściami, kolbami karabinów maszynowych oraz pałkami. Było zimno jak w lodowni. Siedziałem

bezpośrednio na podłodze ze lśniącego metalu, a wentylator dmuchał lodowatym powietrzem. Próbowałem spać, ale co chwila byłem budzony biciem.

- *Keep your head up!* - krzyczeli.

Deptali po nas co chwila i bez przerwy obrzucali nas najgorszymi obelgami. Czasami zapominali o mnie na kilka minut, by później bić z tym większym zapamiętaniem.

- *You are terrorists!* - ryczeli.

- *We are Americans\ You are terrotists. We've gotyou! We are strong! And we'll give it to you!* - powtarzali bez końca. - *You fuckers!* *

Myślałem: w Turcji także często bije się więźniów. Wiadomo o tym od dawna. Wydawało mi się więc normalne, że Amerykanie robią to samo. Gdybym został odesłany do Turcji i tam osadzony w więzieniu, również byłbym bity. Sądziłem jednak, że kiedyś wreszcie musi się to skończyć. Ale żołnierze się nie męczyli, często się śmiali, bijąc nas. Zapewne robili sobie z nas żarty.

Kiedy odlatywaliśmy, była noc. W samolocie było jasno, widziałem tylko swoje białe stopy i ostre światło. Przez cienki kombinezon przenikał lodowaty chłód. Ręce i nogi miałem opuchnięte pod ciężarem kajdanek i łańcuchów. Bałem się, że nie będę już mógł poruszać rękami. Wiedziałem, że związana ręka może obumrzeć. Widziałem, że moje nogi stają się sine i przestałem je czuć. Bolało mnie całe ciało, niemal nie mogłem oddychać.

Wystrzegałem się rozmowy z innymi. Jeśli ktoś coś powiedział, spadało nań jeszcze więcej razy. Dlatego nikt z nas nic nie mówił. Ja byłem na to

zbyt słaby i do tego chory. Nie bałem się, ale miałem świadomość, że mogę umrzeć. Myślałem o rodzinie. Zastanawiałem się, czy jeśli teraz umrę, ktoś ich zawiadomi, w jaki sposób umarłem i co mi uczyniono.

Nie płakałem. Przyznałbym się do tego, ale nie mogłem płakać. Nasz Prorok płakał, gdy umarł mu syn. Ja nie płakałem w tym samolocie. Mamy takie przysłowie: „Łzy płynące z oczu nie bolą tak, jak te płynące z serca”. A może wcale nie istnieje takie przysłowie, tylko ja sam je wymyśliłem podczas tego lotu? Powtarzałem sobie po wielokroć te słowa: *Kalbin aglamasin gdzlerin aglamasin dań cok daha siddelidir*.

Potem modliłem się po cichu: Boże mój, Allachu, daj mi cierpliwość i siłę i chroń mnie. Wiem, że jesteś najlepszym obrońcą, tylko od Ciebie oczekuję ochrony, bo Ty jesteś wszechmocny.

Modliłem się tak przez pięć lat.

Nie wiem, jak długo trwał lot. Wreszcie zaczęliśmy schodzić w dół. Rozpoznałem po odgłosie silnika, że niedługo wylądujemy. Pomyślałem jeszcze, że nic mi się nie stanie, bo mam pasy.

Znowu usłyszałem hydraulikę tylnej klapy. Poczulem uderzenie w głowę, a gdy ją uniosłem, ujrzałem przez worek oślepiające światło. Błyski. Odchyliłem głowę do tyłu i zobaczyłem żołnierzy, którzy nas fotografowali i filmowali. Stali na pasie startowym.

Wtedy w jednej chwili pojąłem: podczas całego lotu żołnierze nazywali nas terrorystami, a te zdjęcia będą pokazywali jako fotografie terrorystów. Albo więc myśleli, że jestem terrorystą, albo już wiedzieli, że jestem niewinny, ale musieli wykazać się osiągnięciami i chcieli się nami pochwalić. Zdenerwowało mnie to. Będą mówili w Ameryce i wszędzie na świecie: oto są właśnie poszukiwani przez nas terroryści. To są zbrodniarze

odpowiedzialni za zamachy jedenastego września, i tak ich traktujemy!

Dopiero później dowiedziałem się, że te zdjęcia rzeczywiście przedstawiane były w mediach jako „dowód”, że zostaliśmy schwytani przez Amerykanów na terenie ogarniętego wojną Afganistanu, choć wszystkich nas policja zatrzymała w Pakistanie.

Ale w samolocie myślałem tylko o tym, że muszę im udowodnić, iż jestem niewinny. Żołnierzom zapewne powiedziano, że jestem terrorystą, i dlatego mnie bili, myślałem. Nawet jeśli nie było to zgodne z prawem, byłem skłonny to zrozumieć. Ale przecież w ciągu kilku następnych dni okaże się, że jestem niewinny - i uwolnią mnie. Nadzieję czerpałem wtedy z tego, że wszystko miało się wyjaśnić podczas najbliższego przesłuchania.

Żołnierze rozpięli nam pasy. Gdy mnie podnieśli, czułem, że nie mogę ustać na nogach. Cienką, ale mocną taśmą plastikową związali nas ze sobą za ręce. Gdy traciłem równowagę i chwiałem się, taśma kaleczyła mi dłoń. Swoje kroki słyszałem jako głuche odgłosy, jakbym chodził nie na własnych nogach, ale na czymś całkiem obcym, na jakichś szczudłach, które wbijają mi się w ciało. Miałem jednak szczęście. Inni więźniowie mieli połamane nogi, na pewno od uderzeń.

Niektórzy próbowali iść na jednej nodze. Jednego żołnierze ciągnęli po ziemi. Widziałem wleczoną bezwładnie jego odłamana poniżej kostki stopę.

Usłyszałem szczekanie psów. Potykając się, zesliśmy jakoś z rampy. Ile razy ktoś z nas upadł lub zatrzymał się, innych także ciągnęła taśma, powodując ból. Wokół nas było dużo psów; słyszałem, jak gryzły innych. To słyhać. Były to owczarki belgijskie i niemieckie. W Bremie też miałem psy, mimo worka na głowie potrafiłem je więc rozpoznać. Owczarki

belgijskie są większe i silniejsze niż niemieckie; mają krótszą sierść i zazwyczaj są jednolicie umaszczone.

Kilka minut szliśmy, a następnie żołnierze rzucili nas na ziemię. Mieliśmy położyć się na brzuchach. Jakiś żołnierz usiadł mi na plecach. Czułem skraplający się na worku mój własny oddech, odczuwałem zimno kamiennego podłoża. Najwyraźniej mieli nas pojedynczo odprowadzać - tyle potrafiłem zrozumieć. Słyszałem odgłosy helikoptera i silniki dżipów lub ciężarówek. Pierwsza, druga, trzecia. Trwało to bardzo długo.

Nie umiem powiedzieć, czy na ziemi leżałem kilka minut, czy kilka godzin. Nie zdawałem sobie sprawy, że straciłem przytomność. Może z zimna.

Obudziłem się, gdy ktoś uderzył mnie w twarz.

- *I feel his heart beating again** - powiedział żołnierz, który siedział mi na plecach.

Postawili mnie w pionie; próbowałem iść. Żołnierz zdzielił mnie bardzo silnie w plecy. Poleciałem do przodu, aż ktoś mnie zatrzymał i zdjął mi z głowy worek. Byłem w jakimś namiocie. Przede mną siedział przy stole mężczyzna, na blacie leżały papier i długopis. Dwaj żołnierze rozcinali nożyczkami mój kombinezon, aby zdjąć go ze mnie bez rozkuwania rąk i nóg. Wkrótce byłem nagi. Na stojącym obok krześle widziałem inne ubrania, wśród nich niebieski kombinezon.

• *Name?*

- *Agę?*

• *Bom in?*

Ktoś wyrwał mi kilka włosów. Zostałem zważony, pobrano też próbkę mojej śliny. Pokazano mi, że mam podnieść kombinezon. Na zewnątrz

słyszeć było strzały. Wydawało mi się też, że słyszę wybuchy bomb. Po każdym z tych odgłosów człowiek siedzący na krześle kulił się w sobie. Otrzymałem wtedy numer 53. Byłem pięćdziesiątym trzecim więźniem. Znowu głuchy huk. Numer wybity był na plastikowej taśmie, którą obwiązali mi przegub dłoni. Żołnierze zdawali się podenerwowani.

- *Hurry!*

To, co słyszałem, to były z całą pewnością samoloty i odgłosy walki. Rakiety. Syki, gwizdy, głuche uderzenia.

Zorientowałem się, że nie jestem w Turcji, tylko gdzieś, gdzie toczy się wojna.

- *Hurry up!*

Amerykanie zostali zaatakowani i odpowiadali ogniem. Samoloty i helikoptery startowały i lądowały. Wystrzały rakiet zdawały się bardzo bliskie. Mężczyzna przy stole był blady.

- *Look down!* * - krzyczał.

Czułem obawę żołnierzy, gdy chwycili mnie za ręce. Z całej siły przyciskali mi głowę do piersi. Wyglądało na to, że mniej boją się bomb niż mnie, choć byłem nagi, skuty i nieuzbrojony.

Oficer zadał mi jeszcze kilka pytań, ale z trudem trzymałem się na nogach i ledwo wymawiałem „tak” i „nie”. Później wyprowadzili mnie z namiotu.

Była noc. Zobaczyłem ogrodzenie ze zwojów drutu kolczastego. Obejmowało powierzchnię mniej więcej pięć na dziesięć metrów, znajdującą się pośrodku obozu wojskowego. Wokół ogrodzenia chodziły dwuosobowe patrole. Zaprowadzono mnie tam. Nie było drzwi, tylko przymocowany do ogrodzenia drąg, który można było podnosić i opuszczać

za pomocą łańcuchów. W środku siedziało w kucki dwudziestu lub trzydziestu więźniów. Jakiś żołnierz uderzył mnie kolbą karabinu w tył głowy. Upadłem.

- *See that?!*

Wskazał na swoją broń.

• *Can you see that?!* - krzyknął.

• *Don't move!*

Zrozumiałem: jeśli się poruszę, to mnie zastrzeli. Inni żołnierze mnie rozkuli. Gdy zdjęli mi z przegubów kajdany, nie mogłem poruszać palcami. Były sine i zdrętwiałe, podobnie jak stopy. Kombinezon rzucili na podłogę. Chciałem go podnieść i założyć, ale skierowali na mnie lufy.

-*Don't move!*

- *Sit down!* - wrzeszczeli.

Usiadłem. Żołnierze wycofali się z boksu, ale nadal krzyczeli:

- *Sit down! Don't move!* *

Musiałem siedzieć nago obok kombinezonu - aż do następnego dnia. Zmarzłem okropnie. Po chwili się położyłem. Byłem bardzo zmęczony i spałem głębokim, twardym snem.

Gdy zaczęło się robić jasno, rozejrzałem się dookoła. Zobaczyłem namioty, zwoje drutu kolczastego i wysoką wieżę. Gdzieś w pobliżu musiało znajdować się lądowisko dla samolotów i helikopterów. Stał tam długi hangar z drewna i blachy falistej oraz szkielet drugiego hangaru. Blacha pierwszego pełna była dziur. Kule, pomyślałem.

Obok zamkniętych namiotów na drewnianych stojakach rozpięte były zielone płachty, tworzące rodzaj otwartych zacienionych altan. Wszędzie

było widać zajętych pracami ziemnymi żołnierzy oraz buldożery. Wyglądało na to, że obóz jest jeszcze w trakcie budowy. Z jednej strony wieży zobaczyłem rodzaj muru ze stali lub blachy. Może okalał cały obóz, dokładnie tego nie widziałem. Daleko za hangarami stały białe słupy, wyglądające jak krzyże nagrobne. Ale nie mogły to być groby, bo słupy miały co najmniej po trzy metry wysokości. Z drugiej strony, w pewnym oddaleniu, widoczne było drugie ogrodzenie z więźniami.

Wokół obozu jak okiem sięgnąć wznosiły się góry. Ogromne. Tak wielu tak wysokich gór jeszcze w życiu nie widziałem. Ich szczyty pokrywał śnieg. Ziemia w obozie była mocno zmarznięta i pomarszczona jak zastygłe kamienne koryto rzeczne. Przez cały czas słychać było odgłos startujących i lądujących helikopterów.

Jedni więźniowie siedzieli nago, tak jak ja. Inni naciągnęli już na siebie kombinezony. Niektórzy wciąż jeszcze nosili na nogach zardzewiałe kajdany z Pakistanu, z szerokimi opaskami wokół kostek i prętem między nimi. Gdy zauważyłem, że wartownicy zajęci są jakimś więźniem nieco dalej ode mnie, szybko naciągnąłem kombinezon. Nic nie powiedzieli. Wcisnąłem brodę pod ubranie i ogrzewałem się oddechem. Zrobiło mi się trochę cieplej. Zacząłem poruszać rękami, ale czucie w palcach wróciło dopiero po wielu dniach.

Nie wolno nam było ze sobą rozmawiać, ale nie stosowaliśmy się do tego zakazu. Próbowaliśmy się porozumieć, ilekroć żołnierze choćby na parę kroków oddalali się od ogrodzenia. Tyle że ja nie znałem arabskiego ani farsi, języka Afgańczyków, a mój angielski nadal był bardzo kiepski.

Nie mogłem też, niestety, *znaleźć* Salaha i innych mężczyzn znanych mi z więzienia w Pakistanie. Musieli zostać umieszczeni w innej żonie. Wkrótce

się przekonałem, że to stąd Amerykanie prowadzą walki z talibami. Musieliśmy zatem znajdować się gdzieś w Afganistanie. Może było to dawne lotnisko rosyjskie?

Byli ze mną Arabowie mieszkający w Afganistanie oraz Arabowie z Pakistanu, byli taksówkarze, drobni handlarze i przedsiębiorcy. Był też jeden lekarz. Nazywaliśmy go Doktorem. On także został sprzedany Amerykanom jako obcokrajowiec. Był ortopedą. Przyjechał do obozu dwanaście godzin przed nami, w pierwszej grupie. Ja byłem w drugiej, pakistańskiej. Z jego gestykulacji domyśliłem się, że pierwszą grupę żołnierze bili znacznie bardziej niż naszą.

Kilka lat później znowu spotkałem Doktora w Guanta-namo. Często wtedy ze sobą rozmawialiśmy. Zasypywałem go pytaniami na temat sposobu odżywiania się, na czym się doskonale znał. Interesowało mnie, co należy jeść, a czego unikać, gdy się ma na przykład złamaną kość. Pytałem, jak samemu leczyć złamania i takie rzeczy, które w każdej chwili mogły mnie spotkać.

Doktor mieszkał w Pakistanie od dwudziestu lat. Jego dzieci wychowywały się w tym kraju i chodziły tam do szkoły. W miasteczku znali go niemal wszyscy. Pewnej nocy policja wyciągnęła go z łóżka. Stanęli w drzwiach, ostrzelali okno i wdarli się do sypialni. Związali go na podłodze, na oczach przerażonej żony i dzieci. Jakiś czas trzymali go w więzieniach pakistańskich, a następnie za opłatą przekazali Amerykanom jako terrorystę.

Tamtego ranka to wszystko nie miało jednak dla mnie żadnego znaczenia. Byłem bardzo głodny i musiałem iść do toalety. Ale żadnej toalety tam nie było.

Zagadnąłem patrolujących teren żołnierzy:

- *Toilet, toilet...*

- *Shut up! Sit down!* - jeden z nich skierował na mnie lufę.

Nie mogłem dłużej siedzieć, musiałem iść do toalety. Było mi obojętne, czy użyją broni. Podeszedłem do ogrodzenia. Żołnierz zaczął wrzeszczeć, jakby miał mnie za chwilę rozstrzelać. Zignorowałem go i załatwiłem najpilniejszą potrzebę.

Żołnierz zniknął i po chwili wrócił w towarzystwie jakiegoś oficera, który niósł plastikowe wiadro. Przerzucił je przez ogrodzenie i powiedział, żebyśmy je wzięli. Skorzystali z niego wtedy niemal wszyscy więźniowie. Było to upokarzające. Zarówno młodzi, jak starzy, religijni i nie, musieli się rozbierać do naga, by załatwić potrzeby fizjologiczne. Zgodnie z zasadami islamu mężczyźni nie mogą obnażać ciała od pępka po kolana; dotyczy to nawet łaźni. W Bremie na siłowni zawsze brałem prysznic w szortach. A tu chodziły również wokół ogrodzenia żeńskie patrole. Nie było to łatwe.

Cały dzień siedzieliśmy w tej *zagrodzie*. Czasami do nas i do innych żon dochodzili nowi więźniowie. Im też nie wolno było założyć kombinezonów. Musieli siedzieć nago. Policzyłem, że w naszej żonie znajdowało się około sześćdziesięciu więźniów.

Gdy zapadał zmierzch, żołnierze odprowadzali nas dziesiątkami. Dziesięciu gotowych do strzału żołnierzy pilnowało wówczas ogrodzenia. Kazali nam pojedynczo wstawać, podchodzić do ogrodzenia; tam znowu nas zakuwali w kajdanki i łańcuchy. Prowadzili nas do pustego hangaru. Widziałem w nim tylko długi korytarz i mnóstwo blaszanych ścian oraz drutów kolczastych. Pędzili nas do pomieszczenia z blachy falistej i kazali

siadać na ziemi. Piasek, kamienie, zmarznięte podłoże, całkiem jak w żonie. Ryglowali drzwi. Każdy z nas otrzymywał MRE. Plastikowe pojemniki przrzucali nam po prostu przez druty ogrodzenia.

MRE to racja żywnościowa armii amerykańskiej. Jest to skrót od *Meal Ready to Eat*. W wymowie Arabów, którzy byli tu przede mną, brzmiało to jak „emarie”, więc i my tak je później nazywaliśmy. W jednym takim pojemniku znajduje się zazwyczaj porcja zawierająca około dwóch tysięcy kalorii. Są tam na przykład opakowane w aluminium kartofle albo ryż i mięso lub kurczak, nieco warzyw, pudding, krakersy lub słodczyce oraz plastikowe sztucce: łyżka, widelec i nóż. Do tego mały kocher, na którym można to podgrzać. Każda emarie miała numer zależny od zawartości. W niektórych była też wieprzowina. Ale te porcje, które żołnierze przrzucali nam przez ogrodzenie, zawierały jedynie niewielką ilość ryżu, krakersy lub kilka kawałków mięsa. Wszystko to było zmieszane razem, cała reszta jedzenia zniknęła z pojemników. To, co do nas trafiało, często nie miało nawet sześciuset kalorii. Żeby być zdrowym, człowiek potrzebuje ponad tysiąc pięćset kalorii dziennie. Wiem to od mojego trenera z siłowni w Bremie.

W mojej porcji znajdowała się wieprzowina: na wierzchu było napisane „Pork”. Kilka wysuszonych okruchów mięsa i do tego ryż. Nie mogłem tego jeść. Próbowałem postarać się o następną. Podszedłem do ogrodzenia i zagadnąłem jednego z żołnierzy.

- *Shut up!* - wrzasnął na mnie.

Narastała we mnie wściekłość.

W Bremie trenowałem sztuki walki, boks i karate. Pracowałem jako ochroniarz. Patrząc na tych strażników, wiedziałem, że w ciągu kilku minut

mógłbym sprowadzić ich do parteru. Rozwścieczało mnie to jeszcze bardziej. Oto stoi za drucianym ogrodzeniem taki żołnierz, który mimo karabinu maszynowego wygląda, jakby się mnie okropnie bał, i wrzeszczy na mnie. Ma prawo robić ze mną, co mu się podoba. Może zabrzmi to źle, ale z trudem to znosiłem.

Usiadłem z powrotem na ziemi i zacząłem jeść krakersy.

Obserwował to jeden bardzo młody więzień. Przysunął się do mnie i zaproponował, że podzieli się ze mną swoją porcją - był w niej kurczak. Odmówiłem, ale on nalegał. W naszej sytuacji jedzenie jest wszystkim, co się ma. Tymczasem ten młody chłopak potrafił się ze mną zawsze podzielić, mimo że sam był głodny. Mógł mieć szesnaście lub siedemnaście lat, nie miał jeszcze nawet zarostu. Byłem tym bardzo poruszony.

Nagle przez wejście w ogrodzeniu wpadli żołnierze i zaczęli bić tego chłopaka, ponieważ zauważyli, że oddał mi część swojej porcji. Nic nie mogłem zrobić, a bezradność była nieznośna.

Nigdy więcej nie zobaczyłem tego chłopca. Może zmarł. A może nie rozpoznałem go na Kubie. Tortury zmieniają ludzi.

Tego wieczoru zostaliśmy przeniesieni. Grupami po dwudziestu przeprowadzono nas do innej żony, również otoczonej drutem kolczastym. W nowym miejscu było nas około sześćdziesięciu. Próbowałem spać, ale jeszcze tego samego wieczoru odbyło się moje pierwsze przesłuchanie. Przyszło po mnie dwóch żołnierzy. Amerykanie nazywali ich *escort--team*.

Słowo „eskorta” słyszałem już kiedyś w Bremie, gdy pracowałem jako ochroniarz w różnych dyskotekach. Tam oznaczało ono tyle co „towarzystwo” i odnosiło się do kobiet, które profesjonalnie przez cały

wieczór świadczyły usługi towarzyskie mężczyznom. Z tymi „towarzyszami” miałem do czynienia po raz pierwszy, ale nie ostatni. Mieli mnie dość często w ten sposób „obsługiwać”.

Wywołują mój numer: *Zero-five-three, get ready!*

W miejscu, w którym otworzyli ogrodzenie, mam położyć się na brzuchu na ziemi, z rękami założonymi na kark. Pozostali więźniowie ustawiają się po przeciwnej stronie żony, twarzami do drutów. *Escort-team* wpada jak burza i skuwa mi ręce i nogi. Jeden ze strażników uderza mnie pięścią w plecy, drugi ciągnie mi w górę ręce, inny chwyta z tyłu za włosy i pcha głowę w dół. Muszę iść bardzo szybko.

Prowadzą mnie do jakiegoś namiotu, w którym siedzi kilku oficerów. Rozmawiają ze mną po angielsku, choć niewiele z tego rozumiem. Pytają:

- *Where is Osama?*
- *Are you from Al Qaida?*
- *Are you Taliban?*

Tyle rozumiem. W kółko powtarzają te same pytania.

- *Are you from Al Qaida?*
- *No.*

Jeden z żołnierzy uderza mnie w twarz.

- *Are you Taliban?*
- *No.*

Żołnierz znowu mnie uderza.

- *Where is Osama?*
- *Don't know**

Inny żołnierz uderza mnie w brodę.

- *Are you from Al Qaida?*

-No...

Znowu cios w twarz. Mam zakrwawione usta, z nosa kapie mi krew.

-*Are you Taliban?*

-*No!!!*

Za każdym razem, gdy mówię „nie”, otrzymuję kolejny cios.

-*Do you know Mohammed Atta?* - pyta nagle oficer.

Nazwisko wydaje mi się znajome. Zastanawiam się. Boli mnie głowa.

-*One moment* - mówię. - *Yes, I know. I hear. That name.*

I don't know where...

Przypominam sobie: słyszałem to nazwisko w telewizji. Tak się nazywa mężczyzna, który podobno brał udział w zamachach jedenastego września. Próbuję wytłumaczyć to po angielsku.

-*Yes*- mówi oficer. - *He was your friend.*

•*No, I know from TV...*

Znowu uderzenie.

•*TV! TV! News! You understand?*

•*You are his friend!*

-*No...*

Oficer wstaje. Ja klęczę na ziemi, ręce mam związane na karku. Podchodzi do mnie i z całej siły uderza w twarz. Jest młody, może trochę po trzydziestce. Pyta, co robiłem w Pakistanie. Opowiadam mu o tablighach i o Mohammadzie. Mówi:

•*Kłamiesz! Twoja wiza jest sfałszowana!*

•*Przecież ją macie, możecie sprawdzić!* - odpowiadam.

Wraca do swojego stolika, podnosi z ziemi jakąś teczkę i wyrzuca jej zawartość na stół. Jest tam mój portfel, bilet lotniczy, paszport i dowód.

- *Look. My passport. There is my visum** - mówię.

Ogląda z uwagą mój paszport.

" Znasz Mohammeda Attę? / Chwileczkę... Tak, znam. Słyszałem. To nazwisko. Nie wiem gdzie... / To był twój kumpel. / Nie, znam go z telewizji.../ Telewizja! Wiadomości! Rozumiesz? /Jesteś jego kumplem! / Nie. / Zobacz. Mój paszport. Tam jest moja wiza.

• *It's fake* - mówi, pokazując stempel konsulatu. - *You madę ityourself.*

• *Cali them. I have itfrom Pakistan! Consulate. I was there.*

- *You wanted to go to Afghanistan!*

-*No.*

Po tym „nie" także następuje uderzenie.

• *You know Osamal*

• *No, no. Cali in Germany, cali my mother, my school...**

• *Where is Osamal*

-*No, no...*

Znowu bije.

• *You arę Talibanl*

-*No, no...*

Znowu bije.

Nagle oficer pyta mnie o nazwisko, które znam. To nazwisko mojego

kolegi ze szkoły. Podaje jakiś numer, nie rozumiem go. Czy to numer telefonu?

- *Zero-zero-four-nine-four-two-one...*

- *I know!... Friend! He's a friend from school!*

Wymawia drugie znane mi nazwisko. To przyjaciel z meczetu z Hemelingen. Znowu odczytuje nazwisko i numer z jakiegoś świstka papieru.

- *Yes, I know, friend...*

Powtarza numer. Rozpoznaję kierunkowy do Bremy i kilka cyfr. Skąd on ma te numery telefonów?

- *Fatima. Zero-zero-nine-zero... - czyta.*

- *My wife! My wife! In Turkey... ***

Sfalszowany. Sam to zrobiłeś. / Zadzwoń do nich. Mam ja z pakistańskiego konsulatu. Byłem tam. / Chciałeś się przedostać do Afganistanu! / Znasz Osamę! / Zadzwoń do Niemiec, do mojej matki, do szkoły...

** Zero, zero, cztery, dziewięć, cztery, dwa, jeden... / Wiem!... Kolega! To kolega ze szkoły! / Fatima. Zero, zero, dziewięć, zero... / Moja żona! Moja żona! W Turcji...

Nagle pyta:

- *You sold your celi phone before you left Germany. Why did you sell your celi phone?*

Rozumiem: *celi phone* to po angielsku „telefon komórkowy”. Tak, sprzedałem komórkę przed wylotem do Pakistanu.

• *Yes! I sell celi phone. How you know?*

Bije mnie w twarz.

• *Who did you sell it to?*

Nie wiem, komu sprzedałem, nie pamiętam. Tak często zmieniałem komórki. Kupowałem nowe, sprzedawałem stare... W punkcie sprzedaży? Któremuś z kolegów? Nie wiem.

Ktoś bije mnie z tyłu w głowę.

- / *don't know... I always sell celiphones...*

Dziwię się: skąd on to wie? Ale nie mam czasu zastanawiać się nad tym, bo znowu ktoś mnie uderza. Widzę gwiazdy.

- *You took your money from your bank. From Bremer Bank.*

I know that. What did you use itfor? - pyta oficer.

Rozumiem tylko „Bremer Bank”. To mój bank. Skąd on to wie? Nie zabrałem ze sobą żadnej karty!

• *Quick! Answer! What did you use the money for?*

• *Ticket! I buy ticket to Pakistan and back!*

• *Who is Selcuk Bilgin?*

Selcuk? Skąd on zna Selcuka? Nikomu dotąd o nim nie opowiadałem. I tak by nie zrozumieli...

- *Quick!*

Czuję kopnięcie w żołądek. Przewracam się, jest mi niedobrze.

- *Friend! Myfriend! Together to Pakistan... But no come...**

* Sprzedałeś swoją komórkę zanim wyjechałeś z Niemiec. Czemu sprzedałeś komórkę? / Tak! Sprzedałem komórkę. Skąd wiesz? / Komu ją sprzedałeś? / Nie wiem... Zawsze sprzedaję komórki... / Podjąłeś pieniądze z banku. Z Bremer Bank. Wiem o tym. Na co je wydałeś? / Szybko! Odpowiadaj! Na co wydałeś te pieniądze? / Bilet! Kupuję bilet do Pakistanu i z powrotem! / Kim jest Selcuk Bilgin? / Kolega! Mój

przyjacieli! Razem do Pakistanu... Ale nie przyjeżdża...

Chce wiedzieć nawet to, dla kogo jest zabawka w moim bagażu, a dla kogo naszyjnik. Myślę jeszcze: a więc Moham-mad oddał moją torbę.

Godzinami padają te same pytania, a po nich następują uderzenia. Oficer nie chce pojąć, kim jestem i po co chciałem pojechać z Selcukiem do Pakistanu. Że chcieliśmy razem uczestniczyć w zajęciach szkoły koranicznej, że czekałem na Selcuka na lotnisku w Karaczi, ale on się w ogóle nie zjawiał. Nie przyjechał, choć umówiliśmy się jeszcze we Frankfurcie. Oficer mnie nie słucha. Zadaje wciąż te same pytania, odczytuje nazwiska i numery. Potem mnie biją. Do dzisiaj pamiętam zdania, które ustawicznie powtarzał:

-Jesteś terrorystą! Dobrze o tym wiemy. Zostaniesz tu na zawsze. Nie wrócisz już nigdy do domu!

Gdy dochodzę do siebie, jestem już w żonie. Mam opuchniętą twarz, boli mnie każda kość. Słyszę, że wywołują numer jakiegoś innego więźnia.

Wciąż pojawia się ten *escort-team* i przyprowadza kogoś z przesłuchania lub go na przesłuchanie zabiera. Ja też jestem ciągle przesłuchiwany, tym razem jeszcze tego samego dnia. A może jest już noc? W każdym razie od dłuższego czasu jest ciemno. Wciąż ta sama zabawa, zmienia się tylko przesłuchujący mnie oficer oraz żołnierze, którzy mnie biją. Nazwiska, numery, zarzuty, uderzenia. Gdy znowu znajduję się w żonie, nie pamiętam już niczego.

Próbuję się jednak skupić. Skąd oni znają nazwiska i numery telefonów moich przyjaciół? Skąd wiedzą o Selcuku? Pewnie się porozumieli. Musieli dzwonić do Niemiec.

Numery i nazwiska Niemcy mogli znaleźć w mojej komórce, może pozostały tam zapisane. Inne mogły być na wizytówkach, które nosiłem w portfelu. W Bremie wszyscy mieliśmy wizytówki, ale zabrałem tylko niektóre, kolegów z pracy i ze szkoły.

Ale skoro Amerykanie wiedzieli aż tyle, to znaczy, że dzwonili do władz niemieckich, a te musiały przecież skontaktować się z moją rodziną. I z Selcukiem. Muszą więc ze wszystkich źródeł wiedzieć, że nie jestem żadnym terrorystą!

Następnego dnia przesłuchują mnie trzykrotnie, ale za każdym razem najwyżej po dwie godziny. Pomiedzy przesłuchaniami siedzę w zagrodzie. Jest okropnie zimno. Prawie nie czuję palców u nóg, nadal są całe sine. Nieraz przypominam sobie, jak mama, wracając z zakupów w Hansa-Carre, przynosiła mi ciepłe skarpety. Nienawidziłem chodzenia w grubych wełnianych skarpetach. Drapały mnie w nogi. Gdy teraz o tym myślę, niemal wpadam w *rozpacz*: gdyby tak mieć tu teraz choć jedną parę ciepłych wełnianych skarpet!

Kiedy nadchodzi właściwa pora, modlimy się. Orientujemy się po słońcu: pierwszy raz, gdy jest już jasno, ale słońce jeszcze nie wzeszło, potem w południe, gdy stoi w zenicie, po południu, gdy cień jest dwukrotnie dłuższy niż sam człowiek, a następnie wieczorem, po zachodzie, ale zanim zapadnie zmrok. Ostatni raz modlimy się nocą; cicho, każdy osobno, na siedząco.

Gdy któregoś ranka stoimy i modlimy się wspólnie po raz pierwszy, grożą, że nas rozstrzelają. My jednak modlimy się dalej. Niech strzelają, jeśli chcą. Nie robią tego. Wrzeszczą tylko i grożą. Potem przychodzi komendant lub jakiś wyższy rangą oficer i zaczyna z nami rozmawiać.

Mówi, że możemy się modlić w porach modlitwy. Nie dlatego, że chce być dla nas miły, ale dlatego, że dostrzega własną bezsilność. Widzi, że zakazy nic nie dadzą, bo raczej umrzemy, niż przestaniemy się modlić. A nie powinniśmy umierać, bo chcą nas jeszcze przesłuchiwać. Teraz zaczynamy modły na stojąco, następnie klękamy i zwracamy się ku wschodowi. Nie możemy

umyć się przed modlitwą, ale nasza wiara dopuszcza użycie piasku, jeśli nie ma w pobliżu wody.

Gdy pada deszcz, jego krople kłują nas w twarze niczym igły. Wkoło robi się błoto. Człowiek ma wrażenie, że jest wypłukiwany dokądś razem z tym szlamem i brudną wodą. Często skupiamy się razem, żeby się wzajemnie ogrzewać. Potem deszcz ustaje, zaczyna wiać wiatr i wszystkie nasze myśli przenika chłód. Ziemia marznie i staje się twarda, kombinezon jest jeszcze mokry i klei się do ciała. Zimno można wręcz zobaczyć: widzę je po żołnierzach, którzy noszą grube rękawice, kurtki i płaszcze, mają na głowach czapki, jakie zakłada się pod kaski motocyklowe. Zakrywają sobie nimi całe twarze, pozostawiając jedynie otwór na oczy.

Poza godzinami modlitw nie wolno nam wstawać i poruszać się, mimo że znacznie bardziej wtedy marzniemy. Ale i tak nie bardzo moglibyśmy się poruszać: jesteśmy wygłodzeni i wymęczeni. W żonie siedzą też zupełnie starzy ludzie. Są tu i tacy, którzy mają połamane lub nabiegłe ropą stopy, nogi lub ręce, więźniowie z pękniętymi kośćmi szczękowymi, połamanymi palcami i nosami, z twarzami opuchniętymi od bicia, jak moja.

Wieczorem pędzą nas do hangaru, gdzie dostajemy każdy jedną emarie. Rano dają afgański chleb. Jest biały; jeden bochenek musimy dzielić na pięciu. Przerzucają je nam przez ogrodzenie, więc bochenki nieraz lądują

wprost na brudnej ziemi. Raz dziennie otrzymujemy też wodę - jedną półlitrową plastikową butelkę na osobę. Ale czasami nie mamy w ogóle ani wody, ani chleba. Pewnego ranka każdy z nas dostał koc. Wolno nam ich było używać zaledwie przez kilka godzin. Potem trzeba je było oddać albo trzymać obok siebie.

Nie można się nimi przykrywać nawet w nocy. Ale o śnie i tak nie ma mowy, bo żołnierze trzymają nas po kilka godzin na stojąco. Każdy więzień co najmniej raz dziennie jest odprowadzany na przesłuchanie. Odbywają się także nocą. Wstawaj, siadaj. Przesłuchanie, bicie. Siadaj, wstawaj. Gdy wolno nam korzystać z koców, zakrywam sobie również głowę. Po krótkim czasie jest mi już cieplej od oddechu, ale potem koc sztywnieje, gdyż wilgoć zamarza.

Nie ma ani jednej spokojnej minuty. Jeśli mam szczęście, udaje mi się poleżeć przez pół godziny. Oddech zamarza mi już nawet na ubraniu. Nieraz pytam samego siebie, czy lepsze jest przesłuchanie i bicie w namiocie, czy tkwienie w kucki na zimnie, na terenie ogrodzonym kolczastym drutem. W namiocie jest przynajmniej ciepło. Ale los przesłuchiwanego jest niepewny: niektórzy z przesłuchań nie wracają. Czy wywożą ich do jakiegoś innego obozu? I dokąd?

Przychodzi *escort-team*. Żołnierze niosą długą skrzynię, która przypomina trumnę, ale ma dziury. Wywołują jakiś numer, my, pozostali, ustawiamy się przy ogrodzeniu. Opuszczam głowę i staram się widzieć, co się za mną dzieje. Więzień leży na brzuchu. Wiążą go, podnoszą i wkładają do tej skrzyni. Słyszę, jak rozmawiają. Rozumiem tylko pojedyncze słowa: *dangerous, caution*. Niebezpieczny. Uwaga. Mówią, że ten mężczyzna jest niebezpieczny. W skrzyni, do której wkładają go obwiązane jak paczkę,

są pasy. Nakładają wieko i wynoszą człowieka.

Tak się to odbywało. Dzień po dniu.

Mimo to ciągle żywiłem nadzieję, że kiedyś wreszcie trafię na przesłuchującego, którego będę mógł przekonać o swojej niewinności. Dowiedzą się przecież, że niedługo przed wylotem do Pakistanu wziąłem ślub, że moja wiza jest legalna i że nigdy nie byłem w Afganistanie. Mogą to przecież potwierdzić w ciągu jednej doby, telefonując do Niemiec. A wtedy odeślą mnie do domu.

Ilekcioć jednak wzywali mnie na przesłuchanie, w ogóle nie słuchali, co chcę im powiedzieć. Wielu rzeczy, które do mnie mówili, nie rozumiałem. Często zachowywali się tak, jakbym doskonale znał angielski; nieraz nawet mówili, że muszę bardzo dobrze znać ten język. Czasami przesłuchiwał mnie oficer, którego już znałem, kiedy indziej pojawiały się nowe twarze. Ale wszyscy byli tacy sami: od początku wymieniali nazwiska i numery moich przyjaciół i próbowali wymusić na mnie zeznania, że są oni talibami. Bili mnie, chcąc zmusić do wyznania: tak, należę do Al-Kaidy i wiem, gdzie jest Osama! Niczego innego słuchać nie chcieli. Sytuacja była beznadziejna. Mogłem liczyć tylko na przybycie kogoś z niemieckich władz cywilnych lub wojskowych.

Niemal codziennie przenoszono nas w inne miejsce. Z jednej żony do drugiej, a wreszcie do ogrodzeń pod dachami namiotów. Jakies dwa tygodnie po przybyciu do obozu poznałem dwóch Turków. Wreszcie mogłem z kimś porozmawiać i być zrozumiany. Było to dla mnie wybawienie. Mówili nie tylko po turecku, ale znali też trochę arabski, dzięki czemu dowiedzieli się od Arabów niemal wszystkiego: gdzie dokładnie się znajdujemy, co się ma z nami stać, co Amerykanie o nas myślą i tak dalej.

Powiedzieli, że jesteśmy w Kandaharze. Ale skąd to wiedzieli? Mogliśmy przecież być zupełnie gdzie indziej, wokół były same góry. Odpowiedzieli, że Afgańczycy wiedzą to bardzo dokładnie; znikły więc i nasze wątpliwości.

Wiedziałem, że obaj zostali ujęci w Pakistanie, tak jak ja. Opowiedzieli mi o tym. Ale nie pytałem, gdzie i jak się to stało ani co tam robili. O takie rzeczy w obozie się nie pyta. Amerykanie codziennie chcieli wiedzieć, gdzie zostaliśmy zatrzymani i czego tam szukaliśmy. Jeśli po przesłuchaniu wraca się do obozu i stawia te same pytania współwięźniom, to szybko wychodzi się na kapusia. Przez wszystkie te lata trzymałem się żelaznej zasady: jeśli ktoś chciał mi coś opowiedzieć, to chętnie słuchałem, ale nigdy nie zadawałem niemądrych pytań.

Tych dwóch Turków wypuszczono na wolność. Aby nie przysporzyć im kłopotów, będę nazywał ich Erhan i Serkan. Mieli mi jeszcze często towarzyszyć.

Pewnego dnia do obozu przybyli ludzie z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i przyszli wprost do naszej żony. Niektórzy więźniowie podeszli do ogrodzenia i rozmawiali z nimi. Wśród przybyszów był jeden Niemiec. Zagadnął mnie po angielsku, ale kiedy mu wyjaśniłem, że pochodzę z Niemiec, zaczęliśmy rozmawiać po niemiecku. Spytał mnie, czy chciałbym napisać list do rodziny, żeby wiedzieli, gdzie przebywam. Naturalnie chciałem napisać. Niemiec miał długie włosy, wąsy i nosił okulary. Mógł mieć czterdzieści parę lat. Powiedział, że nie wolno mi samemu nic pisać, bo naruszałoby to ustalone zasady. Musiałem z nim rozmawiać bardzo głośno, ponieważ ustawicznie startowały i lądowały samoloty wojskowe. On stał za drutami i trzymał w gotowości papier oraz coś do pisania, a ja dyktowałem mu słowa, które zachowałem w pamięci do dzisiaj:

Moi kochani,

wiem, że przysporzyłem Wam wielu kłopotów i trosk. Bardzo mi przykro z tego powodu. Nie mogę pisać samodzielnie - jak widzicie, to nie jest moje pismo. Przebywam obecnie w amerykańskiej bazie wojskowej w Kandaharze w Afganistanie jako więzień. Amerykanie próbują przedstawiać mnie jako terrorystę. Nie wiem, co będzie dalej. Codziennie nas tu biją, ale ja wszystko wytrzymam. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Wybaczcie mi wszystkie zmartwienia, jakich stałem się przyczyną.

Wasz syn Murat

Podałem temu człowiekowi adres i telefon rodziców w Bremie. Powiedziałem mu, że władze niemieckie zapewne już wiedzą, że tu jestem. Jeśli list rzeczywiście dojdzie, dowie się o tym także moja rodzina, jeśli dotąd nikt jej nie zawiadomił. Będą wtedy mogli przedsięwziąć jakieś kroki. Jeżeli byłoby na wszystko za późno, to matka będzie przynajmniej wiedziała, w jaki sposób umarłem.

Tego samego wieczoru *escort-team* zaprowadził mnie na przesłuchanie. Oficer trzymał w ręku mój list; pokazał mi go, a potem byłem bity. Oficer powiedział później:

*- That kind of stupid letter will never get to your Home...**

Dobrze to zrozumiałem.

- Nie jesteśmy przecież głupi - wyjaśnił oficer. - Jeśli chcesz napisać list do domu, to musisz ująć wszystko inaczej. Na przykład tak: „U mnie wszystko w porządku. Dobrze się czuję, nie martwcie się”. Rozumiesz?

Naturalnie nie byli głupi. O torturach i podobnych sprawach nie wolno

było pisać. Miałem jednak nadzieję, że człowiek z Czerwonego Krzyża ze zwykłej przyzwoitości zadzwoni do moich rodziców.

Oficer chciał zacząć przesłuchanie. Milczałem. Tego wieczoru w ogóle nic więcej nie powiedziałem, chociaż bili jeszcze bardziej.

Dzisiaj wiem, że człowiek z Czerwonego Krzyża nie zadzwonił do moich rodziców. Wiem też jednak, że musiał podpisać zobowiązanie, iż żadne informacje od niego nie przedostaną się na zewnątrz i że poddał się regułom obozowym oraz warunkom stawianym przez Amerykanów. Później w Guantanamo inni przedstawiciele Czerwonego Krzyża wyjaśniali mi, że przekazywać można było tylko te listy, które pozwalali przekazywać Amerykanie, a i ustnie nie wolno

* Zmieniłeś zdanie? / Co? / No więc jak? / Fajnie, co? / Zmieniłeś zdanie? / Dobra, spróbuj tego! / Przypominasz sobie teraz, kim jesteś? / Dobra, a co powiesz na to...

było o niczym informować. Tego Niemca, który nie zadzwonił do mojej matki, także tam widziałem. Może traktował swój zawód bardzo serio. Może nie chciał stracić pracy. Ale czy w takiej sytuacji człowiek nie jest zobowiązany do niesienia pomocy?

Znowu nas przenieśli i znowu zmienili skład współwięźniów. Ponownie idę na przesłuchanie. *Escort-team* prowadzi mnie do jednego z namiotów. Mówią mi tam, że mam usiąść na ziemi i rozłożyć szeroko nogi. W pierwszej chwili nie rozumiem, chcę uklęknąć, jak zawsze. Ale słyszę:

-*Sit! Sit down!* - a potem przyciskają mi nogi do ziemi, mam je szeroko rozłożyć. Dwaj żołnierze trzymają mnie mocno za stopy, inni

za ręce, i przygniatają mi kark tak, że nie mogę się poruszać.

-A więc nie jesteś terrorystą? - pyta przesłuchujący. - Więc nie jesteś z Al-Kaidy?

Z jego tonu wnioskuję, że szykują coś nowego.

- Dziś się to okaże - mówi inny.

Czy mają wykrywacz kłamstw? Ten mężczyzna trzyma coś w rękach, coś jakby dwie płytki z uchwyty, które przez krótką chwilę pociera o siebie. Wygląda to jak aparatura do masażu serca. Pierwsze uderzenie następuje, zanim jeszcze pojmuje, na co się zanosi.

To prąd. Elektrowstrząsy.

Przykładają mi elektrody do stóp. Nie mogę usiedzieć. Jest tak, jakby moje ciało samo zjeżdżało na ziemię. Czuję prąd w całym ciele: trzaska, sprawia wielki ból; czuję gorąco, uderzenia, skurcze, mięśnie są w konwulsjach, drgają, boli...

•*Did you change your mind?*

•*What?*

Nie wiem, jak długo trzymają elektrody przy moich bosych stopach - może dziesięć sekund, może dwadzieścia, a może dłużej, całą wieczność.

- *So how is that?*

Mężczyzna znowu pociera elektrody jedna o drugą i ponownie przykładają mi do stóp. Ponownie czuję skurcze, drgawki, gorący ból.

- *Funny, huh?*

Prąd jest jak szybki trzask zapalniczki, jak małe błyskawice w uszach. Gdybym mógł zajrzeć do swojego ucha, zobaczyłbym tam prąd. W tej

samej chwili słyszę krzyki.

To ja krzyczę. Ale mam wrażenie, że tak nie jest, że krzyki pojawiają się same. Drzę na całym ciele.

- *Did you change your mind?*

-No, no...

- *Okay, try this!*

Słyszę swój krzyk.

- *Do you remember now who you are?*

-No, yes, no...

- *Okay, how about that..**

Słyszę swoje serce. Bije głośno i jakoś dziwnie. Szybko, a potem znów wolno.

- *Do you know Osama?*

- *You... Taliban?*

- *..Atta...*

Prawie go już nie słyszę. Wiem na pewno, że albo stracę przytomność, albo umrę. Ale on za każdym razem odejmuje elektrody od moich stóp. I to jest najstraszniejsze: ból powraca i trwa, człowiek ma wrażenie, że już nie wytrzyma - i znowu...

Myślę, że straciłem przytomność. Wtedy zapewne przzerwali.

Było to nocą. Mogłem się trochę przespać, gdy nagle zbudziły mnie krzyki. Dobiegały z pewnej odległości, z drugiego otwartego hangaru, mającego tylko metalowy szkielet. Widziałem, jak dwaj żołnierze bili jakiegoś mężczyznę leżącego na ziemi w ogrodzeniu z drutu kolczastego. Zobaczyłem, że głowa bitego owinięta jest kocem. Uderzali w nią kolbami karabinów i stawali na jego ciele. Przychodzili inni wartownicy i żołnierze i

również go bili. Było tam siedmiu Amerykanów.

Naszą żonę od tego odkrytego hangaru dzieliło jakieś trzydzieści metrów. Spostrzegłem, że w pewnej chwili leżący mężczyzna przestał się poruszać. Żołnierze w dalszym ciągu się nad nim znęcali. Wreszcie zostawili go samego i odeszli. Dlaczego nie zakuli go w kajdanki i nie odprowadzili do żony?

Rano więzień leżał w tym samym miejscu. Widziałem teraz dokładnie, że koc szczelnie okrywał jego głowę. Jak mógł oddychać? Leżał w kałuży krwi.

Po południu dostrzegłem czterech oficerów. Oglądało go i zapisywali coś. Za chwilę pojawił się *escort-team*. Odwinęli koc z głowy leżącego, podnieśli go i położyli na noszach. Bez zakuwania. Jego ręce i nogi zwisały bezwładnie.

Nie żył.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nie żył.

Zadawałem sobie pytanie, czy miał dzieci. Zapewne. I czy jego matka i ojciec dowiedzą się kiedyś, w jaki sposób został zakatowany. W tamtym momencie było mi obojętne, czy zatłukli na śmierć jego, czy mnie. Moje życie nie było warte więcej niż jego. Dawno już zrozumiałem podstawową zasadę obowiązującą w tym obozie: mogli robić z nami, co tylko chcieli. A ja mogłem być następny.

Co będzie dziś w trakcie przesłuchania? Podczas ostatnich nie stosowali już elektrowstrząsów. Byłem bity, jak zawsze, ale na tym poprzestawali, a ja mogłem się nieco ogrzać. Wszedłem do namiotu. Na stole stała niebieska plastikowa wanna o średnicy mniej więcej pięćdziesięciu centymetrów, wypełniona wodą. Nie znałem przesłuchującego. Miało mnie przesłuchiwać

trzech oficerów, a obok stali dwaj gotowi do pomocy żołnierze.

-So, *you still don't want to tell the truth?* - spytał jeden z oficerów.

- *We will make you talk.*"

Wiedziałem, co teraz nastąpi.

Moja głowa mieściła się akurat w tej wannie.

Najpierw pomyślałem, że to tak jak z jedzeniem jabłka. W szkole podstawowej była taka zabawa w Hemelingen, którą nauczyciele organizowali podczas szkolnych uroczystości. Jabłko pływało w wiadrze z wodą. Należało je ugryźć, trzymając ręce z tyłu. Komu się to udało jako pierwszemu, ten wygrywał. Ale tu nie było jabłka.

Nie bałem się, ale byłem bardzo zdenerwowany. Nie wiedziałem, czy tym razem przeżyję. Myślałem o tym, czego nauczyłem się od tablighów w meczetach w Pakistanie. Myślałem o tym, co powiedział prorok Abraham, gdy miał zostać wrzucony w ogień: *Hasbe Allahu we ne emel wekil.*

Bóg jest moim obrońcą, a On jest dobrym obrońcą.

Ktoś chwycił mnie za włosy. Żołnierze złapali mnie za ręce, a potem wcisnęli mi głowę do wody.

W islamie istnieje przeświadczenie, że jeśli umrze się taką śmiercią, jeśli utonie się w wodzie, to zostanie się hojnie wynagrodzonym na tamtym świecie, ponieważ jest to bardzo trudna śmierć. Myślałem o tym, gdy wpychali mi głowę pod wodę. Śmierć przez utonięcie jest potworna.

Pociągnęli mnie znowu ku górze.

- *Do you like it?*
- *You want more?*
- *You'H get more, no problem.*

Gdy znów znalazłem się pod wodą, poczułem uderzenie w brzuch.

Musiałem natychmiast zrobić wydech, odkaszlnąć, a następnie znowu nabrać powietrza. Powstrzymałem się jednak, stłumiłem też kaszel, ale połknąłem trochę wody i prawie nie mogłem oddychać.

- *Where is Osama?*

- *Who are you?*

Próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem.

- *More!*"

Znowu poczułem ciosy w brzuch i w plecy. Łyknąłem wodę i poczułem coś dziwnego, może dostała się do płuc. Im częściej bili mnie w żołądek i zanurzali mi głowę w wanien-ce, tym mniej miałem powietrza. Czułem, jak serce odmawia posłuszeństwa. Oni nie przestawali. Próbowałem odpowiadać, gdy udało mi się złapać oddech, ale nic poza *yes* i *no* nie zdołałem z siebie wykrztusić. Dławiłem się i myślałem, że zwymiotuję, ale tylko kaslałem i plułem. Miałem zawroty głowy, było mi niedobrze.

Gdy kolejny raz zanurzyli mi głowę i uderzyli w brzuch, miałem wrażenie, że krzyczę pod wodą.

Hasbe Allahu we ne emel wekil!

Powiedziałbym im wszystko - ale c o miałem im powiedzieć?

- *I...don'tknow...*

Prorok Abraham nie czuł płomieni.

Gdy znalazłem się znowu w żonie, rozmawiałem z pewnym więźniem, którego również w ten sposób potraktowali.

Podoba ci się?/Chcesz jeszcze?/Możesz dostać więcej, nie ma sprawy.
/Jeszcze!

Opowiadał, że połknął mnóstwo wody i robił ruch ręką, jakby czerpał płyn z ust. Następnie pogładził się po zapadniętym brzuchu i pokazał mi, jaki

zrobił się od tego gruby. Roześmialiśmy się.

Następnego ranka przychodzi *escort-team*.

- *Zero-five-three, get ready!*

Muszę iść na przesłuchanie.

Prowadzą mnie do hangaru, w którym otrzymujemy *ema-rie*. Cóż to znaczy? Idziemy długim korytarzem do końca, otwierają drzwi z blachy falistej i wpychają mnie do środka. Nie ma tam nic, tylko ściany z tej blachy i drutu kolczastego. Na jednej belce widzę hak, jak w rzeźni. Na nim wisi łańcuch.

Żołnierze biorą łańcuch i przekładają go przez moje kajdanki. Łańcuch biegnie przez hak jak przez wielokrążek. Na haku umocowany jest rodzaj bloku, na którym podciągają mnie do góry na tyle, by stopy nie dotykały podłogi. Zatrzymują łańcuch na bloku, a następnie idą i zamykają blaszane drzwi. Bez słowa.

Kajdanki odcinają dopływ krwi do rąk. Próbuję się poruszać: podciągam ramiona, kręcę głową i macham nogami. Podciągam się raz i drugi. Podkurczam nogi i trzymam je tak przez chwilę. Potem opuszczam i czekam. W końcu przestaję. Nie można tego długo znieść. Nikt nie ma tyle siły, by to znieść.

Wiem, że teraz będą mnie tak wieszać, aż wreszcie tego nie wytrzymam. Wkrótce zaczynam mieć wrażenie, że kajdanki wrzynają mi się wprost w kości. W ramionach odczuwam coś takiego, jakby ktoś ustawicznie szarpał mnie za ręce. Próbuję oddychać równomiernie, aby nie tracić energii. Po pewnym czasie zaczynam się powoli kołysać: może dzięki temu krew będzie lepiej krążyła? Ale każdy ruch sprawia ból, nawet jeśli jest to ruch minimalny. Bolą przede wszystkim przeguby dłoni i łokcie. Najlepiej, jeśli

się w ogóle

nie poruszam i poddaję bólowi. Muszę się poddać. Tyle że przy tym napięciu nie jest to możliwe. Już wiem: można w ten sposób szybko umrzeć. Ciało nie wytrzyma.

Po kilku godzinach ktoś przychodzi i ściąga mnie na dół. Jakiś lekarz bada mnie i mierzy mi puls. Nosi taki sam kombinezon jak pozostali żołnierze, ale na ramionach ma inne dystynkcje. Na piersiach naszywka z napisem *Doctor*.

- *Okay* - mówi.

Żołnierze wciągają mnie z powrotem.

Wracają trzy razy dziennie z lekarzem i ściągają mnie w dół. Rano, w południe i wieczorem. Wmawiam sobie w każdym razie, że jest rano, południe i wieczór.

Zadaję sobie pytanie, co jest gorsze: jeść jabłko czy wisieć.

Co jakiś czas ktoś przychodzi i zadaje mi pytania. Niemal nic nie rozumiem, ale pytania już przecież znam. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Mam opuchnięte ręce. Ból w rękach czułem tylko na początku. Później w ogóle nie czuję dłoni ani ramion. Ciągle bolą mnie inne części ciała. Okolice serca na przykład.

Gdy zjawia się przesłuchujący, na chwilę opuszczają mnie w dół. Chce wiedzieć, czy mam coś do powiedzenia, czy zmieniłem zdanie i czy nie chcę opowiedzieć jakiejś zmyślonej historyjki. A ja już nie mogę mówić.

Po kolejnym opuszczeniu na ziemię nie jestem też w stanie ustać na nogach. Uginają się pode mną jak zapalki; upadam na ziemię. Lekarz ogląda moje paznokcie. Są sine i kłują mnie. Na szyi ma stetoskop. Zakłada mi na ramię opaskę i mierzy ciśnienie. Nie czuję rąk, kłucie ustało. Wyciąga z kie-

szeni koszuli latarkę i świeci mi w oczy.

Nie jestem w stanie z nim rozmawiać, nawet gdy mnie o coś pyta. Nie rozumiem go. Nie jestem pewien, czy w ogóle coś do mnie mówi. Gdy odchodzi, podciągają mnie znowu.

Lekarz chce tylko wiedzieć, jak długo mogę to wytrzymać. Ale nie każdego przyjscia lekarza jestem świadom. Przypominam sobie o nim tylko dlatego, że wciągają mnie na górę. To czuję, i wtedy otwieram oczy. Nie mam pojęcia, jak długo leżę na ziemi między ściąganiem w dół a wciąganiem. Czasami myślę, że zasypiam.

Gdy wieszają mnie tyłem, mam wrażenie, że pękają mi ramiona. Wiążą mi dłonie z tyłu i wciągają jak poprzednio. Przypominam sobie film, na którym coś takiego widziałem. Na filmie to Wietnamczycy wieszali w ten sposób Amerykanów. Umierali w okropnych męczarniach. Potem myślę jeszcze: jestem przecież sportowcem. Może uda mi się przerzucić nogi tak, by znowu wisieć przodem. Ale jestem zbyt słaby.

Znowu jadę w górę, budzę się. Rozglądam się. Myślę, że jest nowy dzień. Wciągają mnie wyżej niż zazwyczaj. Wiszę, zostawiają mnie, odchodzą. Wcześniej stopy miałem jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią, teraz z pewnością koło metra. Do tej pory jedynie słyszałem, że za blaszanym przepierzeniem wieszają jakiegoś innego więźnia. Widziałem też łańcuch na belce za ścianą. Teraz mogę spojrzeć ponad przegrodą.

Nie znam tego człowieka. Wisi u sufitu powieszony za ręce, tak samo jak ja. Nie wiem, czy żyje, czy nie. Jego ciało jest sine i obrzmiałe. Tylko w niektórych miejscach jest ziemistoblady. Na twarzy ma pełno zastygłej czarnej krwi. Głowa zwisa na bok. Nie widać, gdzie ma oczy.

Niemal się nie poruszam, ale czasami kołyszę się leciutko, mimo że

sprawia mi to ból. Tak po prostu. Kilkakrotnie w ciągu dnia ściągają mnie na ziemię i oglądają, a potem wciągają znowu. A jego już nikt nie ściąga. Zapomnieli o nim. Wisi tak wciąż w tej samej pozycji. Myślę o nim z głową pod sufitem. Wygląda na to, że jest im obojętne, czy my tu zdechniemy, czy nie. Myślę, że ten człowiek jest już martwy. Wygląda jak ktoś, kto zamarznął w śniegu.

Przez chwilę obserwuję jego klatkę piersiową. Nie widzę żadnego ruchu. Człowiek nie może wytrzymać takiego wiszenia, jeśli go nie ściągną choćby na chwilę. Liczę się z najgorszym. W ciągu tych lat nauczyłem się jednego: należy wychodzić zawsze od najczarniejszego scenariusza. Tak to jest.

I tak właśnie było.

Wisiałem pięć dni. Według moich własnych obliczeń trwało to co najmniej cztery, a może pięć dni. Więźniowie z żony powiedzieli mi, że pięć. Nigdy bym nie pomyślał, że uda mi się to przetrwać. Sądzę, że dłużej bym nie wytrzymał. Każdy ma jakieś granice wytrzymałości, a ja byłem chyba bliski osiągnięcia własnych.

Dziś wiem, że wielu w ten sposób zginęło. Inni więźniowie także widzieli, jak ludzie umierali podczas wieszania. W Guantanamo mówiło się, że w Bagram, drugiej bazie wojskowej Amerykanów na terenie Afganistanu, także wiele osób straciło życie w ten sposób. Niemal wszyscy z Guantanamo najpierw przebywali w Kandaharze albo w Bagram. W Kandaharze więźniowie także nie wracali z przesłuchań.

Później dowiedziałem się od adwokatów, że zapewne niektórzy z nich zostali wypuszczeni na wolność, ale o reszcie nikt więcej nie słyszał. Bywały jednak i takie przypadki, że spotykało się nieoczekiwanie kogoś, kogo od dawna uważaliśmy za zmarłego. Tak było na przykład z Jassirem,

amerykańskim Arabem, którego poznałem w Kandaharze. Nie miałem pojęcia, że jest w Guantanamo, chociaż przez pewien czas przebywałem w pojedynczej celi w tym samym bloku co on. Pod koniec pobytu w więzieniu dowiedziałem się od mojego amerykańskiego adwokata, że Jassir został w któ-

rymś momencie zwolniony. Nie wszyscy przechodzili przez takie tortury. Amerykanie starannie wyszukiwali więźniów, których traktowali szczególnie surowo.

Na przykład Dilawara. Dilawar był taksówkarzem z Afganistanu. Opowiadano, że przewoził swoim samochodem generator. Gdy go zatrzymano, usłyszał zarzut, że zestrzeliwał nim rakiety. Zawiesili go tak jak mnie, bili, aż w końcu zmarł. Prawdopodobnie się udusił. Mówiło się, że ktoś zawieszony nad ziemią umarł z pragnienia. Myślę, że to był Dilawar.

Gdy dziś rozmyślam o czasie spędzonym w Kandaharze, nie płaczę. Kiedy rozmawiam z kimś, kto był tam lub w Guantanamo, razem się śmiejemy. Dużo się śmiejemy. Z tego na przykład, jak byliśmy bici, jak nawzajem słuchaliśmy swoich krzyków. Co nam pozostaje? Mamy usiąść i płakać? Było, minęło. Kiedy o tym mówię, mogę zachowywać powagę lub się śmiać. No to się śmieję. Ale niczego z pamięci nie wypieram.

To zdumiewające: siedzę sobie w swoim pokoju, w którym wszystko wygląda tak, jak to urządziłem, mając trzynaście lat. Na regale wciąż stoją płyty kompaktowe, których wtedy słuchałem. Zasłony, model żaglowca na parapecie okna, moje hantle. Wydaje się, jakby od tamtego czasu nie przybyło mi lat. Gdy po pięciu latach wróciłem wreszcie do tego pokoju, po raz pierwszy jadłem mandarynki. Mandarynki są dobre. A teraz siedzę tu i rozmyślam o Kandaharze, o torturach, i czuję się dobrze, jestem

najedzony, jestem w ciepłym domu, jem, piję, mam wszystko.

Nauczyłem się, że cierpienie jest częścią życia. Takie jest życie.

Gdy zostałem zdjęty z haka, przez dwa dni leżałem na ziemi. Początkowo tylko spałem, na ile oczywiście było to możliwe. Nic nie jadłem i prawie nic nie piłem. Czasami przynosili mi

butelkę wody. Zabawiali się, polewając mi tą wodą głowę. Kiedyś włożyli mi do ust jabłko i kazali jeść. Nie mogłem jeść. Żołnierze się śmiali.

Potem przyszedł *escort-teatn* i odprowadził mnie do żony. Położyłem się na ziemi, wciąż ledwo mogłem się poruszać. Zasnąłem. Po jakimś czasie obudziłem się i podniosłem, bo musiałem iść do toalety. Czyli na wiadro.

Wtedy pojawiła się jakaś kobieta. Często tak się zdarzało, że kiedy ktoś musiał załatwić pilną potrzebę, ni stąd, ni zowąd pojawiały się kobiety żołnierze i przyglądały się. Aby usiąść na wiadrze, musieliśmy niemal całkowicie zdejmować kombinezon. Było to poniżające. Kobiety robiły jakieś głupie komentarze na temat naszych genitaliów.

Na jednej zmianie więźniów zamkniętych w ogrodzeniu pilnowało jakichś piętnastu żołnierzy. Chodzili dookoła ogrodzenia. Jedną trzecią stanowiły kobiety. Mężczyźni nie odzywali się, gdy korzystaliśmy z wiadra. Tylko kobiety. Ja starałem się załatwiać tylko wówczas, gdy w pobliżu nie było żadnego żołnierza. Pozostali więźniowie mieli tyle przyzwoitości, by nie patrzeć.

Potem przyszli strażnicy i znowu wywołali mój numer. Wyprowadzili mnie poza ogrodzenie i kazali się zatrzymać, a potem rozebrać do naga. Była zima, a oni mieli ze sobą wiadro zimnej wody, którą wylali na mnie z góry. Bawiło ich to. Były wśród nich kobiety. Miały broń. Też się śmiały.

Wstydzilem się, ale przecież nie z własnej woli stałem tam nagi. Nie

chcę powtarzać, co mówili, choć wiele *rzeczy* dokładnie pamiętam. Przez cały czas byłem tak traktowany. Niektórych innych więźniów także czasami spotykały podobne „żarty”, ale mnie zdarzało się to przez cały czas, zwłaszcza ze strony kobiet. Może dlatego, że miałem tak bardzo wysportowaną sylwetkę, choć przecież straciłem sporo na wadze. Nazywali to *shower*, prysznic.

- *Zero-fwe-three, get ready for your shower.*

Ha, ha, ha.

Czułem się, jakby polewali mi skórę czymś gorącym, choć był to przecież lodowaty płyn. Nawet woda w plastikowych butelkach, którą przerculali nam przez ogrodzenie, była nieraz zamrznięta. Mogliśmy pić ją dopiero wtedy, gdy rozpuściła się, trzymana pod ubraniem.

Ha, ha.

Zanim proroka Abrahama wrzucono do ognia, rozebrano go do naga. Mówi się więc, że w raju będzie pierwszym, który otrzyma ubranie. Gdy Abrahamowi ukazał się archanioł Gabriel i zaoferował mu pomoc, prorok odparł: „Nie potrzebuję twojej pomocy. Bóg jest moim obrońcą i tylko od niego oczekuję pomocy”. Wrzucili go do ognia, ale on nie czuł płomieni i nie palił się. Allah nakazał płomieniom, by go nie parzyły. Abraham dobrze się czuł w płomieniach.

Siedziałem na swoim miejscu i zastanawiałem się, co będzie dalej. Obok mnie siedzieli Erhan i Serkan, Arabowie lub Af-gańczycy. Ciągłe nas przenoszono; co kilka dni ogrodzenie powstawało w innym miejscu, dochodzili nowi więźniowie. Poznałem kilku Uzbeków z Afganistanu, których mowa przypomina język staroturecki. W Afganistanie mieszka około ośmiu milionów ludności pochodzenia tureckiego. Jak się dowiedziałem,

mężczyźni ci pochodzili z graniczących na północy z tym krajem Uzbekistanu i Turkmenistanu. W Kan-daharze zacząłem się uczyć ich języka. Oni, Uzbeki, nauczyli się natomiast farsy, dzięki czemu mogłem za ich pośrednictwem rozmawiać z niektórymi Afgańczykami.

- *Zero-fwe-three, get ready!*

Rozejrzałem się. Było ciemno.

Podszedłem do ogrodzenia. Niedaleko stało w ciemności dwóch żołnierzy w uniformach różniących się od mundurów amerykańskich. Natychmiast rzuciło mi się to w oczy. Nigdy w obozie takich mundurów nie widziałem. Przyjrzałem się dokładniej i zauważyłem na rękawach ich kurtek niemieckie barwy. Niemieccy żołnierze? Byliżby to Niemcy, których tak wyczekiwałem? Miałem jednak przecucie, że ci dwaj żołnierze nie przybyli, by mnie stąd wyciągnąć i zabrać do domu. Ale może znajdzie się możliwość przekazania jakichś wiadomości o mnie do domu, do Niemiec.

- *Thafs him. Thafs the German guy** - powiedział Amerykanin.

The German guy. Czy przybyli tu w mojej sprawie? Widziałem już, jak wyglądają. Jeden miał ciemne włosy, drugi był blondynem i był nieco silniej zbudowany.

Widziałem ich twarze. Skinęli głowami i przyglądali mi się. Ciemnowłosy powiedział:

- Opowiedziałeś się po niewłaściwej stronie. Patrz w ziele mnie!

I tyle. Nic poza tym. O nic więcej mnie nie pytali, nic więcej ode mnie nie chcieli. Wróciłem na swoje miejsce.

Po półgodzinie ponownie wywołano mój numer. Położyłem się na brzuchu, ręce na plecach, założono mi kajdanki. *Escort-team* zaprowadził mnie do samochodu wojskowego. Za pojazdem stali ci dwaj niemieccy żołnierze.

Czy czekali na mnie? Czego chcieli? Może jednak przybyli, by mi pomóc?

Escort-team rzucił mnie przed nimi na ziemię. Usłyszałem, jak Amerykanie się wycofują. Podeszedł do mnie ten ciemnowłosy. Pochylił się ku mnie i pociągnął za włosy. Podciągnął moją głowę ku górze i obrócił w ten sposób, że mogliśmy sobie spojrzeć w oczy.

- Wiesz, kim jesteśmy? - wrzasnął.

" To on. To ten niemiecki chłopak.

Żołnierzami z Niemiec, pomyślałem.

-Jesteśmy z jednostek niemieckich, z KSK*! - krzyknął.

Nic nie powiedziałem. To nie była odpowiednia chwila na rozmowę. Leżałem przed nim na brudnej ziemi, z rękami na plecach, a on trzymał mnie za włosy.

Potem uderzył moją twarzą o ziemię.

Ciemnowłosy wyprostował się. Jeden z nich kopnął mnie w bok, nie widziałem który.

Nie przyjechali, żeby mi pomóc.

Śmiali się. Słyszałem, że stojący nieopodal *escort-team* także zaczął się śmiać.

Potem Niemcy się oddalili. Zostawili mnie leżącego. Podeszli ci z *escort-teamu* i odprowadzili mnie z powrotem do żony. Znowu siedziałem na swoim miejscu, w głowie mi huczało, było mi niedobrze, miałem zakrwawiony nos. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego mnie tak

potraktowano. Amerykanie mnie torturowali, bo miałem się przyznać, że jestem terrorystą. Ale Niemcy? Dlaczego tak się zachowali? Czy nienawidzą mnie, ponieważ jestem Turkiem?

Wszystko to być może ma jednak dobre strony. Oni pewnie odnotują mój przypadek. Nie napiszą oczywiście, że mnie bili, ale że mnie spotkali w tym obozie. Muszą przekazać tę informację niemieckim władzom, a wtedy o moim uwięzieniu w Kandaharze wiedzieć będzie nie tylko moja rodzina.

Tego samego wieczoru jeszcze raz zobaczyłem obu Niemców z KSK. Patrowali teren wokół obozu pospołu z amerykańskimi żołnierzami. Gdy zbliżali się do ogrodzenia niedaleko mnie, dostrzegłem, jak Niemiec o blond włosach pokazuje Amerykanom swój karabin maszynowy. Była to zupełnie inna broń niż M16, które nosili Amerykanie. Niemiec pokazywał im swoją: złożył się do strzału i wymierzył w nas.

Rozpoznałem urządzenie laserowe naprowadzające na cel. Widziałem, jak czerwony punkt wędruje przez ciemność i zatrzymuje się na twarzach więźniów. Niemiecki żołnierz oddalony był od nas zaledwie o parę metrów i mierzył w nasze głowy.

Amerykanie wydawali się zafascynowani. Punkcik lasera wędrował od skroni do skroni.

Przychodzili także inni żołnierze i wszyscy byli zachwyceni.

Pewnego dnia zabrano pierwsze grupy więźniów. Mówiło się, że są przenoszeni. Szybko jednak dowiedzieliśmy się, że zostali wywiezieni z obozu. Tylko dokąd? Tego nie wiedzieliśmy. Aż do chwili, gdy ktoś powiedział, że wszystkich nas wywiozą stąd samolotem.

Jednorazowo zabierali od dziesięciu do dwudziestu osób. Z każdej grupy, z każdego ogrodzenia wywoływali po kilku więźniów i

wyprowadzali. Trwało to kilka tygodni. Procedura, jaką średnio raz w tygodniu obserwowaliśmy, była za każdym razem taka sama: wszyscy musieli zbliżyć się do ogrodzenia, a ci, których numery zostały wywołane, mieli być gotowi do odprowadzenia przez *escort-team*. Później już ich nie widzieliśmy.

Po obozie krążyły najróżniejsze pogłoski. Niektórzy sądzili, że zostaniemy przewiezieni do więzienia w Ameryce. Inni, że wypuszczą nas na wolność. Nie mieli przecież w rękach żadnych dowodów przeciwko nam! Byli i tacy, którzy byli przekonani, że skończy się to krzesłem elektrycznym. Tygodniami trwały dyskusje na ten temat.

- Nie, w Stanach Zjednoczonych stosuje się gazy trujące.

Dostaje się środek nasenny, a gdy człowiek śpi, podają truciznę - twierdził jeden Uzbek.

- Skąd to wiesz? - spytał go ktoś.

- Widziałem na amerykańskim filmie. Nazywał się *Przed egzekucją*. Później go wynieśli.

Roześmialiśmy się.

- No skąd, to jakieś bzdury - powiedział Pakistańczyk, który był kiedyś w Ameryce i wydawało mu się, że dobrze zna ten kraj.
- Raczej nas powieszają. Tam wciąż jeszcze skazanych na śmierć się wiesza - oznajmił Uzbek.
- Wieszanie mamy już za sobą - powiedziałem i podniosłem rękę.

Rozważaliśmy, w jaki sposób nas zamordują.

- Dlaczego mieliby nas torturować aż do śmierci, skoro

jesteśmy niewinni? - spytał Serkan. Znowu byłem z obydwoma Turkami w tej samej żonie i mogłem z nimi rozmawiać do woli. Zastanawialiśmy się, co się może z nami stać. Może zgłoszą się po nas Turcy i osadzą w swoim więzieniu?

Erhana i Serkana znałem już jakiś czas, ale dopiero tego ostatniego wieczoru, gdy czekaliśmy na swoją kolej, dowiedziałem się, skąd pochodzi Serkan. Opowiadał mi, że prowadził warsztat stolarski w swoim rodzinnym mieście. Zapytałem, jakie to miasto. Odpowiedział, że Sakaria nad Morzem Czarnym.

Było to miasto, z którego pochodziła moja matka.

Powiedziałem mu, że mieszka tam wielu moich krewnych. Każdego roku jeździliśmy do Sakarii i spędzaliśmy lato w jednej z okolicznych wsi.

Serkan opowiadał o pewnym miejscu nad morzem, w którym i ja często się kąpałem. Na skrzyżowaniu, gdzie rośnie stare drzewo eukaliptusowe, znajdował się jego warsztat. Przypominałem sobie i to skrzyżowanie, i rosnący tam eukaliptus. Niewykluczone, że spotkaliśmy się już kiedyś nad morzem.

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Po raz pierwszy znowu myślałem o Turcji, o Sakarii i o tym, że zaledwie przed kilkoma miesiącami poślubiłem w tym mieście Fatimę. Myślałem też o wsi mojego dziadka. Nazywała się Kusca. Dziadek uprawiał leszczyny pontyjskie i utrzymywał się ze sprzedaży orzechów laskowych. Połowa tej wsi od pokoleń żyła z plantacji orzechowych.

We wspomnieniach zobaczyłem leszczynowy gaj przed jego domem.

Kusca, Turcja

Wieś Kusca w regionie Sakaria otoczona jest górami, ale są one porośnięte drzewami i mają głęboki zielony kolor. Powietrze jest tu ciepłe i miękkie, pachnie solą i pastylkami przeciwkaszlowymi. Niedaleko domu dziadka o brzeg rozbijają się morskie fale, a ich odgłos słyhać w przydomowym ogrodzie. Za leszczynowym gajem płynie rzeka.

Jako dziecko całe lato spędzałem pod tymi drzewami. Gdy byłem głodny, zrywałem orzechy i zgniatałem je. Łupiny były tak miękkie, że otwierałem je zębami. Wdrapywałem się na gałęzie i skakałem w dół. Z giętkich gałązek robiłem różgi, z którymi następnie goniłem myszy. Ale największą radość sprawiało mi zjeżdżanie w dół na blasze do wypieku chleba i bakławy. Blachy te podkradaliśmy z Ibrahimelem z pieca *Anane* (to słowo po turecku oznacza „babcię”; *Dede* to „dziadek”) lub z pieca jego mamy, a mojej ciotki. Plantacja dziadkowych leszczyn opadała stromo ku rzece. Braliśmy więc te blachy - pachniały jeszcze chlebem i pyszną bakławą - siadaliśmy na nich i zjeżdżaliśmy w dół. Blachy były tak duże, że mogliśmy kłaść się na nich i zjeżdżać na brzuchach. Czasami wywracaliśmy się lub lądowaliśmy w wodzie. Objadaliśmy się orzechami tak bardzo, że w końcu zaczynały nas boleć brzuchy. W ogrodzie dziadka rosły też drzewa owocowe: wiśnie i jabłonie.

W tej wiosce mieszkała jeszcze siostra i dwaj bracia mojej matki; tworzyliśmy dużą rodzinę. Często chodziłem z wujem nad Morze Czarne popływać. Nieraz wskakiwałem też na traktor, a wuj pozwalał mi kierować. Piękne, beztroskie życie. Chodziliśmy nad rzekę łowić ryby. Nie używaliśmy wędek, tylko sieci, a i to dla zabawy, *bo Anane* kupowała ryby na wsi. Były bardzo tanie.

W Sakarii wszystko tchnęło wolnością, myślałem tej nocy w obozie. Jeśli chcieliśmy łowić ryby, szliśmy je łowić. Kiedy mieliśmy ochotę na kąpiel, szliśmy się kąpać. Nawet krowy się tam kąpały - rolnicy prowadzili je nad morze i zapędzali do wody. Gdy chcieliśmy pojeździć konno, jeździliśmy, bo mieliśmy też konia.

Na plantacjach spotykaliśmy dzikie zwierzęta, przede wszystkim żmije. Także jadowite. Nie kąsały, jeśli się ich nie straszyc. Taka żmija potrafiła prześliznąć się przez moją gołą nogę - była szorstka i zimna - po czym znikala. Nieraz robiło mi się straszno, gdy biegając przez zarośla, nie widziałem własnych stóp. Kiedyś zabiłem żmiję, z ciekawości. Zazwyczaj jednak nic im nie robiłem.

Gdy byliśmy już z Ibrahimem starsi, zobaczyłem pewnego razu bardzo długą żółtą żmiję. Goniliśmy jak zawsze po zaroślach na skraju plantacji, gdy znienacka pojawiła się tuż przede mną. Błyszczała żółto, tylko brzuch miała śnieżnobiały. Była piękna, ale wyglądała naprawdę niebezpiecznie. Chwyciłem gruby kij i uderzyłem ją w głowę. Poderwała się w górę. W jednej chwili uskoczyłem w bok i zadałem jej raz po raz wiele ciosów, ale była jak z gumy. Ibrahim stał obok i śmiał się.

- Co ty robisz?
- Próbuję zabić żmiję, jest niebezpieczna. Pomóż mi!

Ibrahim zaśmiał się. Z jednego z drzew leszczynowych odłamał cienką witkę i sprawnie obrał ją z zielonej kory, pozostawiając tylko twardy środek, biały i zupełnie wilgotny.

- Co to jest? Co chcesz tym zdziałać?

Ibrahim uśmiechnął się. Stał naprzeciwko żmii i dotknął jej lekko witką. Kilka razy potarł nią głowę gada, potem

brzuch - żmija uspokoiła się. A potem przestała się w ogóle poruszać. Była martwa.

-Jak ty to zrobiłeś?

- To działa na żmije jak trucizna - wyjaśnił mój kuzyn. Gdybym sam tego nie widział, nigdy bym w to nie uwierzył.

Było to dla mnie nowe doświadczenie. Nie zawsze wszystko zależy od siły. Takimi witkami bawiłem się już jako małe dziecko i nieraz je nawet ssałem, ale ich sok nie wywoływał żadnych złych następstw. A dla żmii okazał się śmiertelny.

Ostatnie lato również spędziłem w Kusce. Było to zaledwie przed pięcioma czy sześcioma miesiącami, a wydawało mi się tak niewiarygodnie dawno.

Powiedziałem rodzicom, że chciałbym się ożenić i założyć rodzinę. Mam już odpowiednio dużo lat i szukam jakiejś przyzwoitej dziewczyny. Jakiejś *multezimy* - a więc muzuł-manki przestrzegającej zasad islamu. Poznałem ją przez telefon.

Miałem dosyć dziewczyn z Niemiec. Miałem dosyć dyskotek oraz Turków zażywających narkotyki i rozprowadzających je, a potem idących do więzienia. Miałem też dosyć dotychczasowej pracy jako ochroniarz i wykidajło.

Chciałem robić coś sensownego. Miałem różne dziewczyny, Niemki i Turczynki. Z każdą z nich byłem po parę tygodni, nieraz umawiałem się nawet z dwiema w tym samym czasie. Była to raczej zabawa - miałem siedemnaście, osiemnaście lat i robiłem to samo co moi koledzy. Z tym również chciałem skończyć.

Mu/tez/ma nie będzie się włóczyła po dyskotekach, nie będzie mnie oszukiwała ani zdradzała. Z nią mógłbym mieć dzieci. Ale z *multeziwą*

trzeba się ożenić, a do tego musiałem zmienić swoje życie: żyć bogobojnie i przestrzegać przykazań Allacha. Staralem się tak żyć. Wcześniej nieraz piłem

alkohol - teraz wszystko to się skończyło. Przestałem pracować w miejscach, gdzie dotychczas znajdowałem zatrudnienie jako ochroniarz.

Pewnego dnia zadzwoniła moja ciotka i powiedziała, że zna dziewczynę z Kuski, która z pewnością mi się spodoba. I że jej rodzice są wierzącymi ludźmi. Opowiedziała mi o Fa-timie sporo i przysłała jej zdjęcie.

W tureckich wsiach odbywa się to tak: kiedy dziewczyna osiąga stosowny wiek, rodzina chłopaka udaje się do jej domu i próbuje porozumieć się z jej rodzicami. Jeśli oboje młodzi nie stawiają przeszkód, wszystko dokonuje się bardzo szybko. W tej wsi były dwie duże rodziny: nasza i Fatimy. Moja ciotka знаła Fatimę, gdy ta była jeszcze dzieckiem i pomagała jej w pracach domowych.

Zadzwoniłem do Fatimy. Umówiliśmy się na spotkanie latem, a nie wiedzieliśmy przecież, czy przypadniemy sobie do gustu. Potem całą rodziną pojechaliśmy samochodem do Turcji. Miałem tylko dwa tygodnie urlopu, ponieważ musiałem jeszcze zakończyć naukę w szkole budowy okrętów. Jechaliśmy mercedesem mojego ojca, jak zwykle w grupie kilku pojazdów. Najczęściej podróżowały nimi zaprzyjaźnione rodziny z Bremy i okolic, które jechały w tę samą stronę. Po drodze często się zatrzymywaliśmy, odpoczywaliśmy i wspólnie jedliśmy. Nieraz spontanicznie dołączały do nas inne rodziny turecko-niemieckie. Taki konwój składał się nieraz z dziesięciu samochodów. Niechętnie jeździliśmy sami. Był to doroczny urlop mojego ojca. Ali i Alper mieli wakacje. Czekali już na nas ciotka i wujowie. Miał to być najpiękniejszy okres w moim życiu.

Moja ciotka zorganizowała spotkanie z Fatimą. Nasze zasady nie pozwalają, aby mężczyzna zostawał sam na sam z młodą niezamężną kobietą. Mogą spotykać się tylko w obecności osób trzecich. Nie muszą to jednak być rodzice.

Chodzi tylko o przyzwoite zachowanie. Spotkaliśmy się więc u mojej ciotki.

Gdy zobaczyłem Fatimę po raz pierwszy, od razu ją polubiłem. Opowiadałem jej o Bremie, o tym, w jakim świecie dorastałem; opowiadałem o swojej nauce, o dyskotekach, o szkole kung-fu i o tym, że stałem się religijnym człowiekiem. Słuchała mnie uważnie. Wy tłumaczyłem jej, że chcę zamieszkać z przyszłą żoną w Bremie. Rozmawiałem z nią przecież dlatego, że mieliśmy się pobrać. Potem Fatimą mówiła o sobie. Na koniec powiedziałem, że muszę to wszystko przemyśleć i że ona powinna uczynić to samo. A potem przekazemy sobie swoje decyzje.

Ja już po pierwszym spotkaniu byłem pewien, że Fatimą jest właściwą dziewczyną. Nie musiałem spotykać się z nią po raz drugi. Poprosiłem więc rodziców, by podjęli stosowne kroki. U nas nie ma takich oświadczeń, jak w Niemczech, gdzie narzeczony klęka przed narzeczoną. Jeśli młodzi są zdecydowani, wszystko załatwiają między sobą ich rodziny. Moi rodzice mieli więc do wypełnienia misję. Zgodnie z naszą tradycją należy najpierw zakupić prezenty. W Turcji istnieją sklepy, w których dostać można wszystko: od garniturów i sukien ślubnych po podarunki dla rodziny narzeczonej. Na przykład ściśle określone słodycze, ręcznie robione czekolady, których się właściwie nie je, tylko przechowuje. Tak więc moi rodzice pojechali do Sakarii i w takim właśnie sklepie nabyli zegarek dla ojca Fatimy, ubranie dla jej brata, bluzkę dla jej matki, chustę i takie tam rzeczy. Wszystko to było pięknie zapakowane. Potem moi rodzice i babcia złożyli

wizytę rodzinie Fatimy i wręczyli im podarunki.

Saiam alejkum - alejkum salam. Była herbata. Tradycja nie pozwala, żeby narzeczony był obecny na takim spotkaniu. Zgodnie ze zwyczajem moi rodzice oznajmili, że mam zamiar poślubić Fatimę, wyraźnie zaznaczając, że odbywa się

to z woli Boga. Przekazali też kwiaty i prezenty, a na stole pojawiła się czekolada na srebrnym talerzu. Rodzice narzeczonej zgodnie ze zwyczajem powiedzieli najpierw: „Zastanowimy się”. Ojciec Fatimy znał mnie, spotkaliśmy się kiedyś w meczecie. Zachował o mnie zapewne dobre wspomnienie, ale chciał wiedzieć, jaki mam zawód i z czego będziemy żyli. Ślub córki nie był dla niego miłą perspektywą, bo jeśli zamieszkałaby w Bremie, nieczęsto miałby okazję ją widywać.

Wreszcie powiedział:

- Skoro nasze dzieci tak chcą, to niech im to da szczęście.

Zapytał Fatimę, czy pragnie tego związku, a ona potwierdziła. Wszyscy podali sobie ręce. Potem przystąpiono do omawiania szczegółów wesela. Gdyby do ślubu nie doszło, rodzice Fatimy zwróciliby wszystkie prezenty.

W Turcji panuje przekonanie, że wesele wiąże się ze szczęściem. Z tego względu nikt nie zastanawia się zanadto nad kosztami, bo jest to po prostu kwestia honoru. Każdy szczegół ceremonii ślubnej jest ściśle zaplanowany i ma korzenie w tradycji. Na tydzień przed weselem w Kusce i sąsiednich wioskach ogłoszono przez megafon, że Murat Kurnaz żeni się z córką rodziny takiej to a takiej. Wszyscy mieszkańcy zostali na tę uroczystość zaproszeni.

W przeddzień ślubu odbyła się specjalna uroczystość, osobna dla kobiet i dla mężczyzn z naszych rodzin. Śpiewano smutne piosenki o pożegnaniu

Fatimy z domem rodzinnym. Narzeczona na znak żałoby nałożyła na głowę czerwoną chustę. Moja matka obdarowała ją złotą biżuterią.

Wesele odbyło się w ogrodzie mojej ciotki. Przyszły setki ludzi. Siedzieliśmy przy ustrojonym kwiatami stole, byliśmy po królewsku obsługiwani i otrzymaliśmy moc prezentów. Dostaliśmy Koran, symbol wiary, świecę symbolizującą światło, lustro - znak oświecenia oraz ryż i cukier, oznaczające płodność i słodycz życia.

Nałożyliśmy sobie związane czerwoną wstążką obrączki. Byliśmy szczęśliwi. Moja matka również była szczęśliwa. Ojciec także, choć to on za wszystko płacił. Ale nie myślał o pieniądzach. Taki jest obyczaj i wielu Turków długo oszczędza, by móc cieszyć się wyprawionym przez siebie weselem.

Kończył się mój urlop. Ustaliliśmy z Fatimą, że pozostanie w domu rodziców, dopóki nie załatwię w Bremie formalności, aby mogła przyjechać do Niemiec. Mogło to potrwać do Bożego Narodzenia. Moja rodzina pozostała jeszcze w Kusce, a ja pojechałem sam autobusem do Stambułu, a stamtąd odleciałem samolotem do Niemiec.

W samolocie zacząłem się zastanawiać. Byłem teraz żonaty, do czego tak bardzo tęskniłem, a Fatimą była pobożną *multezimą*, zupełnie tak, jak chciałem. Ale co ja właściwie wiedziałem o naszej wierze? Byłem w kilku meczetach, modliłem się w nich, ale tam niedużo się można nauczyć. Niewiele wiedziałem o Koranie o tym, jak powstał, jak należało go czytać i rozumieć. Nie miałem wielkiego pojęcia o prorokach ani o zakazach i nakazach. Jak powinien się zachowywać bogobojny małżonek? Co należało do moich obowiązków?

Nie nauczyłem się nawet porządnie modlić. Było to stanowczo za mało dla takiej *multezimy*. Moi niemieccy przyjaciele dowiadywali się wiele o chrześcijaństwie na lekcjach religii, potem podczas przygotowań do pierwszej komunii i bierzmowania. W mojej szkole nie było lekcji religii, a zajęcia poświęcone poznawaniu islamu, które miałem jako dziecko w meczecie, niemal zawsze opuszczałem. Aby to wszystko nadrobić, nie pójde przecież uczyć się z sześciolatkami. W Niemczech musiałbym robić to przez całe lata. Były tam wprawdzie szkoły islamskie, ale można było do nich chodzić jedynie w soboty i niedziele.

Pomyślałem więc o Jama'at Tablighi, o którym opowiadali mi moi przyjaciele w meczetach Kubu w Hemelingen i Abu Bakr na bremeńskim dworcu głównym. Mówili o centrum Mansura w Lahore, w którym w ciągu niespełna dwóch miesięcy mógłbym nauczyć się wszystkiego, co powinienem wiedzieć, aby być dobrym mężem i dobrym muzułmaninem.

Podeszła stewardessa i spytała, czy chciałbym się czegoś napić. Wiedziałem już, że jako żonatemu nie wolno mi patrzeć na inne kobiety. Nie dlatego, żebym ich nie szanował, lecz właśnie dlatego, że odczuwam wobec nich wielki szacunek. Patrząc w podłogę, zamówiłem coca-colę.

A więc Pakistan. Myślałem od dawna, żeby wybrać się do centrum Mansura i tam się uczyć, ale teraz nabrałem pewności, że to właściwa droga. Mogłem uczynić to teraz i wrócić do domu na długo przed Bożym Narodzeniem, myślałem. Byłaby to moja ostatnia przygoda, zanim Fatima przyjedzie do Niemiec.

zatoka Guantanamo, obóz X-Ray

- *Zero-fwe-three, get readyfor the escort-team!*

Było jeszcze ciemno. Oprócz mnie wywołani zostali Erhan i Serkan oraz dwaj Uzbekcy. Nadeszła nasza kolej.

Ustawiono nas na placu przed dziurawym hangarem, a potem pojedynczo odprowadzano do jednego z namiotów. Tam ogolono nam brody i ostrzyżono głowy do gołej skóry. Przynajmniej nie będą mnie mogli więcej ciągnąć za włosy, pomyślałem.

Dostaliśmy nowe kombinezony, pomarańczowe, a potem z powrotem nałożono nam kajdanki.

- *We're gonna putyou nów into the same cave with Osama bin Laden, and then we're gonna shoot you* - powiedział żołnierz, który mnie strzygł.

Tym razem nie zarzucili mi na głowę worka. Opakowali ją jednak fachowo jak przesyłkę poleconą: założyli ochraniacze na uszy, maskę na twarz, klapki na oczy i uszczelnione czarnym plastikiem okulary do nurkowania, które nazywali *gog-gles*. Żołnierz zacisnął mi na rękach kajdanki tak mocno, że natychmiast zacząłem odczuwać ból. Trudno było wytrzymać.

- *Too strong* - wymruczałem spod maski. Chciałem mu powiedzieć: za mocno, zbyt ciasno zapiąłeś mi obręcze. Nie znałem jeszcze wtedy wyrażenia: *too tigh*.
- *Let me see** - usłyszałem głos jakiegoś innego żołnierza, który musiał stać obok tamtego.

" Wsadzimy was do tej samej nory, co Osamę bin Ladena, a potem rozstrzelamy. / Za mocno. / Daj, zobaczę.

Wyciągnąłem ręce w jego kierunku, a on jeszcze ciaśniej zacisnął obręcz wokół moich nadgarstków. Świnia, pomyślałem. Potem uderzył mnie w głowę, a następnie kopnął w jądra. Upadłem. Wywlekli mnie z namiotu i rzucili na ziemię. Miałem tam leżeć na uboczu, żeby nie zawadzać.

- *You guys are going to get shot** - powiedział żołnierz.

To akurat już rozumiałem. Teraz, gdy tak przez pięć czy sześć godzin leżałem, prawdopodobnie przed hangarem, rozumiałem też sens całej tej przebieranki. Rękawice nie miały ogrzewać moich rąk, a nauszники chronić uszu, tak jak maska nie miała osłaniać mi twarzy. Wszystkie te rzeczy miały służyć wyłącznie ich bezpieczeństwu. My nie mogliśmy im wtedy nic zrobić: nie mogliśmy ich gryźć, pluć na nich, nie mogliśmy ich podrapać. Nie mogliśmy rozsiewać wirusów, kaszłać, nie mogliśmy ich *zarazić* żadną chorobą. Było im obojętne, czy się pod tymi maskami udusimy, czy nie.

Wiedziałem, że czeka nas lot pierwszą klasą. Pospinali nas łańcuchami i wepchnęli do samolotu. Znowu zostaliśmy tak poprzypinani, że nie mogliśmy się przesunąć ani o milimetr. I znowu myślałem, że zawiozą nas do Turcji i umieszczą w jakiejś amerykańskiej bazie wojskowej. Cóż innego mogłem myśleć?

Jedynym pocieszeniem byłby w tej sytuacji sen. Żołnierze nie pozwalali nam jednak zasnąć, rozdając bezustannie razy. Wspominałem amerykańskie filmy, które niegdyś oglądałem w Bremie. Filmy akcji, filmy wojenne - podziwiałem wtedy Amerykanów. Teraz poznawałem ich naprawdę.

Mówię to bez złości, ale to prawda - sam to przeżyłem i zobaczyłem. Nie chcę nikogo obrażać, nie mówię też o wszystkich Amerykanach.

Mówię jedynie o tych, których sam poznałem: panicznie obawiają się bólu, każdego za-

" Wy, chłopaki, zostaniecie rozstrzelani.

drapania, bakterii i chorób. Powiedziałbym, że są jak małe dziewczynki. Wie to każdy, kto dokładnie ich obserwuje. Nie ma przy tym znaczenia, ile mają lat, że są duzi i silni. A na filmach zawsze są bohaterami.

Lot trwał dwadzieścia siedem godzin. Gdzieś po drodze było międzylądowanie. Podczas przerwy w locie nie mogliśmy się nawet ruszyć. Nie rozkuli nas i nie uwolnili ani na chwilę. Nie wiedzieliśmy, gdzie wylądowaliśmy ani dokąd lecimy. Ani czy w ogóle wylądujemy gdziekolwiek żywi.

Od razu czuję upał. Psy. Mimo nauszników słyszę ich szczekanie. Mimo *goggles* wyczuwam ostre światło słońca. Zaczynają nas męczyć torsje. Zdejmują nam maski. Oślepia nas słońce. Mamy się położyć na ziemi. Mam zamknięte oczy. Słyszę kli-kanie kamer i aparatów fotograficznych. Robią nam zdjęcia.

- Nie ruszać się.

Ostrożnie otwieram oczy, ale widzę tylko buty na jasnej cementowej podłodze. Ponownie nakładają nam maski, moja nieco się zsuwa. Każą nam wsiąść do białego autobusu. W środku jest ciemno. Nie ma tam siedzeń, są jedynie haki przy podłodze, do których nas przykuwają w ten sposób, że nie możemy ani stać, ani siedzieć. Przez cały czas nas biją. W autobusie są również psy. Gryzą.

- Nie siedź tak!

I uderzenie.

- Usiądź inaczej!

Znowu cios.

- Siedź prosto!

W autobusie jest niemożliwie gorąco; musi to być kraj, w którym nawet zimą jest ciepło. Może południe Turcji? Jest luty albo marzec. Może to Adana, tam mogłoby być teraz tak gorąco. Z pewnością powyżej trzydziestu stopni.

Czuję, że przejeżdżamy przez most lub jakiś pomost. Potem się zatrzymujemy. Autobus nieco się chwieje, jakbyśmy byli na statku. Ciągłe nas kopia. Statek przechyla się lekko na bok. Czy jest jakaś amerykańska baza na wyspie koło Adany? A może wywożą nas na Cypr? Potem znowu przejeżdżamy przez jakiś pomost i opuszczamy statek. Autobus się zatrzymuje. Jechaliśmy jakieś pół godziny, nie dłużej.

- *Get out! Out!*

Musimy uklęknąć i opuścić głowy na piersi. Słysząc chrzęst żwiru. Nie wiem, jak długo klęczymy, trwa to w każdym razie kilka godzin. Upał jest niemożliwy. W Afganistanie i w samolocie było jeszcze bardzo zimno. Żołnierze krzyczą i nieustannie nas biją. Wreszcie mogę wstać. Żołnierze popychają mnie; biegnę boso po żwirze. Przebywamy długą drogę. Często skręcamy to w lewo, to w prawo. Wykrzykują pod moim adresem:

- Terrorist! We killyou! Motherf..f*

Potem jeden z żołnierzy wrzeszczy:

- Stop!*

Ktoś zrywa mi z twarzy maskę, stoję w jakimś namiocie. Widzę identyfikator z imieniem i nazwiskiem. Po raz pierwszy na piersiach

żołnierza widzę identyfikator z nazwiskiem. Nigdy go nie zapomnę. Dwaj inni żołnierze trzymają mnie za ręce. Zdejmują mi rękawice.

- Mówię po niemiecku - zaczyna mężczyzna z identyfikatorem. - Spędzimy tu ze sobą piękne chwile.

Wokół mnie kręci się dość dużo żołnierzy. Jeden wyrywa mi włosy z ramienia, inny wkłada mi w usta maczak, jeszcze inny pobiera odciski palców. Ciągłe ktoś coś przy mnie robi, trwa to dość długo. Przez cały czas patrzę tylko na to nazwisko na jego piersi. Wąż mnie i mierzą.

- Nazwisko?
- Murat Kurnaz.
- Przeliterować!
- K-U-R-N-A-Z.

Zadaję sobie pytanie, jakim cudem jeszcze mogę mówić. Od tygodni ani razu porządnie się nie wyspałem. Samoloty, bomby w Kandaharze, generatory i przesłuchania. Teraz w każdym razie stoję o własnych siłach, bardzo chętnie stoję na własnych nogach, bo przez cały lot siedziałem w bardzo niewygodnej pozycji. Nie wiem, jakim cudem stoję; czuję się tak, jakbym zawisł na identyfikatorze na piersi tego żołnierza: *Gail Holford*.

Na rękę zakładają mi opaskę. Jest na niej nowy numer: 061. Opaska wykonana jest z zielonego plastiku.

- *This is a nice place. Lots of trees* - mówi jeden z lekarzy lub żołnierzy, który pobiera mi próbkę śliny i włosów.

Drzewa? Żarty sobie ze mnie stroją?

- *Lots of greenery'* - mówi tamten.

Patrzę na niego, do góry. Głową wskazuje na zewnątrz.

Namiot jest otwarty. Nie widzę żadnych drzew. Widzę góry. Piasek, góry i kaktusy. Duże kaktusy. Gdzie rosną kaktusy, tam nie ma drzew.

- Czy wiesz, dlaczego tutaj jesteś? - słyszę głos mężczyzny o nazwisku Gail Holford. - Czy wiesz, co Niemcy zrobili z Żydami? - mówi Gail Holford. - Dokładnie to samo robimy teraz z wami.

Ktoś chwyta mnie za koszulę i wypycha z namiotu. Widzę ogrodzenia z siatki, jedno za drugim, jedno przy drugim. Niczym labirynt. Widzę, że jednego z więźniów w pomarańczowym kombinezonie prowadzą dokądś przez ten labirynt. Żołnierze natychmiast rzucają mnie na ziemię. Padam na

Wysiadać! Wysiadać! / Terrorysta! Zabijemy cię, skurwys...!

* To miłe miejsce. Dużo drzew. / Dużo zieleni.

żwir. „Leż!” Mężczyzna o nazwisku Gail Holford przyciska mi kolanem kark, twarz wbijając w żwir aż do momentu, gdy nie widać już więźnia ani eskorty. Dopiero wtedy idziemy dalej.

Gdzie jest więzienie, do którego mnie prowadzą?

Mijamy kilkoro drzwi w ogrodzeniach z siatki i dochodzimy do zamkniętej zagrody, również wykonanej z siatki. To klatki. W środku siedzą na ziemi więźniowie w pomarańczowych kombinezonach, każdy w swojej. Jeden obok drugiego, jak drapieżniki w zoo. Rozglądam się wokół, po obu stronach widzę kolejne ogrodzenia. Szukam więzienia. Musi być odpowiednio duże, żebyśmy się w nim wszyscy zmieścili. Bo przecież te

klatki to tylko taka poczekalnia...? Ale wokół widzę tylko góry i kaktusy. Czy więzienie znajduje się gdzieś za którymś wzniesieniem? Żołnierze otwierają jedną z klatek i wpychają mnie do środka. Mam klęczeć.

-Jesteś Charly-Charly-Trzy. Powtórz!

- Charly-Charly-Trzy - mówię. Zadaję sobie trud, by zrozumieć: czy moja klatka nazywa się Charly-Charly-Trzy?

Potem żołnierze mnie rozkuwają i zamykają drzwi.

- Siadaj! - rozkazują.

Siadam.

- Nie ruszaj się! - wrzeszczą.

Nie ruszam się. Krzyczą coś jeszcze, czego nie rozumiem. Domyślam się tylko, że wołają, że mnie zabiją i w jaki sposób to zrobią. Ale czy nie mogli uczynić tego znacznie wcześniej i znacznie prościej? Odchodzą.

Myślałem, że za kilka minut wrócą i mnie zabiorą. Usiadłem nieco wygodniej i głęboko oddychałem. Masowałem sobie opuchnięte i zasinione stopy i nadgarstki. Wreszcie nie miałem na sobie łańcuchów i kajdanek. Poczulem się nieco lepiej i byłem spokojniejszy, choć w całym ciele czułem klucie

tysiąca igieł. Chciałem się od tego oderwać i nieco rozejrzeć.

W klatce stały dwa plastikowe wiadra koloru skorupki jajka, lekko przezroczyste. Jedno wypełnione było cuchnącą wodą. Może do mycia, pomyślałem. Drugie wyglądało na toaletę. Na podłodze leżał gąbkowy materac grubości centymetra lub dwóch, a na nim koc. Obok kawałek mydła, ręcznik i klapki. Pomyślałem, że te rzeczy trzeba będzie ze sobą zabrać, bo z pewnością czekamy, aż przygotują dla nas cele.

Więźniowie z innych klatek witali mnie.

Salam alejkum.

Alejkum salam.

Mój sąsiad wyglądał na Afgańczyka lub Uzbeka. On także mnie powitał. Zapytałem go po turecku, jak długo tu jest, ale nie rozumiał. Spróbowałem na migi: ty? tu? Liczyłem na palcach: jeden, dwa, trzy, cztery...?

Uzbek-Afgańczyk odpowiedział po uzbecku i dwa razy pokazał wszystkie palce: dwadzieścia. Może miał na myśli dwadzieścia minut. Był w swojej klatce jakieś dwadzieścia minut dłużej niż ja.

Czekałem. Wkrótce ktoś przyjdzie i nas zabierze. Siedząc, zmierzyłem swoją klatkę ręką. Rozpostarta dłoń miała dwadzieścia dwa centymetry od kciuka po mały palec. Wiedziałem to jeszcze z czasów, gdy uczyłem się zawodu budowniczego okrętów. Mogłem więc bez trudu zmierzyć każdą powierzchnię, nie mając żadnego przyrządu. Zmierzyłem więc klatkę: osiem długości dłoni na dziewięć. Miała więc niespełna metr osiemdziesiąt szerokości i niecałe dwa metry długości. Wysokości też mogła mieć ze dwa metry. Niecałe cztery metry kwadratowe. W Niemczech obowiązuje przepis, że jeśli zamyka się w odosobnieniu psa, to powierzchnia pomieszczenia nie może być mniejsza niż sześć metrów. Wiem, bo sam miałem psy.

Czekałem i rozglądałem się dookoła. Niedaleko przez korytarze z siatki prowadzono jakiegoś więźnia. Miał jeszcze maskę i ochraniacze na uszy; słyszałem, jak żołnierze na niego krzyczeli. Prowadzali go wciąż tymi samymi przejściami, w tę i z powrotem. Wtedy pojąłem, w jaki sposób także nas tu wprowadzono. Wcześniej myślałem, że bardzo długo szliśmy na miejsce i dopiero później zorientowałem się, że przez kilka godzin klęczałem bardzo blisko mojej obecnej klatki. Po prostu chodziliśmy w kółko, a ponieważ miałem na twarzy maskę i nic nie widziałem, nie

zorientowałem się, że obracamy się wciąż w obrębie tego samego ogrodzenia. Chodziło zapewne o to, byśmy wyobrażali sobie, że jesteśmy w wielkim więzieniu.

Myślałem wtedy, że jeśli jest już marzec, to wkrótce będę miał urodziny. Co za wspaniała niespodzianka.

Nagle usłyszałem jakiś dziwny odgłos, coś jakby pluskanie w wodzie. W wiadrze pływała żaba. Mała zielona żabka. Nigdy jeszcze nie widziałem żywej żaby, tylko w programach telewizyjnych. Nad Wezerą nie było żab. Musiała na tym pustkowiu długo szukać wody. Skąd mogła się tu wziąć? Wyłowilem ją z wiadra z cuchnącą wodą. Żabka siedziała na mojej dłoni i przyglądała mi się, szybko oddychając. Przy pierwszej próbie pogłaskania skoczyła jednak na ziemię i czmychnęła za druty.

Godziny mijały, a ja czekałem. Nikt nie przyszedł, nikogo nie zabrano ani nie przeniesiono. Wreszcie pojawili się strażnicy. Przynieśli nam posiłek. Już z daleka widziałem tekturowe talerze. Zawsze to jednak coś do jedzenia. Dotychczas dostawaliśmy jedynie emarie, cieszyłem się więc na myśl, że może wreszcie otrzymamy coś porządnego. Może teraz będą nas lepiej karmić? Może w ogóle będzie wreszcie lepiej? Gorzej niż w Kandaharze nie może przecież być. Myliłem się - i to pod każdym względem.

Gdy strażnicy podeszli do mojej klatki, zobaczyłem na talerzu zaledwie trzy łyżki ryżu, kromkę zeschniętego chleba tostowego oraz plastikową łyżkę. I tyle. Podali mi to przez kwadratowy otwór w drzwiach klatki, umieszczony na wysokości kolan. Myślałem, że to jakieś przeoczenie, że coś im z talerza spadło na ziemię. Zaraz jednak zobaczyłem porcję Uzbeka: tak samo mizerna racja ryżu jak moja, może nawet jeszcze mniejsza. W takim razie wolałbym już emarie - były tam przynajmniej krakersy.

Jadłem ten ryż i patrzyłem na opaskę na ręce. Ryż był zimny i niedogotowany, a jego ziarenka twarde jak żwir. Cóż jednak miałem jeść? Na mojej opasce widniał napis: *Kunn, Murat, male, Turkish, 5-foot-4, 165 pounds*.

Napisali błędnie moje nazwisko, choć tak długo już byłem więziony, a poza tym mieli przecież wszystkie moje dokumenty. Napiliśmy się wody z wiadra. Byłem zupełnie wyczerpany. Różnica klimatu między Kandaharem a tym obozem była ogromna.

W ciągu kilku minut niebo pociemniało, słońce zgasło, a w obozie zapłonęło ostre neonowe światło ze świetlówek umieszczonych pod dachem z blachy falistej. Włączono też liczne reflektory zamontowane na wieżyczkach i ogrodzeniu, przypominające oświetlenie na stadionie w Bremie. Równocześnie zaczęły charczeć umieszczone nie wiadomo gdzie głośniki, z których popłynęło wezwanie do modlitwy. Już dawno minęła godzina modlitwy, pomyślałem, gdy nagle wołanie muezina zagłuszyła głośna muzyka - amerykański hymn. Słyszałem, jak inni więźniowie skarżyli się na taki obrót sprawy, ale nic z tego nie wynikało. Ukląknęłam w którymś momencie i zacząłem się przepisowo modlić, tyle, ile potrafiłem. Po arabsku: „Niech będzie pochwalony Allah. Allah wywyższa każdego, kto go czci”. Skłoniłem się trzydzieści trzy razy. Rockowa muzyka płynąca z głośników stała się po

prostu ogłuszająca. Trudno było wytrzymać. Takiego łomotu nie słyszałem w żadnej dyskotecie w Bremie, nawet w Aladi-nie.

Zrodziło się we mnie podejrzenie, że Uzbek z sąsiedztwa nie miał na myśli dwudziestu minut, tylko dwadzieścia godzin. A więc dziś nie przeniosą nas już do więzienia. No to też nie najgorzej. Hałas i światło, tu

czy tam, wszystko jedno.

Nie mogłem spać. Co kilka minut pojawiali się strażnicy, młóćąc kijami w siatkę ogrodzenia. Co kilka minut ktoś zabijał w swojej klatce jakieś stworzenie i wyrzucał je za druty: żmije, szczury, pająki - były wszędzie, to obok mnie, to przede mną. Buty strażników chrzęściły na żwirze. I do tego te tysiącowatowe reflektory.

Znowu przyszli strażnicy. Musieliśmy wszyscy wstać i „wylegitymować się”. Oznaczało to, że każdy z nas musiał wystawić ręce przez otwór na jedzenie, by strażnicy mogli sprawdzić opaski. Później walili w moje drzwi, ponieważ schowałem ręce pod koc.

- *Take your hands out!*

Jeszcze później łomotali w drzwi mojej klatki, bo leżałem na boku.

- *Lie on your back!**

W końcu zasnąłem z wyczerpania.

Obóz X-Ray zbudowany został specjalnie dla nas. *X-Ray* to angielskie słowo oznaczające promienie Roentgena; tu używało nazwy zupełnie przejrzystemu obozowi dla więźniów. Było to coś absolutnie nowego. Nie było tu cel, w których można być tylko z samym sobą, nie było cienia prywatności. W każdej minucie śledziły nas oczy wartowników i kamery.

Wystaw ręce! / Kładź się na plecach!

Klatki były tak małe, że doprowadzały do rozpacz. Przyroda i wolność były blisko, na wyciągnięcie ręki, co mogło przyprawić o szaleństwo. Dzikie zwierzę ma w klatce więcej miejsca i dostaje więcej jedzenia niż my. Nie jestem w stanie wyrazić słowami nawet małej części tego, co to dla nas znaczyło.

Bloki pokryte były blachą falistą, ale nasze klatki stały pod gołym niebem. Kiedy grzało słońce, nie mogliśmy schronić się w cieniu - wyjątkiem były chwile, gdy świeciło prostopadle do dachu, znajdującego się jakieś trzydzieści centymetrów nad „sufitem” mojej klatki, wykonanym z metalowej siatki. Wtedy jednak blacha nagrzewała się niezwykle szybko. Byliśmy wystawieni w równej mierze na słońce, co na deszcz, i równie wobec obu bezradni. Deszcz zaciął zawsze z ukosa, nie można się więc było przed nim skryć w żadnym kącie.

Obóz składał się z sześciu bloków, oznaczonych literami od A do F. Nazywały się Alpha, Bravo, Charly, Delta, Echo i Foxtrott - zgodnie z międzynarodowym alfabetem fonetycznym NATO. Oddzielone były od siebie tylko ogrodzonymi siatką wąskimi przejściami. W każdym z bloków było sześć traktów, znowu oznaczonych Alpha, Bravo, i tak dalej do Foxtrotta. Jeden trakt składał się z dziesięciu klatek, tworzących długi prostokąt. Poszczególne klatki nosiły nazwy: Alpha-Bravo-1, Bravo-Charly-5, Delta-Alpha-9. Ja siedziałem w Charly-Charly-3. Tych sześć bloków otaczało ogrodzenie z wysokiej siatki, poprzedzielane co jakiś czas wieżami strażniczymi, na których czuwali snajperzy.

Początki w obozie X-Ray nie były łatwe. Nie wiedziałem jeszcze, że jesteśmy na Kubie. Nie wiedziałem, jakie panują tu zasady, że ciągle ulegają zmianie i że można zostać ukaranym także wtedy, gdy się ich przestrzega. Pierwszej nocy dowiedziałem się, że kocem mogę przykryć najwyżej nogi. Że nie wolno mi leżeć na boku, tylko na plecach. W ciągu kolejnych dni nauczyłem się, że w dzień nie wolno mi chodzić po klatce, tylko w niej siedzieć, a w nocy leżeć. Jeśli ktoś chciał położyć się w ciągu dnia, był karany. Nie wolno było dotykać siatki ani opierać się o nią,

siedząc. Nie wolno nam było rozmawiać. Nie wolno nam było zagadywać wartowników ani na nich patrzeć. Nie mogliśmy rysować palcem po ziemi, gwizdać, mrużyć, śpiewać ani się uśmiechać. Za każdym razem, gdy nieświadomie czyniłem coś, czego nie powinienem, przychodził IRF-Team i wymierzał mi razy.

Tak nazywali ich Amerykanie. IRF to *Immediate Reaction Force* -jednostka składająca się z pięciu do ośmiu żołnierzy. Nosili tarcze z pleksi, napierśniki, ochraniacze z utwardzonego plastiku na kolana, łokcie i ramiona, hełmy z plastikowymi zasłonami, usztywniane rękawice, ciężkie buty i pałki. Nazwałbym ich raczej bojówkarzami. Bojówkarzami w kuloodpornych ubraniach, których nie można też przekłuć, zabezpieczonych po samą brodę. Nie nosili innej broni niż pałki, zapewne w obawie, byśmy jej im nie odebrali. Później często widywałem w ich oczach strach, gdy oczekiwali na kogoś przed klatką. Było widać, że się boją, choć to my byliśmy w tych klatkach całkowicie bezbronni, nie mieliśmy nawet butów. Przychodzili z gazem pieprzowym w zbiorniku pod ciśnieniem. W razie potrzeby mogli go użyć z odległości dwóch do trzech metrów, kierując jego strumień dokładnie na wybranego więźnia. W środku znajdował się *Oleoresin capsicum*, czyli kapsaicyna alkalidowa, otrzymywana z mięszu owoców chili. Spryskiwali nim całą klatkę i odczekiwali, aż więzień będzie kompletnie niezdolny do walki. Dopiero wtedy otwierali klatkę.

- *Cet upl*

•*Hurry!*

•*Cet upl*

Słyszałem głośną muzykę rockową, słyszałem ich głośne rozkazy. Gaz łzawiący szczypał w nos, w gardło, w oczy. Nie mogłem opanować kaszlu,

potwornie drapało mnie w gardle.

- *Cet upl* - wrzeszczeli.
- *Cet to the wali!*
- *Move! Move!**

Nic nie widziałem, nie mogłem oddychać, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Słyszałem tylko hałas pałek uderzających dla postrachu w siatkę. Gdy drzwi klatki się otworzyły, usłyszałem ich wrzaski, a potem poczułem uderzenia pałką w głowę. Skuliłem się w sobie, a oni zaczęli mnie bić. Pociągnęli mnie w górę, a następnie znowu rzucili na ziemię. Kopali i uderzali, aż cały się zwijałem. Wreszcie opanowała mnie taka wściekłość, że spróbowałem się bronić. Nie widząc nic wokół siebie, skoczyłem w górę i biłem na oślep, w rękę miałem jakiś hełm, ale udało im się rzucić mnie znowu na ziemię. Potem złapali mnie za jądra. Przycisnęli mi nogi i ręce do podłogi, tak że leżałem na plecach, jak do poćwiartowania. Jeden uciskał mi piersi tarczą, a drugi bił po twarzy. Przestałem słyszeć muzykę; niczego więcej nie słyszałem.

Niewiele spałem tej nocy, kiedy IRF po raz pierwszy złożył mi wizytę. Leżałem na plecach, wstrząsany pulsującym bólem i grzmotem basów, i próbowałem zupełnie się nie poruszać. Nauczyłem się, że wolno mi leżeć tylko na plecach, z kocem jedynie na nogach. Ręce na brzuchu, aby były widoczne. Tej nocy słyszałem IRF jeszcze kilkakrotnie. Modliłem się do Allacha, żeby już do mnie nie przychodzili.

Wczesnym rankiem byłem cały obolały. Usiadłem i rozejrzałem się dookoła. Za ogrodzeniem było jeszcze ciemno, ale podawali już śniadanie. Obrane ze skorupki jajko na twardo,

Pod ścianę! / Ruszać się! Ruszać!

kromka zeschniętego chleba testowego, trochę groszku. Słyszałem, jak niektórzy więźniowie wołają do wartowników, powtarzając wielokrotnie to samo słowo:

-Tipi!

Za chwilę żołnierze podchodzili, podając im przez otwór na jedzenie kawałek papieru toaletowego. Dowiedziałem się, że *TP* to *toilet paper*.

- Tipi! - zawołałem.

-*TP7*

Nie dostałem papieru toaletowego. Zrozumiałem, że wszystko zależy od wartownika. Jeśli miał ochotę, podawał, jeśli nie - trzeba było sobie radzić inaczej.

Wkrótce potem zjawiał się *escort-team*. Skuli mnie i ruszyliśmy ogrodzonymi siatką przejściami. Przycisnęli mi głowę do piersi, żebym nie mógł się rozglądać. Minęliśmy pięćdziesiąt drzwi z siatki. Przy każdym z nich stali wartownicy. Otwierali, czytali napisy na mojej opasce na rękę i przeszukiwali mnie. Sprawdzali, czy nie mam broni. Opuściliśmy blok Charly i Bravo, wyszliśmy z bloku Bravo i dotarliśmy do korytarza pomiędzy blokami Bravo i Alpha. Widziałem tylko żwir i klatki z więźniami. Nagle ktoś zawołał mnie po turecku:

- Murat! Murat! Tutaj jestem!

Był to głos Nuriego.

Nuri był Turkiem, którego poznałem w Kandaharze. Siedział ze mną przed hangarem, gdy czekaliśmy na wejście do samolotu. Wyglądał okropnie. Oczy opuchnięte, usta popękane, kostki u nóg i nadgarstki zakrwawione od łańcuchów, powybijane zęby. Spytałem go, jak się

nazywa i skąd pochodzi. Odpowiedział, że jest z Izmiru. W Izmirze urodził się mój ojciec.

Nuri był elektrykiem, miał żonę i dwoje dzieci. Przez cały czas dobiegały nas z hangaru krzyki torturowanych więźniów. Wtedy Nuri powiedział:

- Idziemy tam, skąd przyszliśmy.

Chodziło mu o to, że Allach stworzył nas wszystkich z ziemi i że właśnie tam wracamy.

- Czy wyobrażasz sobie, że puszcza nas tak po prostu wolno po tym wszystkim, co nam zrobili?
- W każdym razie będzie lepiej, niż jest teraz - odpowiedziałem. - Niezależnie od tego, czy nas teraz zabiją, czy nie.

Nuri zaczął się śmiać.

- To prawda. Ale martwię się o moje dzieci.

Tak więc Nuri też tu był. Usłyszałem go, ale nie mogłem odwrócić głowy, by go zobaczyć. Nie mogłem mu też odpowiedzieć.

- Spróbuj dostać się do mojego bloku, do bloku Alpha!

Ale jak?

- Zapytaj strażników, powinni cię tu przenieść - powiedział Nuri.

Słyszałem jeszcze, jak wołał do strażników. Zatrzymali się i puścili moją głowę. Na jednego z nich Nuri popatrzył z wściekłością. Pokazał mu, żeby do niego podszedł. Wskazał na swoje ramię, po którym łaził jakiś insekt, a potem ponownie na wartownika, jakby chciał dać mu do zrozumienia: jesteś takim właśnie insektem! Po czym zgniótł tego robala

ręką.

Wyszliśmy na nieogrodzony teren. Stał tam samochód elektryczny, jakich używa się na polach golfowych. Podjechaliśmy nim do rzędu długich drewnianych budynków. Cztery prostopadłościenne budynki tworzyły rodzaj bloku. Stały na palach wysokości metra.

Przed budynkiem, przed którym się zatrzymaliśmy, trzymali wartę żołnierze i jedna ciemnoskóra kobieta w mundurze. Przeszukali mnie. Potem kobieta spytała:

- *Do you have any weapons?*

To już było groteskowe. Powiedziałem:

- *Yes, I have.*
- *Where?* - spytała kobieta i natychmiast się cofnęła.

Wskazałem na swoje zęby.

Kobieta żołnierz uciekła, wołając, że chcę ją pogryźć. Nadeszli inni żołnierze i rzucili mnie na ziemię. Wezwano jakiegoś oficera. Ten zapytał:

- *You want to bite the guards?* - Mówił coś jeszcze, głośno i szybko, więc niemal nic nie zrozumiałem.
- *No, no* - powiedziałem. - *No problem. I don't bite women.*

Przycisnęli mnie do ziemi i zaczęli krzyczeć. Byli zdenerwowani. Nie spodziewałem się tego. Nadszedł IRF.

- *He wants to bite** - powiedział oficer.

IRF wymierzył mi kilka uderzeń. Podnieśli mnie i zaprowadzili do jednego z drewnianych budynków. W środku były dwa pomieszczenia, prawdopodobnie pokoje przesłuchań; każde miało po pięć lub sześć metrów kwadratowych. Z zewnątrz budynki wyglądały na znacznie większe. Pośród-

ku pomieszczenia stało krzesło, na którym miałem usiąść. Przed krzesłem z podłogi sterczał masywny uchwyt, do którego przymocowano kłódką krótki łańcuch przeciągnięty pomiędzy moimi stopami. Łańcuch na nogach połączony był z łańcuchem opasującym mi brzuch, do którego przyczepione były kajdanki.

W ten sposób nie mogłem wstać, ani podnieść rąk, ani w ogóle się ruszać. Przedemną stał stół i drugie krzesło. Nic poza tym. Dwoje drzwi, żadnego okna. Wokół tylko drewno i drewno. Także stół był drewniany. Rozejrzałem się. Nie zauważyłem ani kamery, ani lustra. Pomyślałem, że przesłu-

" Masz jakąś broń? / Tak, mam. / Gdzie? / Chciałeś pogryźć strażniczkę? / Nie, nie, skąd. Nie gryzę kobiet. / Chciał gryźć. chujący musi wejść tymi drugimi drzwiami. Musi być za nimi inne pomieszczenie, z kamerami. Ale gdzie te kamery? Obok mnie stali strażnicy.

Przesłuchujący istotnie wszedł drugimi drzwiami. Miał około czterdziestu pięciu lat.

- Co za okazja. Cieszę się, że mogę rozmawiać z tobą po niemiecku. Dzięki temu nie zapomnę języka - powiedział.

Mówił po niemiecku płynnie, choć nie bez akcentu. Byłem zaskoczony. Wreszcie miałem możliwość wyjaśnienia wszystkiego we własnym języku i dowiedzenia swojej niewinności. Zanim jednak cokolwiek powiedziałem, oficer zdążył mi opowiedzieć, że przez kilka lat studiował w Niemczech. Mam wrażenie, że mówił o Frankfurcie. Czekałem.

Wziął papierosa.

Nie zadawał mi pytań, tylko bez przerwy mówił. Opowiadał, że mieszkał we wspólnym mieszkaniu z innymi amerykańskimi studentami, gdzie palili

haszysz, a jakaś kobieta z władz przychodziła tam regularnie z psami w poszukiwaniu narkotyków. Wiedzieli, że przyjdzie, więc rozdrobnili haszysz i rozprowadzili go szczotką do szorowania po całym dywanie. Pies zaczynał wariować, bo czuł wszędzie narkotyki, kobieta się cieszyła, że tak jej się udało, ale niczego ostatecznie nie znajdowała i za każdym razem odchodziła rozczarowana.

Po co opowiadał mi tę durną historyjkę?

Był podrapany. Czasami się uśmiechał. Na stole przed nim leżała teczka z papierami i długopis. Potem opowiadał następne historyjki. Nudziły mnie. Mówił, jakbym nie istniał, jakby zamiast mnie było tylko powietrze. Myślę, że chciał tylko posłuchać samego siebie mówiącego po niemiecku. A może chciał zdobyć moją sympatię?

Obojętne, myślałem. Ostatecznie nie bili mnie, gdy tak siedziałem i słuchałem. Mogłem przynajmniej posiedzieć na krześle.

Nagle zapytał:

- Wiesz, co zamierzamy z tobą zrobić?
- Tak - odparłem. I uśmiechnąłem się tak, żeby to wi
dział.

Wyraz jego twarzy się zmienił. Zapewne oczekiwał innej reakcji. Palił papierosa.

Początkowo miałem jeszcze nadzieję, że wreszcie będę mógł wszystko wyjaśnić. Wkrótce jednak stało się dla mnie jasne, że ten człowiek nie jest zainteresowany moją niewinnością.

- Opowiedz mi swój życiorys - polecił.

Zacząłem od szkoły budowy okrętów.

-Nie, zacznij od dzieciństwa. Opowiedz mi o swoim dzieciństwie -

nakazał.

- Urodziłem się w Bremie...

Opowiadałem o szkole w Hemelingen, ale wciąż mi przerywał. Koniecznie chciał znać nazwiska. Nazwiska moich przyjaciół, o których wspominałem. Chciał wiedzieć, czy miałem dziewczyny i pytał o ich nazwiska. Chciał wiedzieć, kiedy i gdzie przebywałem, w których dyskotekach pracowałem. Nazwiska, nazwiska, nazwiska.

Powiedział, że to oczywiste, że jako terrorysta tylko ukrywałem się w dyskotekach i wykorzystywałem je jako przykrywkę.

- Znam was, terrorystów - powiedział.

Ja miałem się kryć w dyskotekach?

- Dawniej nie nosiłeś brody, dla niepoznaki. A dziewczyny tylko wykorzystywałeś.

Ciągle się mnie o coś czepiał. Czy uważał mnie za super-terrorystę?

- Znam wszystkie te historie na pamięć. Zaczynaj wreszcie mówić prawdę.

Pałił.

Opowiadałem o sporcie.

- To typowe dla terrorystów. Wszyscy uczyliście się sztuk walki. Jasne, że trenowałeś. Ale jesteś chyba jedynym, który się do tego przyznaje.

Chciał wiedzieć, w jakich klubach sportowych i szkołach karate się uczyłem. Powiedział, że sam chodzi na siłownię.

- Mohammed Atta miał w Niemczech fitness club, ale za kulisami planowali ataki. Tak jak ty!
- W moim studio w Bremie nic innego oprócz treningów

się nie odbywało. Nie mam pojęcia, co robił Mohammed Atta. Znam go tylko z telewizji.

Wszystko to sobie zapisywał. Zauważyłem, że pisał innym długopisem niż ten, który leżał od początku na stole i którym się tak dziwnie bawił. Wpadło mi do głowy, że w tym długopisie musi być ukryta kamera. Kładł go na stole tak, że skuwka zawsze była skierowana w moją stronę i kamera mogła ujmować mnie *enface*. Nie pisał tym długopisem i obchodził się z nim nad wyraz ostrożnie. Nic innego, tylko miał w środku punktową kamerę - na tyle znałem się na elektronice.

Przesłuchanie ciągnęło się wiele godzin. Opowiedziałem mu wszystko aż do dnia uwięzienia w Peszawarze. Kilka razy wstawał i wychodził, a potem wracał. Może coś jadł albo pił.

Spakował wszystkie papiery do teczki i starannie schował długopis do kieszonki na piersiach.

- Na dziś wystarczy. Wiem, że kłamałeś. Od początku do końca. To tylko pogarsza twoją sytuację. Masz pecha, młody człowieku. Nie powinieneś być kłamać.
- Nie kłamałem. Czemu miałbym kłamać?
- Wiemy dokładnie, kim jesteś. Chcieliśmy usłyszeć to od ciebie. Zaprzepaściłeś swoją szansę!

I poszedł. *Escort-team* odprowadził mnie do klatki. Sprawdzili, czy nie mam broni i zostawili mnie samego.

Tymczasem nabrałem pewności, że Uzbek, którego pytałem, jak długo tu jest, nie miał na myśli dwudziestu minut ani dwudziestu godzin, lecz dwadzieścia dni. Klatki nie były żadnym obozem przejściowym: były więzieniem, gdziekolwiek się znajdowaliśmy. Innego więzienia nie będzie.

Teraz już rozumiałem, że to klatka jest moją przyszłością. Ale na jak długo?
Chayr Insha Allah. Z wolą Allacha będzie dobrze.

Tylko jak miało się tu dokonać coś dobrego?

Potem przyszli strażnicy i powiedzieli:

- *Cet readyfor a shower!*

Te słowa pamiętałem jeszcze z Kandaharu.

Rozebrałem się do szortów, wziąłem pod pachę ręcznik, mydło oraz klapki, usiadłem i czekałem. Po pewnym czasie wrócili razem z IRF-em i psem, owczarkiem. Jakie wykroczenie popełniłem tym razem? Doszedłem do tego dopiero później: niektórych na przesłuchanie lub do kąpieli zawsze odprowadzał IRF. Dotyczyło to więźniów bardzo silnych oraz tych, o których Amerykanie wiedzieli, że trenowali sztuki walki. Pozostałych odprowadzali zwykli strażnicy.

- *Turn around and get on your knees! Hands on your head! **

Obróciłem się, ukląknąłem i położyłem ręce na głowie. We szli do klatki i założyli mi kajdanki i łańcuchy. Potem poszliśmy przejściami między siatką, aż dotarliśmy do pryszniców. Były to takie same klatki jak nasze, tylko podzielone na dwie części. W każdej z nich z siatki zwieszał się szlauch. Wodę włączał i wyłączał strażnik. Wpuścili mnie pod ten „prysznic” i zdjęli mi kajdanki. Ze szlauchu płynęła wąska strużka wody. Ustawiłem się pod nią i gdy tylko namydliłem całe ciało, rozpoczęło się szybkie odliczanie: *three-two-one-over!* Woda została zakręcona. Miałem jeszcze mydło na całym ciele, ale żołnierz obsługujący kran oznajmił:

" Odwróć się i klęknij! Ręce na głowę!

- *Your time is up.*

A więc to nazywali prysznicem.

W drodze powrotnej jeden ze strażników zapytał mnie, czy trenuję i co trenowałem w Bremie.

- *Hey, you got big arms! What you're doing?** - pytał.

Milczałem.

Gdy wróciłem do swojego bloku, nie wierzyłem własnym oczom: pusta dotąd klatka Charly-Charly-1 miała nowego lokatora. Był młody, miał może tyle lat co ja - dziewiętnaście albo dwadzieścia. Leżał na ziemi i wydawał ciche odgłosy. Nie płakał, nie; odnosiłem wrażenie, że słyszę coś jakby melodię, jakąś smutną arabską piosenkę. Nie miał nóg, a rany były jeszcze świeże.

Siedziałem w swojej klatce i niemal nie mogłem na niego patrzeć. Jedyne ukradkiem rzucałem spojrzenia w jego stronę. Jego kikuty były zupełnie zaropiałe, a bandaże, którymi były owinięte, przesiąkały na czerwono i żółto. Rany krwawiły i ociekały ropą. Na rękach widać było odmrożenia. Wyglądało na to, że nie może poruszać palcami u rąk. Widziałem, jak się podniósł i podpełzł do wiadra. Zapewne miał pilną potrzebę. Próbował podciągnąć się rękami na siatce, żeby dostać się na wiadro, ale mu się to nie udało. Ręce miał tak obrzmiałe, że ledwie mógł nimi chwytać. Zrozpaczony próbował dalej. Wtedy podszedł wartownik i uderzył go pałką po rękach. Chłopak opadł na ziemię.

Ile razy próbował podciągnąć się na siatce, by usiąść na wiadrze, tyle razy wartownicy bili go po rękach. Nie wolno nam było dotykać siatki. Ale człowiek bez nóg? Mówili, że nie wolno mu wstawać. Jakże miał wstać, skoro nie miał nóg?! Nie mógł opierać się o siatkę, właściwie nie mógł też

leżeć. Nie pozwolili mu nawet dostać się na wiadro.

* Twój czas minął. / Ależ ty masz ramiona! Jak to robisz?

Następnego dnia zacząłem z nim trochę rozmawiać. Właściwie nie rozumiałem prawie nic z tego, co mówił. Nazywał się Abdul Rahman i pochodził z Arabii Saudyjskiej. Wydawało mi się, że mówi, iż wcześniej był w Bagram. Tam, podobnie jak my w Kandaharze, przeżył piekło zimna. Prawdopodobnie to było przyczyną odmrożeń na rękach i stopach. Te na stopach spowodowały, że w szpitalu wojskowym amerykańscy lekarze amputowali mu nogi.

Było mi go ogromnie żal. Musiało go to wszystko strasznie boleć, a do tego był bardzo wychudzony. Mimo to wtrącili go po prostu do klatki i musiał w niej leżeć bez opatrunków. Jak miał to przeżyć? Co to byli za lekarze? I co za strażnicy, którzy bili go pałkami po rękach? Co to byli za ludzie?

Bandaże na kikutach Abdula nigdy nie zostały zmienione. W końcu odwiązał je sobie: były całe zakrwawione i oblepione ropą. Pokazał je wartownikom i wskazał na otwarte rany, ale strażnicy to zignorowali. Widziałem później, jak Abdul próbował uprać sobie te bandaże w wiadrze z wodą do picia. Nie mógł jednak sprawnie poruszać rękami i nic z tego nie wyszło. Nie miałby ich zresztą jak wysuszyć, bo nie wolno mu było dotykać siatki. Założył więc te brudne szmaty znowu na rany.

Gdy wartownicy przyszli zabrać go na przesłuchanie, rozkazali, by usiadł plecami do drzwi, a ręce założył na głowę. Gdy otworzyli drzwi, rzucili się na niego tak jak na innych: bili go po plecach, przygniatali do ziemi, a potem chwycili go za ramiona, nałożyli kajdanki i zakuli, tak że nie mógł się poruszać. Krzyczał z bólu.

Dlaczego to wszystko robili? Nie miał już przecież nóg, a ważył zaledwie jakieś czterdzieści kilogramów. Co mógł im zrobić? Został zanieiony na przesłuchanie. Dwaj wartownicy podłożyli po jednej ręce pod jego pachy, przygięli

mu ramiona, kark i głowę do ziemi, podnieśli i zawlekli do przejścia. Kikuty dyndały w powietrzu. Okropnie krzyczał z bólu. Gdy po kilku godzinach wrócił, na jego twarzy były ślady uderzeń.

Spędziliśmy wspólnie w Charly-Charly kilka tygodni. Abdul był zawsze serdeczny i łagodny, naprawdę miły chłopak. Upłynęło trochę czasu, nim zdołaliśmy się porozumieć. Potem było już łatwiej. Zrozumiałem, że podobnie jak ja był krótko po ślubie, kilka miesięcy. Zapytałem, czy jego żona wie, że stracił obie nogi. Nie wiedziała oczywiście. Mogłem się domyślić. Nikt nic o nas nie wiedział. Często rozmawialiśmy o sporcie. Abdul mówił, że chętnie grywał w piłkę nożną.

Najdziwniejsze było to, że mimo niewyobrażalnego bólu ten chłopak bardzo dobrze się trzymał. Znajdując się w opłakanej sytuacji, interesował się głównie losem innych. Nigdy nie płakał, gdy bił go IRF. Płakał tylko, gdy widział, jak biją innych więźniów w sąsiednich klatkach, a płakał głośno. Miał w sobie bardzo wiele współczucia, choć sam traktowany był w nieludzki sposób. Później został przeniesiony i nigdy więcej go nie zobaczyłem.

Dzisiaj wiem, że Abdul przeżył, mimo okaleczeń. Wiem, że jego rany się zagoiły i może już poruszać rękami. Przybrał też na wadze i próbuje utrzymać się w dobrej formie. Od jednego z więźniów wiem, że uczy się nawet robić pompki. Przesłał mi ciepłe pozdrowienia. Nadal jest więziony w Guan-tanamo.

Abdul nie był jedynym, który w obozie stracił jakąś część ciała. W Guantanamo zdarzało się to częściej. Jeden z więźniów mówił mi, że skarżył się na ból zębów. Zaprowadzono go do dentysty, który usunął mu nie tylko bolący ząb,

ale również osiem innych, zdrowych. Znałem też Marokańczyka, który wcześniej był kapitanem. Nie mógł poruszać małym palcem. Był odmrożony. Pozostałe palce były w porządku. Powiedziano mu, że trzeba amputować odmrożony palec, więc się zgodził. Gdy wrócił ze szpitala dla więźniów, miał tylko dwa palce - obcięto mu wszystkie poza kciukami.

Wielu Afgańczyków nosiło ślady walk, niektórzy nie mieli ręki albo nogi. Widziałem ich otwarte rany, których nikt nie opatrywał. Wielu więźniów miało połamane kości nóg, rąk albo stóp, ponieważ często byli bici pałkami. Złamanych kości także nikt nie leczył. W obozie X-Ray widziałem, jak pewnego mężczyznę prowadzono na przesłuchanie. Gdy wrócił, jego ręka zwisała bezwładnie, trzymając się jedynie na skórze i mięśniach. Była najwyraźniej złamana, ale wepchnięto go po prostu do klatki. Jak jego kości miały się zrosnąć?

Nigdy w obozie nie widziałem, żeby ktoś nosił gips. Wartownicy mówili, że samo się wyleczy. Krótco przed wyjściem na wolność spotkałem więźnia, któremu IRF złamał dwa palce. Opuchlizna z dnia na dzień się powiększała; trwało to kilka tygodni. Nieraz tych, którzy przeżyli podobne urazy, spotykałem ponownie, ale wielu już nigdy. A może ich nie rozpoznawałem? W pierwszych dniach w obozie X-Ray byliśmy goleni i strzyżeni na zero, a później większość nosiła długie włosy i brody, tak jak ja. Zawsze było tam wielu więźniów, którym

kości źle się pozrasały, wskutek czego nie mogli poruszać palcami ani rękami; niektórzy w ogóle mieli tylko jedną rękę.

Mnie również w ciągu tych lat bolały zęby, miewałem też inne problemy zdrowotne, ale za żadne skarby nie chciałem dostać się pod „opiekę” tych z ambulatorium. Nie miałem 104 zamiaru tracić zębów, palców ani nóg.

Widziałem też starego niewidomego człowieka. Był przesłuchiwany, bity i torturowany tak samo jak my wszyscy. Amerykanie nie czynili żadnych wyjątków ze względu na wiek czy stan zdrowia. Mówiło się, że ten starzec miał ponad dziewięćdziesiąt lat. Był Afgańczykiem. Miał siwiuteńkie włosy i brodę.

Mój sąsiad z Guantanamo opowiadał, że jego ojciec także jest w tym więzieniu. Kilka razy prosił strażników, by pozwolili mu go zobaczyć, ale się nie zgodzili. Nie był to przypadek odosobniony. W Guantanamo przebywało kilku ojców i synów. Sam znałem osiemnastoletniego chłopaka, którego pięćdziesięcioletni ojciec także był tu więziony. Jeszcze częściej zdarzało się, że w więzieniu przebywali bracia. Zmuszano ojców, by patrzyli, jak żołnierze biją ich synów, a synowie musieli patrzeć, jak biją ojców. Kto może się spokojnie przyglądać, jak jego własny ojciec jest bestialsko katowany i poniżany? W obozie Delta byłem świadkiem, jak w klatce naprzeciwko mnie IRF znęcał się nad więźniem. Jego syn siedział obok mnie i musiał na to wszystko patrzeć.

W obozie X-Ray oplułem kiedyś wartownika, który potwornie bił tego ślepego starca. Przyszli wtedy do mnie i powiedzieli, że zostanę ukarany. Odpowiedziałem:

- Co chcecie zrobić? Zamknąć mnie? Jestem już przecież w klatce!

Oczywiście zbili mnie na kwaśne jabłko. Nie obnoszę się z tym, ale na

niektórych ludzi można tylko napluć. Ten wartownik miał dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat. A bity starzec był niewidomy. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. Jak ludzie mogą być tak odrażający, tak wstrętni?

Gdy zobaczyłem Abdula pierwszy raz, dziękowałem Bogu, że oszczędził mi takiego losu. Dziękowałem Allahowi, bo znajdowałem się w znacznie korzystniejszym położeniu niż

Abdul, choć siedziałem zamknięty w klatce i byłem torturowany. Czasami, gdy słyszałem w Charly-Charly IRF, modliłem się, żeby tym razem bili mnie zamiast Abdula.

Podczas następnego przesłuchania Amerykanin mówiący po niemiecku położył przede mną artykuły z prasy. Były to wydruki komputerowe, zawsze z widocznym logo lub czcionką jakiejś amerykańskiej gazety. Cały stos artykułów: „New York Times”, „Washington Post”. Przetłumaczył jedną linijkę:

Podczas walk w Afganistanie jednostki specjalne schwytały niemieckiego taliba.

Czy oni sami to napisali? Przeczytał mi kilka akapitów po angielsku, a potem przetłumaczył na niemiecki:

Amerykańskim jednostkom specjalnym udało się wziąć do niewoli taliba z Niemiec. Miało to miejsce podczas walk w górach Afganistanu. Mężczyzna, biegły w różnych sztukach walki, zawzięcie się bronił...

Co za kłamstwa! Coś takiego mogła napisać amerykańska gazeta - o

mnie?!

- Przecież pan wie, że zostałem zatrzymany w Pakistanie! - powiedziałem.
 - Tak, wiemy. Ale tam, w świecie, nikt tego nie wie. Tym się nie zajmujemy. Dziennikarze piszą, co chcą.
- Roześmiał się.

Pod wieczór zawsze pojawiały się zwierzęta. Może przychodziły z pagórków, które widać było w ciągu dnia. Nasze klatki często oplecione były pajęczymi sieciami - krzyżaków i małych tarantul. Te ostatnie były czarne i mocno owłosione. Z ta-106 rantulami bardzo się zaprzyjaźniłem. Wartownicy nie mieli

nic przeciwko wizytom pajaków. Nie mogliśmy przyjmować odwiedzin krewnych, ale tarantule były jak najbardziej dozwolone. Nie przeszkadzało mi to. Nie zabijałem tarantul. Jeśli kogoś ukąszą, kończy się na bólu głowy. Wartownicy rozgniatali je butami.

Był tam jeden rodzaj pajaków, których wartownicy się bali. Nazywali je Brown La Cruz lub jakoś podobnie. Były to czerwonobrazowe, bardzo małe pajęczki o włochatych odwłokach. Podobno były znacznie bardziej jadowite niż tarantule, a ich ukąszenie bez interwencji lekarza mogło okazać się śmiertelne. Potrafiły nawet skakać. Chwytałem je i odrzucałem daleko. Nie zabijałem ich, bo przecież nic mi nie zrobiły. Człowiek nie powinien zabijać zwierząt, jeśli nie chce ich jeść. Podobnie z roślinami. Każdego wieczoru pojawiały się również żmije. Lubiły ciepło żwiru i nagrzanego betonu.

Charly-Charly był skrajną częścią obozu. Byliśmy więc najbliżej natury.

Nigdy potem nie odwiedzało mnie tak wiele zwierząt. Raz był u mnie boa - bardzo długi i cienki, pomyślałem, że jeszcze urośnie. Przypęłzały najróżniejsze żmije: brązowe, zielone, szare, ale nic nam nie robiły. Myślałem o żmijach w ogrodzie dziadka w Kusce i w orzechowym gaju. Myślałem i o tej żółtej, którą chciałem załatwić kijem, a którą Ibrahim uśmiercił leszczynową witką. Było mi jej szkoda.

Pewnej nocy zasnąłem na kilka chwil, mimo hałasu płynącego z głośników, gdy nagle poczułem coś na dłoni, zupełnie jakby ktoś mnie łaskotał. Miałem wrażenie, że jestem w domu i że budzi mnie mama. Często budziła mnie lekkim łaskotaniem. Ocknąłem się i spojrzałem na swoją dłoń - siedział na niej skorpion. Mały czarny skorpion. Zrzuciłem go na ziemię i zgmiotłem stopą. Wiedziałem, że jeśli zrobię to odpowiednio szybko, nie ukłuje mnie w podeszwę.

Przez siatkę przechodziły też żaby. Wyglądały bardzo ładnie. Nie zauważałem, kiedy się pojawiały, po prostu w pewnym momencie siedziały i już. Szukały wody i wskakiwały do wiadra. Zawsze gdy chciałem się napić, sprawdzałem najpierw, czy nie ma jakiejś w wodzie. Siedziały na samym dnie. Cieszyłem się, ilekroć je widziałem.

Najbardziej lubiłem iguany. Nazywali je tam legwanami. Zawsze zostawiałem dla nich kawałek pieczywa. Kruszyłem go i kładłem przed nimi na ziemi. Wyglądały jak miniaturowe smoki. Były zielone, zielonożółte i szare. Niektóre były zbyt duże, by przeskoczyć przez otwory w siatce, ale wciąż przychodziły. Toczyłem dla nich kuleczki z chleba i rzucałem w piasek, a one przyzwyczały się do tego.

Iguany? Gdzie my się właściwie znajdowaliśmy?

Do mojej klatki przylatywały też kolibry. Czytałem co nieco na

temat ptaków. Czy kolibry nie występują głównie w rejonie Karaibów?

Nieco później usłyszałem od innych więźniów, że być może jesteśmy na Kubie. Jeden z nich mówił, że Amerykanie mają na tej wyspie bazę wojskową. Potem spytałem któregoś z przesłuchujących, czy jesteśmy na Kubie.

- Tak - powiedział. -Jesteśmy na Kubie.

Klatka obok mnie stała pusta. W kolejnej siedział nieduży, ale bardzo silny mężczyzna. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby zjawił się u niego IRF. Może czuli przed nim respekt. Pewnego wieczoru zagadnąłem go po turecku. Dużo opowiadał, ale niewiele z tego rozumiałem. Był Czeczenem, ale pochodził z Dagestanu. Nie wiedziałem, jak tam jest. Zrozumiałem, że był zapaśnikiem, ale musiała to być jakaś szczególna odmiana zapasów, bo gestami pokazywał, że nie wolno przy nich poruszać nogami. 108 Lubiłem go.

Nie chcę mówić zbyt wiele o jego osobistych sprawach, bo wiem, że dziś znowu jest w więzieniu. Gdy został zwolniony z Guantanamo i odleciał do domu, na lotnisku przywitali go Rosjanie, którzy pod jakimś zarzutem zatrzymali go i uwięzili. Mówiło się, że dostał czternaście lat. Nosił popularne arabskie imię jednego z proroków, ale ja będę nazywał go Isa. Isa to arabska forma imienia Jezus, imienia islamskiego proroka. W chrześcijaństwie Jezus był Mesjaszem, nie prorokiem. W islamie jest ważnym prorokiem, na którego powrót czekamy. Mam nadzieję, że i ten Czeczen któregoś dnia powróci i będzie wolny.

Isa był wesołym człowiekiem. Ciągłe się śmiał i stroił zabawne miny, choć było to zabronione. Nie obchodzili go wartownicy ani IRF. Wstawał,

kiedy przyszła mu ochota, i gimnastykował się w klatce, co sprawiało mu wyraźną radość. Był niesłychanie silny. Umiał z pozycji stojącej wykonać salto w tył. Pewnego razu pokazał mi, co naprawdę potrafi.

- Pssst - usłyszałem.

Isa usiadł po turecku na ziemi i zachowywał się tak, jakby chciał mnie do siebie przywołać.

- Pssst...
- *Evet?* - zapytałem po turecku: - Tak?

Isa wyszczerzył zęby.

-*Ha?*

Isa wyciągnął ręce w górę i pochylił tułów w bok ku drzwiom. Potem chwycił obiema rękami pionową metalową sztabę drzwi. Nie wierzyłem własnym oczom: najpierw utrzymywał ciężar całego ciała na łokciach, a potem jego nogi powędrowały w zwolnionym tempie w powietrzu, jakby przytrzymywane przez niewidoczną taśmę, aż całkowicie je wyprostował. Wreszcie przełożył powoli obie ręce w ten sposób, że zawisł nad ziemią zupełnie poziomo, wyprostowany jak świeca. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego jest

możliwe; nigdy nie widziałem podobnej siły i panowania nad własnym ciałem! Isa utrzymał się kilka sekund w tej pozycji, a potem w takim samym zwolnionym tempie wykonał wszystkie swoje sztuczki, by po chwili znów siedzieć po turecku. Byłem zachwycony.

- *Eh?* - powiedział Isa i pokraśniał z radości jak dziecko, uderzając się rękami po udach.

Biłem mu brawo, jakbym był świadkiem czarodziejskiej sztuczki.

Zjawił się IRF i zbił go okropnie, a wkrótce potem rozpylili gaz w

mojej klatce, drzwi odskoczyły i przysłała moja kolej. Zwinąłem się na ziemi, jak mogłem najbardziej, i pomyślałem, że warto zapłacić tę cenę za taki pokaz.

Innym razem Isa przysłał mi prezent. Był wieczór i wartownicy chodzili dookoła; nikt nie mówił ani słowa.

- Pssst - usłyszałem znowu.

Spojrzałem w stronę Isy - nie spał jeszcze.

-*Hediyel* - powiedział szeptem. To słowo po turecku oznacza prezent.

Widziałem, że w rękach trzyma zwinięty w rulonik papier. Zdziwiłem się: chce mi przesłać coś do jedzenia?

- Co jest w środku? - spytałem.

- *Hediyel* - odpowiedział.

Odczekał, aż wartownicy miną jego klatkę, a potem pstryknął ten paperek przez pustą klatkę do mnie. Przesyłka uderzyła jednak w drut i spadła na ziemię. Udało mi się jej dosięgnąć i wciągnąć przez oko siatki. Rozwinąłem rulonik i przestraszyłem się: w środku schowany był duży egzotyczny robal w ostrych kolorach, zielonym, żółtym i czerwonym, z odnóżami jak u stonogi i szczypcami jak u skorpiona. Robal wyglądał naprawdę niebezpiecznie, choć przypominał kolorowe graffiti. Poruszał się szybko i za moment był już na mojej ręce. Zrzuciłem go czym prędzej na ziemię. Pełzał mi koło stóp, chwyciłem więc kłapek i próbowałem go unicestwić. Isa leżał na plecach i trzymał się za brzuch, zaśmiewając się do łez. Oczywiście zaraz zjawił się IRF.

Isa cały czas robił jakieś psikusy. Kiedy wartownicy na niego krzyczeli,

kiedy mu grozili i próbowali go przestraszyć, tarzał się po ziemi i śmiał do rozpuku. Wartowników rozwścieczało to jak mało co. A Isa wskazywał na nich palcem i po prostu się śmiał. Mówił przy tym: popatrzcie, jakie mają czerwone z wściekłości twarze, jak się denerwują, jak krzyczą - i śmiał się, śmiał bez końca.

Podobnie jak w Afganistanie, i tu były wartowniczkami, kobiety. Białe, czarne, Latynoski. Strażnicy często się zmieniali, ale i tak wkrótce wszystkich znałem. Często spotykałem Gaila Holforda, ale on ze mną nie rozmawiał. Miałem wrażenie, że niektórzy wartownicy mieli ochotę porozmawiać ze mną czy z innymi więźniami. Powtarzali jednak zawsze:

*- Sorry, I can't talk to you, they're watching me**

Oni też byli obserwowani. Strażnikom nie wolno było z nami rozmawiać, takie były przepisy. Obowiązywała też zasada, że nie wolno im traktować nas jak ludzi.

Poznałem jeszcze dwa nazwiska wartowników. Jeden nazywał się Philips. Jego specjalnością było stawanie przy drzwiach, kiedy się modliliśmy. Robił tak miesiącami, słyndł z tego.

Pewnego razu zawołałem pana Philipsa po nazwisku:

- Mr. Philips, please TP!

Zdenerwował się, słysząc to, i zamiast papieru toaletowego sprowadził mi na kark IRF. Wartownicy patrolowali teren na zmiany, przy czym każda zmiana trwała dwanaście godzin. Ich kroki słyndać było przez cały czas z wyjątkiem

Przepraszam, nie mogę z tobą rozmawiać, obserwują mnie.

nocy, kiedy zagłuszała je głośna muzyka. Na naszym terenie między

klatkami krążyły zawsze dwa patrole, podczas gdy pozostali pili gdzieś kawę. Z wież na górze obserwowali nas snajperzy.

Na ogrodzeniu umieszczone były plakaty z napisami po angielsku, arabsku i persku, na których można było przeczytać: „Ucieczka nie ma sensu. Snajperzy czuwają przez całą dobę”. Ale jak można było uciec z tych klatek? Były zrobione z mocnego drutu, spawanego na każdym oczku. Pewnego wieczoru byłem jednak świadkiem sceny, która dała mi wiele do myślenia.

Było już ciemno, gdy strażnicy przez otwór w drzwiach wrzucali nam jedzenie na papierowych tackach. Była to zimna papka z prosa i kromka chleba tostowego. Wartownik musiał być zamyślony, bo wrzucił talerz do pustej klatki, tej między mną a Isą. Może myślał, że przebywający tam więzień jest na przesłuchaniu.

Isa zjadł swoją porcję prosa, a potem obrócił się ku mnie. Zobaczyłem, że przerwał siatkę gołymi palcami. Rozplatał oczka jedno po drugim i odrywał spaw. Odgłos przy tym był taki, jakby ktoś pruć zwykły szew. Dziura miała jakieś dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów szerokości, tak że przechodziła przez nią ręka i część ramienia. Isa chwycił talerz z sąsiedniej klatki, włożył na jego miejsce swój pusty i pozakręcał z powrotem oczka. Nie rzucało się to w oczy, bowiem cała siatka była poodkształcana przez ciągłe walenie w nią pałkami i inne działania IRF-u.

Isa zaśmiał się i zjadł drugą porcję.

Potem przyszli strażnicy, by zebrać talerze i wyrzucić do kosza. Wystawiłem swój przez otwór. Z następnej klatki strażnik sam wyciągnął pusty talerz, potem poszedł do Isy, który także podał swój talerz. Ale nagle przystanął. Spojrzał na pustą klatkę, spojrział na swój worek na

odpa-

dy, popatrzył najpierw na Isę, potem na mnie. Podrapał się w głowę.

- Widziałem, kto zjadł tę porcję - powiedziałem.

Strażnik podszedł do mnie.

- Kto taki?
- Znasz Chena?

- Tak...

- Chen był tu przed chwilą, zjadł i zostawił tam talerz.

- Wiem, że Chen ma źle w głowie, ale nie aż tak źle, by zrobić coś takiego - odpowiedział strażnik.

- Zatem powiedz mi, kto to zjadł - rzekłem.

Wartownik wzruszył ramionami. Potem odwrócił się i ze

brał talerze od pozostałych więźniów.

Chen był trzecim strażnikiem, którego nazwisko wpadło mi w ucho. Był Filipińczykiem, z którego inni strażnicy często stroili sobie żarty. Chen obchodził się z nami tak samo źle jak jego koledzy, więc i my go nie oszczędzaliśmy, robiąc mu różne psikusy.

Isa pokazał wszystkie zęby w uśmiechu i był w siódmym niebie.

Dotąd nie myślałem o ucieczce z tego miejsca. Gdy jednak zobaczyłem, jak Isa rozplata siatkę, pomyślałem: gdyby zrobił większy otwór, mógłby się nawet przez niego przecisnąć. Istniała więc jakaś szansa wydostania się. Trzeba być bardzo silnym, ale jeśli mógł to zrobić Isa, może udałoby się i mnie?

Potem musiałbym przedrzeć się przez kolejne ogrodzenie, wysokie na jakieś cztery metry. Nad nim były jeszcze zasieki natowskie z ostrego jak brzytwa drutu kolczastego, uformowanego w kształt tunelu. Może udałoby

siebie sforsować. Ale co z zewnętrznym ogrodzeniem?

W nocy śnił mi się Faruk. To mój przyjaciel z Bremy. Widziałem, że gubią go narkotyki. Śniło mi się, że chciał wszystkim udowodnić, jak brutalnie bije innych ludzi. Potem spojrzał mi w oczy, jakby chciał powiedzieć: pomóż mi, jesteś przecież moim przyjacielem!

Gdy się obudziłem, było jeszcze ciemno. Słyszałem odgłosy zwierząt. Myślałem o Faruku. Zawiodłem go jako przyjaciel. Rozmyślałem o Bremie. Zadawałem sobie pytanie, jak to się stało, że siedzę teraz zamknięty w tej klatce. Właściwie wszystko zaczęło się od tego, że Selcuk wyśmiał moją brodę.

Brema, Hemelingen

Urodziłem się w 1982 roku w szpitalu dziecięcym w Bremie przy ulicy Bismarcka. Mieszkaliśmy w czynszowym mieszkaniu w robotniczej dzielnicy Hemelingen. Gdy miałem dwanaście lat, ojciec kupił szeregowy dom przy jednej z małych bocznych uliczek. W tej dzielnicy było dużo miejsc pracy. Mieściła się tam wielka wytwórnia mięsa i wędlin firmy Kónecke, ogromna fabryka Coca-Coli, Bremeńskie Zakłady Komunalne oraz firma Wilkens & Söhne, produkująca sztucce i srebra stołowe. Wszystkie domy zbudowane były z czerwonej cegły. Między naszą dzielnicą a miastem, na brzegu Wezery, stały niezliczone magazyny i fabryki. Jak większość Turków, mój ojciec pracował w zakładach Mercedesa.

Ojciec był robotnikiem zmianowym na wydziale pras. To była ciężka praca. Od połowy lat siedemdziesiątych stał przy taśmie produkcyjnej. Pracował

całymi nocami, a taśma nigdy się nie zatrzymywała, więc nie mógł się nawet podrapać w głowę. Dlatego w naszym domu przez cały dzień było cicho: szeptaliśmy, żeby nie obudzić taty. Dopiero wieczorem, o dziewiątej, gdy wyjeżdżał naszym mercedesem do pracy, zaczynaliśmy mówić normalnie.

Nieraz w czasie ferii także ja pracowałem w zakładach Mercedesa. Zatrudniali mnie w stolarni albo w czyszczalni. Mercedes to był świat sam w sobie. Hale były tam tak wielkie, że wszyscy poruszali się rowerami lub elektrycznymi samochodami. Mieli własny zakład stolarski, własną firmę sprzątającą, własny oddział elektroniczny, nawet własną straż pożarną. Niemal wszyscy pracujący tam robotnicy mieszkali w Hemelingen.

Tuż za dworcem Sebaldbriick zaczynała się nasza dzielnica: tureccy sprzedawcy warzyw, sklepy z kebabem, herbaciarnie. Z daleka widać było, że mieszkają tam niemal sami Turcy - nasze mieszkania rozpoznawało się po oknach i po niezliczonej liczbie anten satelitarnych na dachach. Niebo nad Wezerą często zasnuwały fabryczne dymy.

Bar szybkiej obsługi Sölen, biuro podróży Sultan Reisen, Związek Pracowników Cudzoziemców, most nad torami kolejowymi. Gdy jako mały chłopiec chodziłem z ojcem przez ten most, tata unosił mnie w górę i stawiał na wąskiej betonowej balustradzie wysoko nad ziemią. Chciał napędzić mi trochę strachu.

- Zaraz polecisz w dół - mówił, trzymając mnie mocno.

Jeszcze market Tokcan, piekarnia, do której matka posyłała mnie po południu po chleb i bakławę. Dyskoteka Aladin, słynna z laserowych pokazów, jednych z największych w Niemczech. Później pracowało w

niej wielu moich znajomych, a wuj Ekram był tam wykidajłą.

Moja szkoła nazywała się Dzwonkowa, bo znajdowała się na ulicy Dzwonkowej. Zaraz za rogiem mieszkał mój najlepszy przyjaciel, Orhan. Kiedyś miałem też przyjaciela Chińczyka, którego rodzice prowadzili restaurację na końcu naszej ulicy. Bawiliśmy się razem; on mówił po chińsku, ja po turecku, ale my, dzieci, nie potrzebowaliśmy wspólnego języka, żeby się porozumieć. Jego rodzice czasami zapraszali mnie na obiad. Ich jedzenie było zupełnie inne niż nasze. Niemieckiego nauczyłem się dopiero w zerówce, w której uczyły się niemal same tureckie dzieci. Była tam taka mała Turczynka, która bardzo mi się podobała. Często namawiałem ją, żebyśmy pobawili się w rodziców. Ona była matką, ja ojcem. Po ukończeniu zerówki wróciła z rodzicami do Turcji.

Każdego popołudnia z Orhanem albo samotnie jeździłem rowerem na tereny zakładów przemysłowych: koło wjazdu na autostradę, potem wzdłuż nieużytków, na których stały przyczepy kempingowe. To było nasze ulubione miejsce zabaw. Wdrapywałem się na ogromne dźwigi, na góry piasku i żwiru. Z takiego żwirowego pagórka zjeżdżałem na brzuchu niemal jak u dziadka w Kusce. Stare łodzie transportowe stały w bocznej odnodze Wezery, unosząc na sobie piasek, żwir i ogromne skrzynie. Przy ujściu rzeki rybacy łowili ryby. My, dzieci, wdrapywaliśmy się wszędzie, czasami także na statki. Na poboczach dziurawych i wyboistych dróg stały wysłużone samochody kempingowe, które ludzie tu po prostu odstawili, by powoli niszczały. Czyściliśmy te auta i przywracaliśmy im urodę; były naszymi domkami, w których się bawiliśmy.

Na rowerze zwiedzałem całą okolicę. Znałem tam każdy zakątek, każdy wrak, wszystko. Pamiętam składowisko złomu z kontenerami i zepsutymi

wielkimi piecami, z których każdy ział głębią jak jaskinia. Biegałem między torami kolejowymi; wiatr przynosił tam zapach ropy albo kawy, zależnie od tego, czy wiał od stoczni, czy od palarni kawy.

tylko

Zaraz za Jacobs-Kaffee znajdowało się miejsce moich kąpiei. Wokół transformatorów przed stoczną Hegemanna był piasek. Tam, na zejściu do Hegemannsee, rosły krzewy malin, ogrodzone siatką. Wspinałem się po niej, chowałem w zaroślach i zajadałem maliny. Wieczorem wychodziły zajęce i kicały po całym terenie. Było tam wtedy naprawdę romantycznie. W zakładach zamykano bramy, ale nie gasły żółte światła, które pięknie odbijały się w rzece. W dzień panował tam straszny hałas, huczały maszyny, a wysokie kominy dymiły gęstymi oparami, natomiast wieczorem robiło się

cicho i spokojnie. Byłem sam w towarzystwie zajęcy, tylko żółte światła oświetlały okolicę.

Czasami nad Wezerę przychodził ze mną wujek Ekram. To młodszy brat mojej mamy, którego bardzo kochałem. Ekram był człowiekiem wesołym, poszukiwaczem przygód. Gdy byłem mały, nauczył mnie jeździć na rowerze. Później chodził ze mną nad Wezerę łowić ryby. Wcześniej, w Kolonii, siedział w więzieniu. Był bardzo silny. Miałem już dwanaście lat, a on jeszcze potrafił podnieść mnie jedną ręką nad głowę.

Bycia obcokrajowcem nigdy nie uważałem za coś złego. Jako dziecko cieszyłem się, że mówię dwoma językami. Mogłem w ten sposób mieć zarówno kolegów Niemców, jak i Turków. Z tureckimi przyjaciółmi mogłem się bawić nad Wezerą aż do zapadnięcia zmroku, natomiast

niemieccy koledzy musieli wcześniej wracać do domów, a niektórym w ogóle zabraniano przychodzić na teren zakładów. Mogli bawić się tylko u siebie w domu lub w ogrodzie. Nie odpowiadało mi to. W tureckich rodzinach latem życie toczyło się na świeżym powietrzu.

Byliśmy inni. Braliśmy się za łby, ot tak, dla zabawy, i zupełnie normalne było, gdy jeden drugiemu przyłożył. Niemieckie dzieci takich zabaw nie znały. Traktowały to zaraz bardzo poważnie, płakały i były śmiertelnie obrażone. Inne też były nasze rodziny i tradycje. My mieliśmy całą masę wujów, ciotek, rodzeństwa i kuzynów. Nie obchodziliśmy Wielkanocy ani Bożego Narodzenia. Świętowaliśmy *Id ul-Adha* i *Id ul-Fitr*. Święto Ofiarowania po Hadż oraz Święto Cukru po miesięcznym poście - ramadanie. Objadaliśmy się wtedy słodyczami.

W Święto Ofiarowania chodziliśmy z ojcem do tureckiego rzeźnika i wybieraliśmy jakieś zwierzę, zazwyczaj barana albo owieczkę. Przewiązywaliśmy mu oczy. *Bismillah* - mówił ojciec: w imię Allacha. Nasze zwierzęta podlegały ubojowi rytualnemu. Zwierzę po upuszczeniu krwi traciło przytomność i nie odczuwało bólu, a prorok Mahomet zalecał używanie dobrze naostrzonych noży. Część mięsa musiała zostać przekazana potrzebującym, ale większość rodzin posyłała po prostu pieniądze do Turcji.

Po ukończeniu szkoły podstawowej chodziłem do szkoły imienia Parsewala w Sebaldsbrück. Wcześniej, już w wieku ośmiu lat, zacząłem trenować dzudo. Wkrótce jednak przestało mi to wystarczać. Fascynowały mnie sztuki walki, Bru-ce Lee, kung-fu. Wielu młodych Turków można było spotkać w szkołach karate, kick-boxingu i na siłowniach - była to istotna część naszej kultury w Niemczech. Trenowali tam wszyscy nasi

wujkowie i starsi bracia. Wuj Ekram nauczył mnie robić pompki na jednej ręce. Powiedział, że jeśli się tego nauczę, da mi dziesięć marek. Ćwiczyłem tak długo, aż się nauczyłem.

Jeden z moich przyjaciół został nawet mistrzem Europy w kick-boxingu. Był rok starszy ode mnie i nas - mnie i moich kumpli - napawało dumą, że nas trenuje. Potem jakiś czas chodziłem do związku bokserskiego i odbyłem kilka walk. Byłem dobry, ale cały czas myślałem o czymś innym.

Najważniejszą sprawą po sporcie było dla nas centrum młodzieżowe na dworcu Hemelingen. Przez cały czas myślałem głównie o tym, na których dyskotekach pojawiają się najładniejsze dziewczyny. Niemieckie dziewczęta nie traktowały nas gorzej z tego powodu, że byliśmy cudzoziemcami. Miałem też przyjaciółki Turczynki, ale tu szybciej mogły pojawić się problemy. Dziewczyna z tureckiej rodziny nie mogła mieć przed ślubem chłopaka, o współżyciu nawet nie wspominając. Tymczasem dla mnie Koran to było jedno, a to, co ja sam uważałem za słuszne, zupełnie coś innego.

Gdy skończyłem szesnaście lat, boks całkiem przestał mnie interesować. Odkryłem sporty siłowe. W domu miałem już hantle; trenowałem przed śniadaniem, a po południu szedłem na siłownię. Mając siedemnaście lat, potrafiłem podnieść na wyciągniętych rękach sto pięćdziesiąt kilogramów. Brałem ciężary na długiej sztandze ze stojaka i po prostu je podnosiłem. Było to mniej więcej dwa razy tyle, ile sam ważyłem.

Gdyby ktoś mi wtedy powiedział: chłopcze, jesteś w tym dobry, idź na zawody, to pewnie daleko bym zaszedł. Ale to mnie nie interesowało. Chciałem wyćwiczyć sobie triceps i ramiona, dobrze wyglądać, być silny i

muskularny. Nosilem stale trzydniowy zarost i nieco przybralem na wadze. Jak na takiego mlodego chlopaka bylem stosunkowo silny. Majac czternaście lat, stawalem juz przed sadem za pobicie mezczyzny ponadtrzydziestoletniego. Takie rzeczy sie zdarzaly.

Bylimy wlasnie na torach gokartowych. Wiecezosc moich kumpli miala juz po szesnaście, siedemnaście lat. Niektórzy z nas jeździli, inni tylko sie przygladali. Na torze zachowywalismy sie jak wariaci i kilka razy zderzalismy sie ze soba. Chcielismy sie zabawic, ale niczego nie uszkodzilismy. Obok toru byla szklana przegroda, za ktora mozna bylo przy ladzie kupic bilety. Gdy skonczyla sie runda, inna grupa moich kolegow chciala sobie pojezdzic. Kobieta za lada powiedziala jednak, ze nie bylimy grzeczni, ze szef nas obserwowal i nie pozwolil sprzedac nam kolejnych biletow. Obiecalismy, ze bedziemy sie dobrze zachowywac, a ona z usmiechem podala nam wejsciowki.

Przy tej samej ladzie siedzial wielki, dwumetrowy moze mezczyzna. Zdjal okulary, skrzyzowal wysoko rece i ruszyl na moich kolegow. Byl bardzo silny. Chwycil rownoczesnie dwie glowy i uderzal nimi o szklana tafle. Koledzy probowali sie broniec, ale nie mieli zadnych szans. Wtedy rzucilismy sie wszyscy, aby powalic go na podloge. Wszyscy, nawet moj przyjaciel, mistrz Europy. Mezczyzna scisnal nas jednak razem i odrzucil od siebie. Wtedy ja chwycilem stolek barowy i trzasnalem nim gościa w plecy. Odwrócił się i za drugim razem trafilem go stolkiem w twarz. W sadzie mówili, ze mial złamaną zuchwę.

O tym zdarzeniu bylo glosno w Hemelingen. Gdy dwa lata pozniej zaczalem chodzic na silownie, pamietano tam jeszcze moj wyczyn. W krótkim czasie zdobyłem wiele mozliwosci dorywczej pracy. Pracowalem w

Bremie i okolicznych wioskach jako ochroniarz i bramkarz na koncertach, imprezach i dyskotekach. Mając szesnaście lat, bardzo dobrze zarabiałem. Było to jednak związane z pewnym ryzykiem. Moim zadaniem było zapobieganie bijatykom, a to wymagało umiejętności i siły: musiałem umieć rozdzielić dwóch silnych mężczyzn, a w razie potrzeby także wyrzucić ich na zewnątrz. Ponieważ byłem także bramkarzem w tureckich dyskotekach, musiałem brać pod uwagę, że ktoś wyciągnie nóż lub wróci z bronią. Miałem za parę-set marek wystawiać na niebezpieczeństwo własne życie? Ale wszystko układało się dobrze i nie miałem żadnych problemów.

Zacząłem nosić markowe ciuchy. Za niewielkie pieniądze kupowałem w naszej dzielnicy kurtki Bossa i dobre buty. Ciągle coś kupowałem, a inne rzeczy sprzedawałem. Kurtki, konsole do gier, komórki - sprzedawaliśmy je wszyscy, żeby kupić najnowsze, najmodniejsze modele. Mogłem sobie na to wszystko pozwolić, bo jak na swój wiek zarabiałem naprawdę sporo pieniędzy. Starłem się dobrze wyglądać. Wuj Ekram był ze mnie dumny.

W tym czasie za sprawą mojego psa poznałem Selcuka. Sel-cuk mieszkał przy mojej ulicy z przyjaciółką, Niemką. Któregoś wieczoru szedłem na spacer z moim rottweilerem

Apollem, a on zagadnął mnie z balkonu. Chciał się dowiedzieć, jakie warunki należy zapewnić psu hodowanemu w domu. Dużo na ten temat czytałem i interesowałem się tym ze względu na swojego psa. Potem spytał mnie, gdzie ćwiczę. Był ode mnie osiem lat starszy, więc byłem dumny, gdy powiedział, że chciałby ćwiczyć razem ze mną. Kilka dni później spotkałem go ze szczeniakiem pod pachą: był to turecki pies pasterski.

Dobrze się to wszystko składało: mieszkaliśmy przy tej samej ulicy, uprawialiśmy ten sam sport, razem spacerowaliśmy z psami nad Wezerą i

chodziliśmy na te same dyskoteki. W tamtym okresie Selcuk był tak samo mało religijny jak ja. I obaj mniej więcej w tym samym czasie odkryliśmy potrzebę zgłębiania naszej wiary. Ja skończyłem wówczas osiemnaście lat i uczyłem się w szkole budowy okrętów.

Potem, jesienią, nastał ramadan. Nie widywałem Selcu-ka przez dwa tygodnie. Jak wszyscy, pościłem w ciągu dnia, a przez kilka dni także się nie goliłem. Selcuk zadzwonił kiedyś do naszych drzwi. Gdy mnie zobaczył, zaczął się śmiać.

- A cóż to się z tobą stało? Wybierasz się na *hadż* [pielgrzymkę] do Mekki?

Po prostu wyśmiewał się ze mnie. Początkowo nie miałem pojęcia, co ma na myśli.

- Wyglądasz jak pielgrzym!

Pośmialiśmy się i poszedł.

Ja jednak zacząłem się zastanawiać. Czyż nie było częścią islamu, częścią naszej tradycji to, że mężczyzna zapuszcza brodę? Post nie jest przecież jedyną *rzeczą*, która łączy nas, muzułmanów. Nasz prorok Mahomet również nosił brodę. I to miało być takie śmieszne? Nie goliłem się aż do końca ramadanu.

Raptem zaczęli zatrzymywać mnie różni Turcy i dopytywać, dlaczego zapuszczam brodę. Domagali się, żebym ją zgolił. Odpowiadałem, że jestem muzułmaninem i że to jest część naszej wiary. Właściwie to wiele więcej nie wiedziałem. Gdy jednak zacząłem interesować się islamem, te kwestie coraz bardziej mnie wciągały. Czym właściwie była nasza wiara? O co w niej chodziło?

Kupiłem książki o islamie, ale niewiele z nich rozumiałem. Poszedłem do

naszego meczetu w Hemelingen, do którego czasami chodziłem w piątki z ojcem. Był to meczet Kuba. Ale i tam niewiele rozumiałem z rytuałów i arabskich modlitw.

W ten sposób zacząłem zajmować się religią. Zainspirowały mnie kpiny Selcuka z mojej brody. Równocześnie obserwowałem jednak, jak powoli zmieniają się moi przyjaciele z Hemelingen. Na przykład Faruk i Ilias.

Faruka znałem od dzieciństwa. Często bawiliśmy się razem nad Wezerą, czasami się biliśmy. Jego rodzice byli rozwiedzeni. Gdy jego matka ponownie wyszła za mąż, za człowieka, który nie chciał wychowywać Faruka, wysłała go do babci, do Turcji. Po dwóch latach Faruk wrócił. Stał się brutalny i wszelkie problemy chciał rozwiązywać siłą. Matka wyrzuciła go z domu. Początkowo mieszkał w poprawczaku, później w ośrodku terapeutycznym razem z innymi chłopakami. Gdy mieliśmy po szesnaście lat, pokochał pieniądze. Kradł i często otrzymywał za to wyroki. Było mi go szkoda. Często widywałem go w dyskotekach, ale nikt go już wtedy nie lubił. Stał się przestępcą, zażywał narkotyki. Gdy go czasami spotykałem, miałem wrażenie, że pograża się w tych narkotykach, taki był nieobecny.

Ilias także się uzależnił. On z kolei wychowywał się u matki w Turcji, podczas gdy ojciec pracował w Bremie i tu ożenił się z Niemką. W wieku dwunastu lat Ilias przyjechał do Bremy i zamieszkał z tatą, z tą kobietą i dwojgiem ich niemieckich dzieci. Nie nawiązał jednak porozumienia

z ojcem. Kiedy sprzeczał się z niemieckim rodzeństwem, jego tata zawsze brał stronę tamtych. W końcu Ilias wylądował w poprawczaku, a tam po prostu tak jest. Wielu znanych mi chłopaków stoczyło się w takich zakładach zupełnie. Gdy Ilias opuścił poprawczak, opowiadał mi, że zna

ludzi, którzy na narkotykach bardzo łatwo dorabiają się dużych pieniędzy. Powiedziałem mu: daleko na tym nie zajdziesz. I tak było. Kiedy po raz kolejny wyszedł z pudła, widziałem go na dworcu: był napakowany drągami. Został zatrzymany i odesłany do Turcji. W ten sposób straciłem kilku przyjaciół: najpierw wchodzili w konflikt z prawem, potem zabierali się za narkotyki, a w końcu deportowano ich do Turcji.

Nie miało to nic wspólnego z tym, że byliśmy cudzoziemcami. Każdy z nas potrzebuje miłości, czy jest twardy, czy nie - tak nas po prostu stworzył Allah. Jeśli ktoś nie dostaje miłości, to może się w nim obudzić nienawiść i wtedy staje się brutalny, ponieważ nie czuje do ludzi nic innego, myślałem. Jeśli szczeniaka zbyt wcześnie zabierze się od matki, może być trudny do ułożenia. Istniały też oczywiście przypadki, kiedy obcokrajowcy byli źle traktowani w szkole albo przez policję, co mogło wywoływać ostry sprzeciw. Ja także na własnej skórze odczułem, że jestem cudzoziemcem. Kiedyś w oddziale policji dla cudzoziemców przez pół dnia czekałem na zimnie przed budynkiem, żeby załatwić jakąś zupełnie prostą sprawę, po czym odesłali mnie z kwitkiem. Przyjdź jutro - mówili mi „ty”. Pomyślałem sobie wtedy: gdybym był Niemcem, nie potraktowalibyście mnie w ten sposób.

Nie odczuwałem tego do tej pory, ponieważ nie miałem z nimi do czynienia tak często, jak inni Turcy. No i nie rzucałem się tak bardzo w oczy: jako dziecko miałem jasne włosy i jasną cerę. Poza tym miałem kochającą matkę i dobrego ojca. Faruk i Ilias natomiast w ogóle rodzin nie mieli. Czyż jednak nie stworzył nas Allah po to, byśmy mieli i rodzinę, i miłość?

Odsunąłem się od swojego środowiska. Z czasem coraz więcej w nim

było pożądlności, oszustw - nawet między przyjaciółmi. Gdy pojawiły się telefony komórkowe, gry komputerowe i laptopy, wszyscy chcieli mieć tylko coraz więcej pieniędzy, żeby zawsze móc sobie kupować najnowsze modele. Nie było ważne, z jakiego źródła te pieniądze pochodziły. Jako ochroniarz otrzymywałem wiele propozycji rozprowadzania narkotyków, ale nigdy nie chciałem tego robić. Ktoś przecież musiał te narkotyki zażywać, a ten ktoś miał matkę i ojca, którzy się o niego martwili. Islam - tyle już wiedziałem - zabraniał wszystkiego, co złe i niszczące. Alkoholu i narkotyków, kłamstwa, kradzieży i wiaro-łomstwa.

Zimą zacząłem coraz częściej bywać w meczecie Kuba. Na piątkowe modły szedłem do meczetu Abu-Bakra na Dworcu Głównym. Meczet ten nazwany został na cześć teścia Proroka. Chodziłem tam, bo było mi po drodze ze szkoły. Modlili się w nim także Arabowie i kolorowi muzułmanie. Modlitwy z Koranu odmawiane tam były zawsze po arab-sku, podobnie jak w Hemelingen, więc ich nie rozumiałem. Pewnego razu w meczecie Kuba pojawiła się grupa muzułmanów nazywających siebie Jama'at al-Tablighi. Mówili, że są jednym z największych ugrupowań islamskich. Było ich pięciu - dwóch Turków i trzech muzułmanów niemieckich. Po modlitwie zacząłem z nimi rozmawiać. Niemieccy muzułmanie? Byłem zafascynowany i zawstydzony jednocześnie: wiedzieli o islamie znacznie więcej ode mnie, ja nie znałem nawet porządnie pięciu modlitw, które powinienem codziennie odmawiać. Spotykałem ich w meczecie Abu-Bakra coraz częściej; trwało to kilka miesięcy. Jeden z nich uczęszczał do centrum Mansura w Lahore. Często o tym mówili, więc wypytałem ich o tę szkołę. Wyjaśnili mi, że tablighowie pochodzą z Pakistanu. Jeśli chce się iść na pielgrzymkę (*hadż*), mówili, idzie się do Mekki. Jeśli natomiast chce się

dowiedzieć czegoś o islamie, należy udać się do Lahore. Czytałem
0 tablighach w Internecie. Pewnego dnia powiedzieli: chodź
z nami!

Chcieli mi pokazać, czym się zajmują. Odwiedzali uzależnionych i bezdomnych na dworcu i w mieście, oferując im pomoc. Odwiedzaliśmy ludzi, którzy mieli za sobą kryminalną przeszłość albo straszne nałogi, a teraz dzięki tablighom znaleźli pracę i założyli rodziny. Byli to i Turcy, i Niemcy. Tablighowie zbierali ich z ulicy i pomagali zacząć wszystko od nowa. Podobało mi się takie praktykowanie islamu.

Wbiłem sobie do głowy, że chciałbym uczyć się w tym centrum w Lahore, jeszcze zanim się ożenię. Mogłem sobie wyszukać jakąś szkołę koraniczną w Turcji albo w Arabii Saudyjskiej, ale Turcję już znałem, a Pakistan mnie zainteresował. O tej zaś szkole słyszałem same dobre rzeczy; poza tym ważne było, że w Pakistanie nie wydałbym zbyt wiele. A języka, myślałem, jakoś się nauczę.

Tymczasem Selcuk przeprowadził się do Sebaldsbrtick. Rozstał się z dotychczasową przyjaciółką, Niemką, i ożenił z turecką dziewczyną. Teraz on też nosił brodę. Nieraz spotykaliśmy się w meczecie Kuba i modliliśmy wspólnie. Znowu się zgadzaliśmy: Selcuk również pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o islamie. On także poznał tablighów, chodził do meczetów znacznie częściej niż ja, a ja opowiadałem mu z zachwytem o szkole w Pakistanie. Selcuk tylko słuchał.

Latem opowiedziałem mu o swoich małżeńskich planach
1 o tym, że być może znalazłem już właściwą kobietę. Gdy wróciłem z Turcji, oznajmiłem mu, że jestem zdecydowany jechać do Pakistanu.

-Jeśli wszystko dobrze pójdzie, pojedę z tobą - powiedział.

Nie spieszyło mu się jednak najwyraźniej.

-Jeśli chcesz jechać ze mną, to już, teraz! Chcę to załatwić od razu. Moja żona przyjedzie do Hemelingen w grudniu i wtedy muszę być z powrotem w domu.

Selcuk się ociągał.

-Jeśli już, to tylko teraz. Albo pojedę sam.

- No dobrze, zgoda.

Ustaliliśmy, że nikomu o tym nie będziemy opowiadać. Jediną osobą, z którą o tym rozmawialiśmy, był Ali. Alego poznałem w meczecie Abu-Bakra. Miał wtedy jakieś trzydzieści pięć lat i znał Selcuka. Zawsze był w meczecie, gdy my tam zachodziliśmy. Jeszcze zanim nadeszło lato, mówiłem mu, że chcę poszukać jakiejś *multezimy* i ożenić się z nią. Ali opowiedział mi o samej ceremonii zaślubin i o wszystkim, co powinienem wiedzieć. Później bardzo się cieszył, że ożeniłem się z Fatimą. Rozmawiałem z nim również o tablighach i o naszych planach wyjazdowych. Początkowo Ali milczał. Kilka dni później wziął mnie jednak na stronę i powiedział:

-Jeśli miałbym udzielić ci rady, powiedziałbym: nie jedź.

Powtórzył to kilkakrotnie.

- Nie mówię wam, co macie robić, ale odradzam ten wyjazd.

Gdy mu wyjaśniłem, że nie widzę problemu w podróżowaniu i nie dostrzegam żadnego zagrożenia, wzruszył ramionami:

- Pewnie wiecie, co robicie.

Wtedy nastąpiły ataki na World Trade Center w Nowym Jorku i na Pentagon w Waszyngtonie. Byłem tego dnia w szkole. W drodze do domu spotkałem

przyjaciela, od którego dowiedziałem się, że w Stanach doszło do katastrofy samolotu. To przecież nic nadzwyczajnego, odparłem, dlaczego mi o tym mówisz? Gdy przyszedłem do domu, matka zawołała mnie do salonu: chodź szybko, w Ameryce jest trzęsienie ziemi!

Wtedy zobaczyłem walące się wieże. Gdy oglądałem to na powtórkach, widziałem, że nie był to żaden wypadek. Ogromnie mi było żal ludzi, którzy tam wtedy zginęli. Mama obudziła nawet ojca, choć było dopiero popołudnie. Siedziałem przed telewizorem jak przykuty.

Kilka dni później rozniosła się wiadomość, że za zamachy odpowiedzialna jest grupa terrorystów, którym przewodzi Osama bin Laden, ukrywający się gdzieś w górach w Afganistanie. Nie myślałem, że w Afganistanie dojdzie do wojny, mój ojciec też w to nie wierzył. Przecież chcieli tylko ująć Osamę i jego ludzi. A potem usłyszałem w wiadomościach o amerykańskich przygotowaniach do inwazji. Nadal myślałem jednak, że atak ograniczy się do obszaru, na którym ukrywa się bin Laden, albo że Afgańczycy wydadzą go po prostu Amerykanom. Jakoś się to przecież ułoży.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że będzie wojna. A nawet gdyby? To przecież wojna między Afganistanem a Ameryką. Ja miałem jechać do Pakistanu. A co ma Pakistan wspólnego z Afganistanem? To przecież inny kraj. Nie widziałem powodu, żeby zrezygnować z planów wyjazdowych.

W piątek udałem się na modlitwę do tureckiego meczetu. Imam mówił o zamachach: że coś takiego nie może się więcej zdarzyć. Wkrótce potem zadzwoniliśmy z Selcu-kim do konsulatu pakistańskiego w Berlinie i zapytaliśmy o możliwość wjazdu do Pakistanu. Ustaliliśmy termin złożenia wniosków o wizę. Następnie pojechaliśmy samochodem do Berlina. W

konsulacie zostawiliśmy paszporty, które dwa tygodnie później odesłano nam pocztą razem z wbitymi wizami.

Rodzicom o swoich zamiarach nic nie mówiłem. Zdenerwowaliby się tylko i próbowali odwieść mnie od wyjazdu. Nasza tradycja nakazuje, by dziecko nie sprzeciwiało się woli rodziców. Zgodnie z naszą wiarą należy im okazywać szacunek. Nie mogłem więc o niczym powiedzieć mamie: nie pozwoliłaby mi jechać. Postanowiłem, że zadzwonię do niej z lotniska.

Podjąłem pieniądze z banku. Pojechaliśmy z Selcukiem kupić bilety. Jedyne biuro podróży, jakie znaleźliśmy, znajdowało się w centrum handlowym Hansa-Carre. Bywali tam też moi rodzice, mama nieraz umawiała się tam z przyjaciółkami. Nasi krewni również chadzali tam na kawę czy zakupy. Gdyby ktoś z nich zobaczył, że wchodzę lub wychodzę z biura podróży, z pewnością nie uniknąłbym pytań. Dałem Selcu-kowi pieniądze na bilet - tysiąc sto marek - a sam czekałem na niego w herbaciarni kilka ulic dalej.

Zadzwoniłem jeszcze do Alego. Znów próbował wybić mi z głowy ten wyjazd, ale bezskutecznie. Miałem już w kieszeni bilet w obie strony i ani myślałem zmieniać plany. Na kilka dni przed odlotem sprzedałem komórkę. Było to zupełnie naturalne: sprzedawaliśmy telefony co miesiąc lub dwa, żeby zawsze mieć najnowszy model. To akurat była używana Nokia na kartę bez roamingu, w Pakistanie byłaby bezużyteczna. Poza tym te pieniądze przydały mi się na coś innego. Po powrocie miałem sobie kupić nową komórkę.

Umówiliśmy się z Selcukiem, że wyjedziemy nocą. Im bliżej było do wyjazdu, tym bardziej byłem podenerwowany. Miałem wyrzuty sumienia wobec rodziców. Tak bardzo chciałem się z nimi pożegnać, a nie mogłem.

Potem wpadłem na pomysł, że przynajmniej obejmę mamę, i

obmyśliłem cały plan. Wiedziałem, że ona, ojciec i mój brat Ali jadą w odwiedziny do krewnych w Sebalds-bruck, ale z pewnością wrócą do domu przed północą.

- Mamo, bolą mnie plecy...

-Jest już późno. Jutro zrobię ci masaż - odpowiedziała.

- *Salam alejkum* - powiedziałem.

-*Alejkum salam* - odrzekła.

Oddaliśmy już bagaże w okienku i poszliśmy do kontroli paszportowej. Podaliśmy swój turecki paszport z wizą. Urzędnik zeskanował dokument i za chwilę kiwnął ręką, że mam iść dalej. Selcuka nie przepuścił. Gdy sprawdził jego paszport w komputerze, oznajmił:

- Pan nie może wyjechać. Musi pan jeszcze zapłacić karę.

-Jaką karę?

- Pieniężną. Za uszkodzenie ciała - powiedział pogranicznik. -Jeśli chce pan wylecieć, musi pan ją zapłacić tutaj.

Byłem już w poczekalni i słyszałem, jak Selcuk próbuje wyjaśnić tę sprawę z urzędnikiem. Powiedział, że chce zadzwonić do swojego adwokata.

- W porządku - rzekł pogranicznik. - Proszę ze mną.

Inny urzędnik spytał, czy w takim razie chcę lecieć do Pakistanu tym samolotem, czy nie. Autobus, który miał dowieźć pasażerów do samolotu, czekał już tylko na nas; poza nami wszyscy już w nim byli. Wywołano nasze nazwiska, mieliśmy podejść do check-in. Selcuk nie miał już żadnych szans.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

-Zadzwoń do brata, on zapłaci za mnie tę karę, jeśli nic innego nie da się wymyślić - powiedział Selcuk.

-Okej.

- Polecę następnym samolotem, spotkamy się na lotnisku w Karaczi. Czekać na mnie - powiedział.
 - Okej - odpowiedziałem. - Będę czekał.
- Selcuk poszedł za urzędnikiem, a ja udałem się do autobusu.

Nigdy więcej nie zobaczyłem Selcuka.

zatoka Guantanamo, obóz X-Ray

-AliMiri?

- Tak! Ali Miri. Kto to jest Ali Miri?
- Mój przyjaciel z Bremy...
- Co o nim wiesz?
- Niewiele. Jest miły. Żonaty, ma dzieci...
- Gdzie go poznałeś?
- W meczecie...
- W którym meczecie?
- Na Dworcu Głównym. Byłem tam w piątek po szkole...
- Czy to meczet Abu-Bakra?

- Tak, tak się nazywa!
- Gdzie on pracuje?
- Myślę, że żyje z zasiłku.

Amerykanin mówiący po niemiecku zdawał się być zniecierpliwiony. Dużo palił i bawił się nerwowo długopisem z kamerą. Podczas przesłuchania nie wolno mi już było siedzieć na krześle. Kaidanki na rękach i łańcuchy na nogach przypięte były do uchwyty w podłodze. Musiałem albo klęczeć, albo stać pochylony. Kiedy klęczałem, mogłem wprawdzie nieco rozprostować plecy, ale za to okropnie bolały mnie kolana. Kiedy stałem zgarbiony, to znowu cała krew spływała mi do nóg i sztywniał mi kark, bo przez cały czas musiałem patrzeć na Amerykanina. Ale co mogłem zrobić? Miałem mu powiedzieć, że chcę już iść do domu?

Przesłuchanie trwało kilka godzin. Byłem wygłodzony i spragniony, a poza tym pociełem się tak bardzo, jakbym przebiegł wiele kilometrów. Bolało mnie każde włókno ciała. Amerykanin zadawał mi wciąż te same pytania. Już od dawna nie opowiadał zabawnych historyjek. Traktował mnie jak terrorystę: nakazywał, wrzeszczał, obrzucał wyzwiskami. Pytał o przyjaciół i kolegów z klasy, podawał nazwiska i numery telefonów. Nawet nazwisko mojego trenera z siłowni. Teraz nagle wyskoczył z Alim. Byłem zaskoczony.

- Ali Miri był waszym imamem! - powiedział Amerykanin. - Zastępcą imama w meczecie Abu-Bakra!
- Imamem? Nie, nie był imamem. Wiem, że uczył dzieci. Widziałem, że modlił się jak wszyscy w meczecie, ale modły prowadził ktoś inny.
- Był tajnym imamem! Waszym przywódcą!

- Nie był żadnym przywódcą.
- To on was podżegał, żebyście zostali bojownikami!
- Nie.
- Przyznaj, że to on uczynił z was talibów!
- Nie, był tylko moim przyjacielem.
- Dzwonił do ciebie przed odlotem aż dziewięć razy. Co mówił?
- Dziewięć razy? Nic o tym nie wiem.
- Nie kłam!
- Możliwe, że do mnie dzwonił. Chciał mnie powstrzymać przed wyjazdem do Pakistanu...

Ali dzwonił do mnie dziewięć razy? Przed moim odlotem rozmawialiśmy raz, dwa, ale miałem wrażenie, że to ja do niego dzwoniłem. Czy naprawdę próbował się ze mną skontaktować, gdy byłem już w drodze?

- Dzwoniłeś do Alego Miri z Pakistanu!
- Nie, do nikogo z Pakistanu nie dzwoniłem. Nie, nie - dzwoniłem do żony Selcuka, bo chciałem wiedzieć, czy jeszcze przyjedzie. Ale ona odkładała słuchawkę. Dwa razy...
- Jakim samochodem jeździ Ali Miri?
- Jakim samochodem? Jakimś kombi. Jakimś takim dużym kombi.
- Marka?
- Nie wiem. Duże kombi.

- Kolor?

- Jasne. Jasnoszare, coś takiego...

- Czy wygłaszał mowy przeciwko Ameryce? Podzegał was?

- Pierwsze słyszę. O takich sprawach nigdy nie mówił.

Amerykanin wstał i wyciągnął z teczki zdjęcia. Pokazał mi je. Były to fotografie Alego Miri. Ktoś musiał zrobić je na ulicy w Bremie. Skąd miał te zdjęcia? I skąd mógł wiedzieć, że Ali próbował się do mnie dodzwonić?

- Czy to jest Ali Miri?

- Tak, to on. Co takiego zrobił?

- Nie twoja sprawa.

Pokazał mi zdjęcia Alego z czasów, gdy jeszcze nie nosił brody. Nie mogłem stwierdzić zupełnie jednoznacznie, że to on. Ale przytaknąłem, żeby przyznać oficerowi rację. Następnie Amerykanin powiedział, że mój bilet został opłacony przez terrorystów.

- Mój bilet lotniczy? Sam za niego zapłaciłem. Wziąłem pieniądze z banku i zapłaciłem nimi za bilet. To już pan przecież wie.

- Nie. Zapłacono za niego kartą EC należącą do ojca pewnego Tunezyjczyka, Sofyena Ben Amora. To też był twój przyjaciel!

- Nie znam. Kto?

- Sofyen Ben Amor!

- Znałem dwie Sufyeny w Bremie. Może jeśli pokaże mi

pan zdjęcie, będę mógł rozpoznać.

- Sofyen Ben Amor miał kontakty z terrorystami z Hamburga!

- Nic o tym nie wiem...

- Nie kłam! To on zapłacił za twój bilet! W biurze podróży, które się nazywa Go-Reisen!

- Za mój bilet płacił Selcuk!

Powiedziałem Amerykaninowi, dlaczego nie poszedłem z Selcukiem do biura podróży. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jakiś Tunezyjczyk miałby zapłacić za mój bilet. Sam poszedłem z Seluckiem do centrum Hansa-Carre i czekałem na niego w pobliżu, w kawiarni. Gdy Selcuk wrócił, nikt mu nie towarzyszył. Nie oddał mi też pieniędzy. Dlaczego miałby je zatrzymać? Nigdy nie było mowy o żadnym Tunezyjczyku, ale przecież nie znałem wszystkich krewnych i znajomych Selcuka. Nie opowiadał mi też, żeby kogoś spotkał podczas kupowania biletów. A gdyby nawet, to dlaczego jakiś typ miałby płacić za mój bilet? Nie potrafiłem nadać temu sensu. Czy ten Amerykanin wszystko zmyślał? Ale skąd znał tak wiele szczegółów z mojego życia?

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Zauważyłem jednak, że przesłuchujący kręci dla mnie stryczek. I dopiero teraz, wiele miesięcy po tym, jak w Kandaharze po raz pierwszy pytali mnie o moją komórkę, o konto bankowe i o Selcuka, stało się dla mnie jasne, że od samego początku wiedzieli o mnie wszystko, i nie interesowało ich, że nigdy nie byłem w Afganistanie i że jestem niewinny. Nie miałem żadnych szans. Wtedy to zrozumiałem.

Co robi się przez cały dzień w klatce? Ja siedziałem. Trochę po turecku, trochę z wyciągniętymi nogami. Oczekiwałem na posiłek. Modliłem się, gdy nadeszła pora modlitwy. Czekałem, siedziałem. Nogi podciągnięte, nogi wyprostowane. Gdy sądziłem, że strażnicy nie patrzą, na krótko wstawałem i rozprostowywałem nogi. Albo próbowałem rozmawiać z innymi więźniami. Czasami robiłem kilka pompek. Wcześniej mogłem zrobić ponad sto. Teraz miałem problem, żeby się w ogóle utrzymać na rękach. I tak zresztą nie mógłbym zrobić więcej niż pięć pompek, bo zauważyliby to niechybnie strażnicy i nasłali na mnie IRF.

Oceniłem, że ubyło mi około dwudziestu kilogramów. Co kilka tygodni zmieniali nam bieliznę. Pasowały na mnie rozmiary S i M, podczas gdy wcześniej nosiłem XXL. Jakiś więzień stracił na wadze tyle, że zostały z niego właściwie skóra i kości - mógł ważyć poniżej czterdziestu kilogramów. Widziałem go z pewnej odległości i przypomniałem sobie, że spotkałem go już kiedyś w Kandaharze. Wówczas jeszcze wyglądał lepiej. *Zawsze* gdy na niego spoglądałem, widziałem, że siedzi. Nigdy nie wstawał. Pomyślałem, że może nie ma siły stać. Czasami w takiej klatce człowiekowi przychodzi do głowy głupie myśli.

Zacząłem pruć brzeg koca i wkrótce trzymałem w ręku nitkę pięciometrowej długości. Czasami otrzymywaliśmy jeszcze jakieś emarie, z których zachowałem jedno opakowanie po krakersach. Wypełniłem je błotem i żwirem, a następnie związałem sznurkiem z koca. Rzuciłem zawiniątko kilka metrów od siebie, na przejście, trzymając w ręku drugi koniec sznurka, który na ziemi był niemal niewidoczny. Czekałem, aż przyjdzie Chen.

- Chen, czy możesz mi pomóc?

- O co chodzi?
- Mój sąsiad rzucił mi krakersy, ale upadły w przejściu.

- To jest niezgodne z przepisami! Nie można! Gdzie one są?

- Tam, po drugiej stronie, widzisz?

Chen chciał podnieść zawiniątko, by je wyrzucić. Pociągnąłem za sznurek.

- O mój Boże! - zawołał Chen. Pobiegnął za opakowaniem, a ja znów pociągnąłem za sznurek.

- Co się dzieje?

Przyciągnąłem opakowanie do swojej klatki. Chen w dalszym ciągu nie dostrzegał nitki. Zaczął się bać. Pobiegł do pozostałych strażników i naopowiadał im niestworzonych rzeczy. Wszyscy więźniowie, którzy nas obserwowali, śmiali się. Gdy przyszli inni wartownicy, pokazałem im sznurek. Śmiali się, ale powiedzieli, że muszą mnie ukarać. Przyszedł IRF, a potem zabrali mi koc i materac. Oddali dopiero po dwóch dniach.

Dlaczego to robiłem?

Chen źle się z nami obchodził. Pomstował na nas, robił sobie z nas żarty i uderzał w drzwi, kiedy się modliliśmy. Był po prostu głupi. Ale nie tak okropny jak Philips, który tłukł po rękach Abdula, gdy ten próbował podciągnąć się na wiadro. Philips był łysym mężczyzną o czerwonej twarzy, a jego oczy błyszczały nienaturalnie, jakby był pod wpływem narkotyków. Próbował udawać twardziela. Na jego czarnej liście figurował przede wszystkim Isa, który przez cały czas szczyrzył zęby i kpił sobie ze strażników. Częściej niż do innych więźniów przychodził teraz do niego IRF - a Isa bronił się za każdym razem. Zdarzało mu się przewrócić jednego z

żołnierzy na ziemię lub trafić pięścią w zasłone hełmu.

To zdumiewające, ale można w pewnym momencie zobojeźnić nawet na uderzenia. Kary w obozie X-Ray wymierzał przede wszystkim IRF - bijąc. W tamtym czasie nie było jeszcze izolatek, były dopiero budowane. Innym rodzajem kary było nakładanie nam na ręce i nogi kajdanek, połączonych łańcuchem. Robili to zawsze po wizycie IRF-u i po biciu. Nie można było wtedy poruszać rękami, były przyciśnięte do ciała. Musieliśmy tak siedzieć; zabierali nam także koc i cienutki materac. Zazwyczaj upływało kilka dni, zanim nas rozkuli.

Nie udało mi się zrozumieć, według jakiego systemu układają się te kary. Wiedziałem, że zostanę poturbowany przez IRF, gdy pozwoliłem sobie na ten głupi żart z Chenem. Nie mogli pozostawić tego ot tak, bez kary. IRF przychodził wielokrotnie, gdy któryś ze strażników zaobserwował, że karmię okruszkami iguanę albo ptaka. To też mogłem jeszcze zrozumieć. No i naturalnie IRF przychodził, kiedy strażnik przyłapał mnie na robieniu pompek.

Najczęściej jednak po prostu nie wiedziałem, za co spotyka mnie kara. Zawsze znajdowali jakiś pretekst: na przykład taki, że niby próbowałem schować koc, choć nie dotykałem go przez cały dzień. W jakim celu miałbym go zresztą ukrywać? I przede wszystkim: gdzie? Pod materacem? Albo że celowo zabrudziłem koszulę - choć moja koszula była zupełnie czysta. Czasami pałkarze przychodzili bez żadnego powodu: mogło to być w środku nocy, po południu albo podczas śniadania.

Pojąłem wtedy, że samo karanie było systemem, od którego nie było ucieczki. System polegał na ciągłym upokarzaniu. Jak w przypadku prysznicza: żołnierz obsługujący zawór z wodą za każdym razem wpadał na

jakiś nowy pomysł. Choćbym nie wiem jak spieszył się z namydlaniem, woda i tak przestawała lecieć, gdy byłem jeszcze cały pokryty pianą. Kiedyś przyszedłem do kąpieli i zobaczyłem, że woda już leci, choć żołnierz dopiero otwierał mi drzwi pod prysznic. Gdy wszedłem do środka, zawór został zakręcony.

- Twój czas minął - oznajmił.

Nie spadła na mnie wtedy ani jedna kropla. Rozwścieczyło mnie to okropnie i najchętniej biłbym na oślep wszystkich wokół.

Opanowałem się jednak, bo właśnie o to im chodziło. Czasami całymi tygodniami nie chodziłem pod prysznic. Nie mieliśmy przecież zagwarantowanego prawa do kąpieli.

W Charly-Charly-4 miałem teraz nowego sąsiada, co było miłym zaskoczeniem. *Escort-team* wepchnął go do pustej klatki, w której dotychczas leżał pośrodku tylko martwy karaluch, który z każdym dniem coraz bardziej się psuł. Moim nowym sąsiadem był Salah, człowiek z Omanu, którego poznałem w celi w Pakistanie. Był tu także Kemal, który dzielił z nami tę celę, ale on siedział w Charly-Alpha i mogłem z nim wymieniać tylko znaki rękami. Zostali przewiezieni tego samego dnia. Salah włożył palce między oka siatki i przywitaliśmy się.

Ucieszyłem się, bo Salah był dla mnie jak starszy brat. Miał pięcioro dzieci i był człowiekiem nad wyraz spokojnym. Nie wiem, co studiował w Stanach. Niechętnie mówił o swojej rodzinie i o życiu przed przyjazdem do Guantanamo. W więzieniu roztropniej było za wiele o sobie nie opowiadać. Ale od niego zacząłem się uczyć angielskiego.

Od pewnego czasu na ogrodzeniu wisiało godło Guantanamo. Nie można go było przeoczyć: pięciokątny budynek, na nim czarna gwiazda, a za nim

ocean i daleki horyzont. W środku widać było zarysy Guantanamo. Nad tym wszystkim widniał napis: „Honor Bound to Defend Freedom”.

Spytałem Salaha, co to znaczy.

Honor zobowiązuje do obrony wolności?

Salah mógł mi też przetłumaczyć, o czym rozmawiali Arabowie. W ten sposób uzyskałem pierwsze od bardzo dawna wiadomości.

Ktoś rozmawiał z Czerwonym Krzyżem. Amerykanie mieli powiedzieć, jak twierdził ktoś z tej organizacji, że musimy pozostać w tym obozie na zawsze. Salah doprecyzował: Donald Rumsfeld uważa, że mogą nas trzymać w tych klatkach bez procesów i jak długo zechcą. To dopiero wiadomość! Salah stwierdził, że Rumsfeld jest tylko człowiekiem i że to, czy wrócimy do domów, czy nie, zależy wyłącznie od Allacha.

Allach jest z dobrymi ludźmi, a nie z Donaldem Rumsfeldem, więc nie powinienem się martwić.

Od Salaha nauczyłem się też pierwszych sur Koranu po arabsku. Na modlitwę wzywał teraz jakiś imam. Był to ciemnoskóry piętnastoletni chłopak, znający cały Koran na pamięć. Siedział daleko, ale jednak w naszej części obozu, i czasami widywałem go, gdy prowadzili mnie do kąpieli. Miał czysty, donośny głos. Czasami modlił się dłużej, czasami krócej, zależnie od tego, którą surę recytował.

Nieliczni więźniowie mieli w swoich klatkach angielskie wydania Koranu. Na cienkich nitkach zawieszali je na ogrodzeniu, gdyż święta księga nie mogła walać się w brudzie po ziemi. Wydań arabskich nie było, były zakazane. Żartowaliśmy sobie z tego: *maximum security!* W środku mogłyby być niebezpieczne treści. Też chciałbym mieć Koran, ale strażnicy nie pozwolili. Jeden z nich powiedział, że więcej nie mają. Inny pokazał

na któregoś z więźniów, który miał swój egzemplarz, i rzekł: „Zapytaj jego o to, co ci potrzebne!” Trzeci strażnik spytał: „Czy ja jestem muzułmaninem? Nie mam Koranu”. Gdy młody chłopak zwoływał nas na modlitwę, próbowałem powtarzać w myślach lub szeptem arabskie słowa.

Nagle rozlega się rozpaczliwy, przeciągły krzyk. Odwracam się. Jeszcze jeden krzyk, po nim trzeci, ale brzmią zupełnie inaczej niż krzyki bitych, przeciągające się i straszne jak śmiertelna skarga. Przez siatkę dostrzegam strażnika w klatce arabskiego więźnia. Już wiem, co się stało.

Codziennie nas przeszukują. Sprawdzają, czy nie ma czegoś w egzemplarzach Koranu. Strażnicy chwytają książkę za okładki i wytrząsają z niej wszystko. Ten żołnierz musiał rzucić Koran na ziemię, bo inaczej ów Arab nie wydawałby z siebie takich dźwięków. Zobaczyłem, że strażnik po czymś depcze.

Niektórzy z nas natychmiast wyskakują w górę. Rozlega się niesamowite wycie. Coraz więcej więźniów traci panowanie nad sobą. *Allahu akbar!* - krzyczą. *Don't do that!** - wrzeszczą. Ale strażnik nadal zapamiętałe tratuje leżący na ziemi Koran. Wygląda to tak, jakby w zoo uderzył piorun: jedni próbują sforsować drzwi, inni walą w nie, szarpia gołymi rękami za druty lub nawet je gryzą. Amerykanin zaczyna się bać. Zostawia Koran na ziemi i ucieka. Inni strażnicy też w popłochu opuszczają Charly. Biegną przejściami i kryją się za drugim ogrodzeniem.

Więźniowie stają się coraz bardziej nieobliczalni: krzyczą, wyją, rzucają się na siatkę i skaczą jak derwisze. Niektórzy turlają się po ziemi. Bunt rozszerza się na pozostałe bloki. Słyszę krzyki i nawoływania z Alphy i Foxtrotta. Wkrótce potem widzę hummery i ciężarówki. Żołnierze otaczają cały obóz. Mają na sobie kamizelki kuloodporne i trzymają ka-

rabiny maszynowe. Ustawiają ciężką broń na stanowiskach. Klękają albo kładą się na brzuchach.

Mierzą. Spoglądam w górę ku wieżom: snajperzy również w nas celują. Sytuacja jest groźna. W każdej chwili może dojść do masakry - niech tylko komuś uda się wydostać z klatki.

Isa! Co robi Isa? Nie rzuca się na drzwi klatki. Stoi z zaciśniętymi pięściami i szczyrzy zęby.

Omiata nas światło silnych reflektorów, przeznaczonych do poszukiwania zbiegów. Słyszę, że jeden z więźniów krzyczy coś po arabsku. Nie rozumiem, co woła, ale hałas milknie. Większość więźniów powoli się uspokaja i odchodzi od drzwi klatek. Pierwsi siadają spokojnie. Ja także siadam, bo to najlepsze, co można w tej sytuacji uczynić. Arab, którego Koran został zbezczeszczony, podnosi książkę z ziemi.

Znowu ktoś wykrzykuje słowa, których nie rozumiem. Mijają długie minuty, a żołnierze cały czas trzymają nas na muszce.

Potem pojawiają się IRF-y. Z dział rozpylają gaz we wszystkich blokach. Zamykam oczy i przyciskam dłonie do twarzy. Słyszę, jak biegną po żwirze: *Hurry! Hurry!*, otwieranie drzwi klatek, *Cet up! Hurry!*, brzęk łańcuchów, uderzenia, krzyki. Rozsuwam palce i widzę, jak Kemal w Charly-Alpha opróżnia wiadro na bijących jego sąsiada żołnierzy. W odpowiedzi Amerykanie zostawiają bitego i wpadają do klatki Kemala. Gdy leży już na podłodze, jego sąsiad wylewa na żołnierzy zawartość swojego wiadra, ale nie z wodą, z nieczystościami.

Widzę, że wszyscy więźniowie wylewają zawartość swoich toalet na IRF-y. Strażnicy zostawiają Kemala na ziemi. Biją jego sąsiada, a gdy

kończą, wracają do Kemala, chwytają go za nogi i ciągną za sobą. Zabierają wielu więźniów. Potem wracają i biją innych.

IRF-y mają tej nocy pełne ręce roboty. Przestają bić dopiero rano. Wyglądają na wykończonych. Mam szczęście, tym razem do mnie nie przyszli. Może są za bardzo zmęczeni.

Następnego dnia część więźniów nie chciała przyjąć śniadania. Inni odebrali wprawdzie talerze, ale nie jedli. Ja także odmówiłem przyjęcia posiłku, podobnie Salah, nawet Abdul nic nie wziął. Nie umawialiśmy się, że tak zrobimy, stało się to spontanicznie. W południe w całym Charly nie jadł już nikt. Po południu dotarły do nas wieści z Bravo, że wszystkie bloki biorą udział w strajku głodowym. I tak było w istocie. Rano, w południe i wieczorem przychodzili strażnicy i przynosili nam jedzenie, ale nikt go nie przyjmował.

Kemal już nie wrócił.

Czwartego dnia strajku pojawił się u nas generał. Rozmawiał z więźniem znającym angielski. Więzień ten nie chciał wstać w jego obecności. Wówczas generał zdjął czapkę i usiadł na ziemi przed jego klatką. W tym momencie pomyślałem, że nie byliśmy tak zupełnie bezsilni. Głodując, mogliśmy zmusić ich, by padli na kolana! Nie chcieli, żebyśmy wszyscy poumierali. Nie rozumiałem jednak, dlaczego generał zdjął czapkę. Czy chciał w ten sposób zaznaczyć, że nie jest na służbie, że pragnie porozmawiać z nami jak człowiek?

Zaczęli rozmawiać.

Generała otaczało około dziesięciu wyższych rangą wojskowych. Stali. Wyglądało na to, że nie w smak im, że dowódca siedzi na ziemi. Generał spytał, dlaczego nie przyjmujemy jedzenia. Nasz towarzysz wyjaśnił mu,

czym jest dla nas Koran i ile dla nas znaczy. Generał odparł, że ukarze winnego żołnierza. Potem wstał i razem ze swoimi ludźmi ruszył do wyjścia. Przechodząc obok mojej klatki, zwolnił kroku i obrzucił mnie wzrokiem. Może ze względu na moją jasną karnację, pomyślałem. Zwróciłem się do niego:

- *Why happen?"* - zapytałem.

Mówił długo, ale niewiele z tego rozumiałem. Gdy odszedł, Salah wyjaśnił:

- Generał osobiście zatroszczy się o to, żeby coś takiego nigdy się nie powtórzyło.

Tego dnia we wszystkich blokach dużo rozmawialiśmy, a strażnicy nie reagowali. Niektórzy więźniowie mówili, że nie wierzą Amerykanom. Proponowali, żeby zabrać wszystkie egzemplarze Koranu z obozu, bo woleli nie mieć żadnego niż ryzykować, że incydent się powtórzy. Inni byli za tym, żeby poczekać. Ostatecznie wszyscy byli zgodni co do tego, że powinniśmy się zorganizować i wybrać przywódcę. Wieczorem pierwsi więźniowie zaczęli znowu przyjmować posiłki. Ja zdecydowałem, że nie przestaję głodować, choć

byłem naprawdę bardzo głodny. Przyszedł do mnie strażnik i zapytał, dlaczego nadal nie jem.

- Spójrz tam, w tamtą stronę - wskazał mężczyznę trzymającego w rękach miskę. - Dostaniecie nawet gorącą herbatę, jeśli znowu zaczniecie jeść.

Żartował sobie z nas? Gdy odszedł, zobaczyłem, że rzeczywiście roznoszą herbatę. Cóż za głupiec - czy naprawdę myślał, że kupi nas

jedną filiżanką herbaty? W dalszym ciągu nie rozumiałem amerykańskich strażników.

Kilka dni później ponownie pojawił się generał. Chciał pertraktować. Zapytał, jakie są nasze warunki. Nasz przedstawiciel powiedział, że nie wolno im dotykać i przeszukiwać egzemplarzy Koranu. Po drugie mają zaprzestać przeszukań w miejscach intymnych. Po trzecie - kontroli cielesnych nie będą przeprowadzały strażniczki. Wtedy zaczniemy jeść. Generał się zgodził.

Wieczorem jadłem zimny ryż z krakersami. Smakował wyśmienicie.

Po incydencie z Koranem wybraliśmy przywódcę. Każdy z nas proponował jednego kandydata. Wybory były tajne, Amerykanie nic o nich nie wiedzieli. Trwały kilka tygodni, bo wszystko odbywało się ustnie. Spośród pięciuset więźniów wybranych zostało dziesięciu ludzi, którzy zbierali propozycje i oceniali je. Tych dziesięciu wytypowało trzy kandydatury, a ci trzej wybrali jednego, który został naszym przywódcą. Nazywaliśmy go emirem. Poza tymi trzema, którzy go wybrali, nikt nie wiedział, kto nim jest. Emir wyznaczał kogoś, kto rozmawiał z Amerykanami i występował jako nasz reprezentant. W ten sposób prawdziwy przywódca mógł pozostać nieznany.

Daliśmy Amerykanom pożywkę: zachowywali się tak, 154 jakbyśmy rzeczywiście wybrali emira i podali jego nazwisko do wiadomości. Wkrótce nasz reprezentant zniknął na kilka miesięcy. Amerykanie myśleli, że w ten sposób nas złamią i strajków głodowych więcej nie będzie. Tymczasem ukryty przywódca decydował, co następny fałszywy emir powinien mówić żołnierzom.

Chodziło o to, by nie powtórzyły się już przypadki bezczeszczenia

Koranu. O to, by Amerykanie uszanowali naszą wiarę i nie włączali swojego hymnu podczas naszych modlitw, i o to, by ograniczyć tortury i żeby niektórzy więźniowie otrzymali lekarstwa. Czasami Amerykanie coś obiecywali, na przykład leki, ale nie wiedzieliśmy oczywiście, co naprawdę podawali chorym. Chcieliśmy osiągnąć i to, by chorzy, starzy oraz niepełnosprawni traktowani byli z szacunkiem. I żebyśmy dostawali przyzwoite jedzenie.

Później każdy blok wybierał emira. Ja także zostałem wybrany na emira bloku, bo wkrótce należałem już do tych, którzy nie tylko znali dobrze angielski, ale i inne języki, którymi posługiwali się więźniowie. W szkole w Bremie miałem wprawdzie lekcje angielskiego, ale nigdy na nich nie uważałem i sądziłem, że z tej nauki żadnego pożytku mieć nie będę. W Kandaharze i w Guantanamo chciałem się nauczyć angielskiego, żeby rozumieć Amerykanów i móc się bronić podczas przesłuchań. Chciałem też poznać arabski, by móc czytać Koran i porozumiewać się z innymi więźniami. Uczyłem się tych języków ze słuchu. Angielski poznawałem podczas przesłuchań, uzbeckiego uczyłem się od Uzbeków, farsi od Afgańczyków, arabskiego od Salaha, a włoskiego od Algierczyków, którzy mieszkali we Włoszech. Nie opanowałem dobrze żadnego z tych języków, ale mogłem się w nich dogadać- a to było w Guantanamo bardzo cenne.

Jako emir byłem partnerem Amerykanów podczas rozmów. Wiele razy występowałem w tej roli, o ile nie byłem akurat przeniesiony lub osadzony w pojedynczej izolowanej celi. Przenosili nas, żebyśmy nie mogli się zorganizować, ale im częściej to robili, tym szybciej wiadomości rozchodziły się wśród uwięzionych.

Kiedy więźniowie z mojego bloku przystępowali do strajku głodowego,

przejmowałem rolę emira. Było kilka dużych strajków i mnóstwo mniejszych. Czytałem gdzieś, że człowiek umiera, jeśli nie je przez dwa tygodnie albo nie pije przez pięć dni. Myślę, że lekarze z Guantanamo sami dobrze nie wiedzieli, po jakim czasie umiera się z głodu. Dlatego podczas pierwszych głodówek byli bardzo ostrożni. Ale tylko do czasu, gdy odkryli, jak długo naprawdę możemy wytrzymać bez jedzenia i picia. Jeden z więźniów odmawiał przyjmowania pożywienia przez ponad sto dni. Był sztucznie dokarmiany. Co jakiś czas głodowały mniejsze grupy więźniów lub pojedyncze osoby. Wkrótce Amerykanie zmienili taktykę. Jeśli strajk głodowy trwał do dwóch tygodni, nikt się nim nie interesował; dopiero po dwudziestu dniach pojawiał się ktoś, by negocjować.

Wysłuchiwałem tego, co mówili więźniowie, i przekazywałem Amerykanom. Rozpoczynały się rokowania. Amerykanie mówili, na jakie ustępstwa pójdą, jeśli strajk się zakończy. Długo to wszystko trwało. Amerykanie proponowali na przykład dostarczenie do klatek egzemplarzy Koranu, co było jednym z naszych żądań. W zamian jednak musieliśmy oddać koszulki - w ich ustępstwa zawsze wmontowane były tego typu kary. Wybór, przed jakim nas stawiali, był taki, że albo będziemy mieli spodnie, albo lekarstwa dla potrzebujących. Mogliśmy częściej chodzić do kąpieli, ale wtedy pozbawiliby nas mydła i kłapek. Amerykanie nazywali to propozycjami. Jeśli więźniowie nie byli w stanie ustalić stanowiska większością głosów, musiałem sam podejmować decyzje.

Wkrótce zorientowałem się, że nie posiadamy żadnej rzeczywistej władzy, że to tylko iluzja, że coś możemy. W gruncie rzeczy od generała zależało, czy podejmie z nami rozmowy. Był zresztą pierwszym i ostatnim komendantem obozu, z którym mogliśmy się

targować przynajmniej w kwestiach dotyczących wiary i który dotrzymywał przyrzeczeń. Gdy został zwolniony, wszystko zmieniło się błyskawicznie.

Nasz system przywódczy nadal jednak funkcjonował. Mężczyźni, którzy oficjalnie byli emirami, ciągle ładowali w więziennych izolatkach. Ale ten, którego obraliśmy na prawdziwego emira, pozostał nim, a Amerykanie nie mieli o tym zielonego pojęcia. O tym, kto to jest, wiedziało tylko kilku więźniów.

Byłem jednym z nich. Znam nazwisko emira, ale nie wymienię go, ponieważ ciągle przebywa w Guantanamo i nadal pełni rolę przywódcy wszystkich więźniów.

zatoka Guantanamo, obóz Delta

Obóz X-Ray został rozwiązany w końcu kwietnia 2002 roku.

Spędziłem w nim trzy miesiące. W tym czasie Amerykanie zbudowali obóz nr 1, obóz nr 2 oraz blok izolacyjny India. W kwietniu 2002 otwarty został obóz nr 1 i tam nas przeniesiono. Amerykanie ciągle jednak rozbudowywali więzienie. Gdy siedzieliśmy w obozie nr 1, budowali obóz nr 3, obóz nr 4 oraz bloki izolacyjne Romeo, Quebec i Tango. Gdy przenieśli nas do obozu nr 3, zbudowali obóz nr 5, a potem, w roku 2006, obóz nr 6. Czasami zdarzało nam się zobaczyć plac budowy, a przez cały czas na okrągło dochodził stamtąd hałas. Amerykanie ustawili tam ze dwadzieścia dieslowskich generatorów,

które stale nas budziły, jeśli już udało nam się na krótko zasnąć.

Wszystko to nosiło nazwę obóz Delta.

Pewnego dnia za ogrodzeniem z siatki zatrzymały się pojazdy przypominające amerykańskie autobusy szkolne. Żołnierze sprawdzili, co mamy w ustach i w uszach, a następnie skuli nas i ponakładali nam *goggles*, nauszniki i maski na twarze. Wpędzono nas do tych autobusów i przywiązano do uchwytów w podłodze; nie było tam siedzeń. Potem nas bili. Po dwóch, może trzech godzinach odjechaliśmy. Nie jechaliśmy długo. W obozie Delta zabrano nam okulary.

Zaskoczenie.

Bloki wyglądały jak ogromne kontenery pospawane 158 z wielu metalowych ścian. W środku znowu były klatki, tyle że zamiast siatki miały ściany z metalowych krat. Przez kraty widzieliśmy się my, więźniowie, a i strażnicy mogli nas bez przerwy obserwować. Były bardzo ostre.

Ja dostałem miejsce w obozie nr 1, w bloku Alpha, w klatce Alpha-2. Na pierwszy rzut oka wyglądała nieco nowocześniej od dotychczasowej, tej z obozu X-Ray. Materac nie leżał tu bezpośrednio na podłodze, tylko na porządnie pospawanej pryczy, sięgającej od ściany do ściany. Klatka nie była mniejsza od poprzedniej, ale prycza ograniczała możliwość poruszania się - pozostawał tylko metr kwadratowy. W kącie sporo miejsca zabierała aluminiowa toaleta i cynkowe wiadro na wodę. Jak miałem tam wytrzymać?

To już nie były klatki dla psów, to były klatki bezpieczeństwa. W nich nawet Isa nic nie mógł zepsuć; nawet słoń by ich nie staranował. Każdy blok składał się z czterdziestu ośmiu klatek w dwóch rzędach po dwadzieścia cztery. W niewielkiej odległości od klatek znajdowały się ściany

kontenerów z oknami na ścianach krótszych. Dzięki temu do czterech klatek wpadało nieco światła dziennego: do dwóch pierwszych i dwóch ostatnich. Do mojej Alpha-2 światło niemal nie docierało.

Amerykanie udoskonalili te klatki.

W obozie X-Ray zapomniałem o ogrodzeniu z siatki, bo mogłem patrzeć w niebo, oglądać wzgórza i kaktusy. Teraz widziałem jedynie metalowe kraty i sufit. Czułem się zaspawany żywcem w metalowym kontenerze. Powietrze napływało tu jedynie przez zewnętrzne okna. Poza tym okropnie cuchnęło i było nieznośnie gorąco.

Z drugiej strony stojące toalety stwarzały pozory porządnego więzienia. Nie była to już taka prowizorka jak w X-Ray. Teraz było to prawdziwe więzienie, jakie znałem z amerykańskich filmów i z opowiadań wujka Ekrama. Przede mną ciężki okres, ale wytrzymam. W prawdziwym więzieniu

obowiązują bowiem prawdziwe reguły, których przestrzegają również strażnicy. Jest przecież normalna codzienność, porządek dnia i podwórze ze spacerniakiem.

Od razu zauważyłem, że klatki są znacznie mniejsze, i było dla mnie jasne, że nie będą nas w nich trzymać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będziemy w nich spać, a w ciągu dnia spacerować po podwórzu. Byłem o tym przekonany. Dopiero po kilku dniach stwierdziłem, że nie ma żadnego podwórza. Znowu się pomyliłem.

Gdy wyszedłem na wolność, przeczytałem w jakimś czasopiśmie, że cele w obozie Delta miały 2,07 na 2,5 metra, ale to nieprawda. Zmierzyłem swoją celę dłonią i było to 2,07 na 2,2 metra. Różnica nie jest może znaczna, ale pokazuje wszechobecne kłamstwo. W obozie

nic nie jest takie, jakim się zdaje i jak się sądzi. Nic nie jest też takie jak to, co na własne oczy oglądają dziennikarze, jak to, co filmują i fotografują. Dla mediów są specjalnie przygotowane pokoje przesłuchań i klatki. Na pryzkach w tych klatkach często leżą rzeczy, których w Guantanamo ani razu nie widziałem: na przykład gra tryktrak (*backgammon*), książki albo tabliczka czekolady. Na każdym ze zdjęć pokazujących wnętrze klatki w obozie Delta na ścianie wisi egzemplarz Koranu owinięty w białą tkaninę i obwiązany wstążeczką. Czasami mieliśmy w klatkach Koran, ale były to raczej wyjątkowe przypadki, a już z całą pewnością nie mogliśmy go przechowywać w białej osłonce z wstążeczką. Amerykanie chcieli w ten sposób udowodnić, że szanują naszą wiarę.

Moim sąsiadem w Alpha-3 był mężczyzna o jasnej jak moja karnacji, mówiący zupełnie nieźle po angielsku. Był muzułmaninem z kraju graniczącego z Niemcami, ale nie chcę mówić, z którego. Jest już na wolności, ale nigdy nie rozmawiał z mediami, bo pragnie żyć w spokoju - i ma do tego prawo. Będę go nazywał Mani. Jego językiem ojczystym był francuski, a do tego znał kilka słów po niemiecku.

Był może dwa lub trzy lata starszy ode mnie. Był bardzo chętny do pomocy i udzielał mi lekcji czytania Koranu. Każdy z nas miał wtedy Koran, a nawet jego dwujęzyczne wydanie: po angielsku i po arabsku. Często o niego prosiłem i pewnego razu któryś ze strażników przyniósł mi taki egzemplarz. Siedzieliśmy na podłodze, każdy w swojej celi, i Mani objaśniał mi przez kraty, jak się poprawnie czyta poszczególne fragmenty. Była to dla mnie wielka radość. Tylko kiedy na zmianie był Philips, nie mogliśmy

czytać. Zawsze stawał w drzwiach i mówił, że nie wolno nam rozmawiać.

Sąsiadowałem z Manim przez jakieś trzy miesiące. Byłem zdumiony, gdy po pewnym czasie powiedział mi, że w obozie Delta naprawdę jest duży dziedziniec. Myślałem, że wrócił z przesłuchania, więc zapytałem go:

- No i jak było?
- Świetnie! - odrzekł. - Mogłem pospacerować!
- Co ty gadasz?

Ale Mani nie plół. Można było spacerować po tym dziedzińcu dwa razy w tygodniu, jeśli się akurat nie miało jakiejś kary do odbycia. Strażnicy powiedzieli mu, że ma piętnaście minut.

Kilka dni później sam zobaczyłem spacerniak. To był po prostu dziedziniec-klatka z tyłu bloku. Amerykanie nazywali go *Rec-Area*, co było skrótem od *Recreation Area*, „teren wypoczynkowy”. Oceniałem, że może mieć siedem metrów na dwanaście. Mogłem się tam sam przechadzać: raz w jedną stronę, raz w drugą. Nie wolno było dotykać ogrodzenia. Na ziemi była betonowa wylewka. Patrzyłem na strażników z niedowierzaniem.

- Masz piętnaście minut - powiedzieli.

Ale co to znaczy piętnaście minut? Przecież nie miałem zegarka. Po kilku minutach zdarzyło się to samo, co pod prysznicem: mój czas się skończył. I co znaczyło dwa razy w tygodniu? W najlepszym razie wypuszczano mnie tam raz lub dwa w miesiącu. W pozostałe dni istniało „zagrożenie burzą albo huraganem” i było zbyt niebezpiecznie - twierdzili Amerykanie. Tymczasem przez okna w bocznej ścianie wpadało słońce, widziałem to z daleka.

Pewnego dnia przyniosłem sobie ze spaceru mały ostry kamyczek, którym wyrysowałem planszę do młynka. Pionki zrobiłem z papieru

toaletowego: kuleczki i wałeczki. Wszystko to z największą ostrożnością, możliwie daleko od drzwi i tak, by nie widzieli tego wartownicy. A potem mogliśmy już grać. Gdy nadchodzili strażnicy, rozmawialiśmy o Koranie. Mani nie znał wcześniej tej gry, więc go nauczyłem. Z początku wygrywałem kilka razy pod rząd, ale później był coraz lepszy.

Mogłem grać w młynek i studiować Koran, ale przesłuchania do bladego świtu trwały w dalszym ciągu, nadal też byliśmy bici. W pomieszczeniach, w których nas przesłuchiowano w obozie Delta, były wielkie lustra, za którymi siedzieli inni śledczy i zza których nas filmowano. Próbowali teraz często nabrać mnie i przechytryć. Jeden z przesłuchujących powiedział:

- Wiesz, że niektórzy talibowie wyszli już z więzienia i są w domu?

Tak było w istocie. Wiedziałem, że niektórzy bojownicy, talibowie, zostali już zwolnieni. Mówiło się o tym.

- Czy wiesz dlaczego? - zapytał mnie przesłuchujący. - To żołnierze, którzy bili się o swój kraj. Wiemy, kim są, i wypuściliśmy ich. Z tobą jest jeden problem: nie wiemy, kim jesteś. Czy jesteś talibem, czy należysz do Al-Kaidy. Dlatego jesteś niebezpieczny. Powiedz, że należysz do Al-Kaidy, to cię wypuścimy.

Był to oczywiście podstęp. Może lepiej bym zrobił, mówiąc po prostu, że jestem talibem, choć oni by wiedzieli, że to nieprawda. Może wtedy mogliby przedstawić mnie jako winnego i może nawet wypuściliby mnie na wolność. Ale nie poszedłem na to.

Wieczne zmęczenie odkładało się we mnie jak ołów. W obozie Delta obowiązywało bowiem zalecenie, by każdą klatkę przeszukiwać przynajmniej raz w ciągu dnia i raz w nocy. *Celi search* - nazywali to

Amerykanie. Stawali w drzwiach i krzyczeli. Wstawać, kajdanki, łańcuchy.

I choć oprócz sufitu, materaca i kłapek nie było właściwie czego przeszukiwać, trwonili na to mnóstwo czasu, świecąc latarkami w każdy kąt. Gwizdali przy tym wesoło, budząc innych więźniów. Sprawdzali ściany klatek i wiadra, czy są stabilne i nienaruszone. Często taka rewizja trwała nawet pół godziny.

Gdy przychodzili do klatki, pod sufitem zaczynały pracować wentylatory, żeby się nie spocili. A pracowały głośno jak silniki samolotów. Strażnicy przynosili sobie krzesła, żeby się nie męczyć. Rozmawiali demonstracyjnie głośno, grali w karty lub wyśpiewywali swoje piosenki. Kiedy nocą nie byłem przesłuchiwany, próbowałem spać, ale taki przerywany sen nie dawał wytchnienia ani odpoczynku. Nieraz po godzinie wracali i zaczęli przeszukiwanie mojej klatki od nowa.

Pospawane płyty podłogowe w przejściu między klatkami powybrzuszały się od upału. Strażnicy z upodobaniem stąpali po tych wybrzuszeniach, bo powodowało to okropny hałas. Jeśli prowadzili przejściami kogoś na przesłuchanie, to też z daleka już było słychać uderzenia jego łańcuchów o podłogę. Jeśli nikogo nie prowadzili, celowo sami szczękali łańcuchami, żeby narobić jak najwięcej zgiełku. Przy czterdziestu ośmiu więźniach w każdym bloku panował nieustanny ruch: jednego wyprowadzano, drugiego przyprowadzano.

Wentylatory i generatory pracowały bardzo głośno. Strażnicy specjalnie turkotali wielkimi kluczami o siatkę wzdłuż klatek. Początkowo miałem jeszcze nadzieję, że coś się zmieni. Wkrótce jednak stało się dla mnie jasne, że pozostanie tak już na zawsze.

Myślałem o ptakach, które miałem w domu jako dziecko i młody

chłopak. Trzymałem je w klatkach. Czasami było mi ich szkoda. W obozie X-Ray ciągle przylatywały do mnie ptaki. Karmiłem je okruszynami chleba, które przechowywałem pod ubraniem albo pod materacem, żeby nie zobaczyli ich strażnicy. Ptaki początkowo się bały, ale z czasem nabrały do mnie zaufania. Niektóre z nich przefruwały do klatki między oczkami siatki - głównie maleńkie kolibry o niewiarygodnie kolorowym upierzeniu. Były tak małe, że przedostawały się nawet przez metalowe kraty obozu Delta. Ucieszyłem się bardzo, widząc je ponownie. Najpierw wleciał pierwszy koliberek, za nim przyfrunęły następne. Mówiłem do nich: cóż za zwariowany świat! Najpierw wy siedziałyście w klatce i ja przychodziłem do was w odwiedziny, a teraz to ja jestem w klatce i wy mnie odnalazłyście...

Nie wolno mi było się kąpać, gdyż odbywałem jakąś karę. Wreszcie pozwolono mi iść pod prysznic. Poleciała woda, stanąłem pod strumieniem, namydliłem się, a wtedy żołnierz zakręcił kurek.

Tego już było za wiele.

- Dlaczego nie dałeś mi dwóch minut na kąpiel? - krzyknąłem do strażnika.
- Twój czas się skończył, ubieraj się - powiedział.
- Nie miałem dwóch minut! - upierałem się.
- To ja decyduję, jak długo się kąpiesz.
- Musisz pozwolić mi na dwuminutową kąpiel. Są przecież przepisy, dlaczego się do nich nie stosujesz?
- Nie będziesz mnie pouczał o moich obowiązkach.
- Przepis to przepis, musisz się go trzymać!
- Z powrotem do klatki, pospiesz się!

Wziąłem mały kawałek mydła i pstryknąłem je przez siatkę w żołnierza. Mydełko trafiło go w skroń. Przestraszył się. Potem zniknął na kilka minut i wrócił w towarzystwie jakiegoś oficera. Poskarżyłem się na takie traktowanie.

- Kiedy twój czas mija, to mija. Zostaniesz ukarany - powiedział oficer.
- Znam już twój IRF. Niech tylko do mnie przyjdzie!

IRF rozpylił gaz. Bili mnie, ale tym razem nie byłem beczny. Biłem także. Zakuli mnie i wtrącili do izolatki. Słyszałem o tych osobnych celach. Ta, do której trafiłem, znajdowała się w bloku Oscar.

Rozglądam się wokół: to prawdziwy kontener, w którym wycięto tylko drzwi. Ściany są umocnione żeberkowaną blachą podłogową, jaką stosuje się w budach jarmarcznych. Obita jest nią cała celi: ściany, podłoga, sufit. Nie ma ani materaca, ani wełnianego koca. Metalowa toaleta wpuszczona jest w podłogę, podobnie jak zbiornik na wodę. Jeśli zbyt długo wpatruję się w jeden punkt, zaczyna mi się kręcić w głowie. Ta klatka jest jeszcze mniejsza niż ta w obozie nr 1.

Światło zostaje wyłączone. Metalowa podłoga w dotyku przypomina lód. Natychmiast wstaję. Na szczęście mam klapki do kąpiel, które jakoś uszły uwagi strażników. Słyszę burczenie - to odgłos urządzenia klimatyzacyjnego umieszczonego nad drzwiami celi. Dmucha z niego lodowate powietrze. Przypominam sobie czasy, kiedy jako młody chłopak pracowałem podczas wakacji w piekarni. Była tam chłodnia. Myślę, że w izolatce było tak samo zimno. Zostałem zamknięty w wielkiej lodówce!

Po chwili znowu czuję nogi i ręce. Siadam w kącie na podłodze, wpycham koszulkę w spodnie i chowam ręce pod materiał, tak jak w Kandaharze.

Głęboko wciągam powietrze. Jakoś da się w ten sposób przetrwać. Silnik klimatyzatora musi mieć wielką moc, bo każdą piędzią ciała dotkliwie czuję lodowate powietrze. Nie wiedziałem dotąd, co oznacza więzienna izolatka.

W drzwiach są dwa otwory: jeden, na wysokości kolan, służy do podawania jedzenia, drugi znajduje się na wysokości oczu. Kiedy nadchodzi strażnik, by podać mi posiłek lub zajrzeć do środka, na suficie zapala się czerwone światełko. Myślę, że po to, by strażnik widział, gdzie siedzi więzień. Potem światło gaśnie i trzeba jeść w ciemności. O tym, czy jest noc, czy dzień, mogę się przekonać dopiero wtedy, gdy strażnik uchyla klapę i zagląda do celi, bo raz wpada światło białe, a raz żółte.

Raz jednak udaje mi się coś zepsuć: uderzam nogą w klapę do zaglądania na tyle mocno, że nieco się przesuwa. Przez chwilę mogę przez szczelinę obserwować korytarz. Lepiej by jednak było, gdybym tego nie zrobił. Gdy strażnicy przychodzą z jedzeniem, widzę, że zanim podadzą je więźniom, najpierw w nie pluą, a dopiero potem podają więźniom. Plują do każdego talerza! Ale świnię, myślę. Dotąd cieszyłem się, że będę jadł, niezależnie od tego, jak bardzo marne było to pożywienie. Teraz przez wiele dni nie jem nic. Oczyszczam każdy kęs, jaki biorę do ust, i często robi mi się przy tym niedobrze.

Czasami trochę się ruszam, żeby było mi cieplej. Nie za dużo - oszczędzam energię. Trzy razy dziennie dostaję tylko kromkę chleba i kawałek jabłka. Muszę się jednak poruszać, żeby nie zamarznąć. Potem znowu siadam w kącie pod pryczą, bo tam tak nie ciągnie. Po kilku dniach słyszę w korytarzu turecką mowę. Ktoś zwraca się po turecku do strażnika. Znam ten głos i tylko czekam, by strażnik sobie poszedł.

- Ehran?

- Murat?

Erhan musi siedzieć jakieś dwie, trzy cele ode mnie. Kłapa najedzenie w jego klatce jest otwarta, więc możemy porozmawiać przez korytarz, bo akurat nie ma żadnego strażnika.

- Co ty tu robisz?

- Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem. A ty?

-Aja odbywam urlop na Syberii.

Wyszedłem z karceru po miesiącu. Przez pewien czas nic nie widziałem. Miałem silne bóle głowy. Słońce i upał były jednak lepsze od tamtej lodówki. Tym razem trafiłem do bloku Mikę w obozie nr 2. Mówiło się, że to najbardziej zaplus-kwiony blok. Niektórzy więźniowie odkryli w nim mikrofony, podejrzewaliśmy więc, że kierują nas do niego specjalnie, by podsłuchiwać rozmowy. Moim sąsiadem był mężczyzna z Arabii Saudyjskiej, żonaty z Amerykanką. Nazywał się Ebu Ammar.

Miał trzydzieści parę lat i trenował taekwondo. Może mógłbym się od niego czegoś nauczyć? Rozmawialiśmy nocą i obiecał pokazać mi kilka sztuczek. Potrafił z pozycji stojącej wykonać tak mocny wyskok, że dotykał stopą sufitu. Musieliśmy być ostrożni ze względu na wartowników. Wkrótce zauważyłem, że mam problemy z jedzeniem. Ćwiczenia wykonywane w tajemnicy powodowały, że potrzebowałem więcej pokarmu. Nie chciałem jednak rezygnować z okazji posiadania osobistego trenera.

Znowu byłem przesłuchiwany w różnych pomieszczeniach. W niektórych kamery znajdowały się w urządzeniach klimatyzacyjnych i można to było łatwo rozpoznać. Przesłuchujący wciąż się zmieniali, była wśród nich jedna kobieta. Niektórzy uważali, że mówią

po niemiecku, ale kiepsko im to szło. Moja angielszczyzna była od dawna o niebo lepsza od ich niemieckiego. Podczas niezliczonych przesłuchań zadawali wciąż te same pytania. Trwało to godzinami, a kiedy widzieli, że zasypiam z wyczerpania, bili mnie po głowie lub po twarzy. Innych pomysłów po prostu nie mieli.

Pewnego dnia wszedłem do pokoju przesłuchań i ze zdumieniem stwierdziłem, że stoją tam trzy kobiety. Strażnicy przywiązali mnie łańcuchem do podłogi i zostawili z nimi samego. Jedna z kobiet miała na sobie mundur, dwie pozostałe ubrane były niezwykle skąpo - tylko w krótkie bluzeczki i majteczki. Wbiłem wzrok w podłogę. Nie chciałem oglądać półnagich obcych kobiet. Jedna z tych dwóch rozebranych obeszła mnie dookoła, wsunęła mi z tyłu rękę pod koszulę i zaczęła głaskać. Podobasz mi się, chciałabym, żebyśmy razem coś zrobili...

Potem mówiła: znam cię od dawna, obserwowałam cię podczas kąpieli. I robiła niedwuznaczne aluzje na ten temat. Po tym poznałem, że kłamie, bo pod prysznicem zawsze miałem na sobie spodenki. Przywierała do mnie coraz mocniej całym ciałem i gładziła moją pierś, zaczęła pojękiwać. Było to niezdolne. Robili to, ponieważ wiedzieli, że jestem religijny. Chcieli mnie poniżyć. Powiedziałem:

- Przestań! Zostaw mnie!

Ale ona robiła to dalej. Odrzuciłem gwałtownie głowę w tył i trafiłem ją w nos. Wtedy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wpadł i rzucił się na mnie IRF. Znowu trafiłem do lodówki, gdzie przez jeden dzień leżałem skuty, a przez następne dni nie dostawałem nic do jedzenia.

Później wprowadzono mnie do pomieszczenia, którego ściany wyłożone były dywanami. Widniały na nich wersety

Koranu, a na podłodze leżał nawet dywanik do modlitwy. Była tam sofa, poduszki, telewizor i stół, na którym stały półmiski z owocami, orzechami i słodyczami. Stworzyli tam istne eldorado. Czy ja śnię? - pomyślałem. Oczywiście byłem bardzo głodny. Ale byłem też nieufny. Na sofie siedział jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu. Wstał i podał mi rękę.

- Słyszałem, co cię spotkało. Przybyłem natychmiast z Waszyngtonu, żeby ci pomóc. Przykro mi, że przyjeżdżam tak późno, ale władze wojskowe trudno przekonać. Nie mogą was tak traktować! Przywiozłem ci co nieco do jedzenia. Weź! - mówił.

Stałem i milczałem.

- Pomogę ci. Ale żeby ci pomóc, muszę zadać ci kilka pytań...
- Nie podoba mi się ani twoje jedzenie ani twoja twarz - powiedziałem.
- Możesz to zabrać ze sobą do celi...
- Nie chcę twojego jedzenia!
- W porządku, zostawię cię samego. Wyjdę, a ty zjedz. Śmiało, weź...

Nie tknąłem ani okruszynki.

Przez wiele dni nie dawali mi nic do jedzenia. Myśleli, że w ten sposób mnie złamią? Że rzucę się na pożywienie, zjem wszystko i zaraz im opowiem to, co chcieli usłyszeć?

Escort-team zaprowadził mnie znów do lodówki, a ja w proteście nie jadłem przez kolejnych piętnaście dni. Wreszcie mój sąsiad powiedział:

- Murat, strajk głodowy w pojedynkę nie ma sensu.

To był Musa, Bośniak. Miał rację. Zacząłem jeść. Byłem bardzo osłabiony i marzłem niemiłosiernie.

Próbowali na mnie wszelkich sztuczek. Od innych więźniów słyszałem, że ich także podczas przesłuchań

upokarzały kobiety. Ale nie wszystkie takie były. Pewnego razu Amerykanka, która miała mnie przesłuchiwać, chciała mi podać rękę. Wbiłem wzrok w ziemię, przeprosiłem ją i wyjaśniłem, że moja wiara zabrania mi cielesnego kontaktu z kobietą inną niż moja żona.

- Kiedy podaje się rękę kobiecie, można podejść bardzo blisko i można *zacząć* coś do niej czuć. To pierwszy krok - powiedziałem.
 - Dlaczego nie patrzysz na mnie? - zapytała.
 - Z tego samego powodu. Nie wolno nam przyglądać się kobietom.
 - Nie podobam ci się?
 - Nie o to chodzi. Wszystkie kobiety mają w sobie coś pięknego. Prawdopodobnie jest pani bardzo ładna.
 - Co więc robisz, spotykając kobiety na ulicy? Nie możesz przecież zawsze patrzeć w ziemię...
 - Nie jestem odpowiedzialny za rzeczy, na które nie mam wpływu. Ale jestem odpowiedzialny za to, co robię świadomie - odrzekłem.
- Jeśli tak, to w porządku - powiedziała.

W pewnym momencie doszli już do takiego punktu, że chcieli

wiedzieć, jakiego koloru buty nosiłem w Bremie. Albo jakie koszule najchętniej zakładałem. Nigdy nie przestali mnie przesłuchiwać, ale ja w końcu postanowiłem już na żadne pytania nie odpowiadać. Tygodniami nie odzywałem się do nich ani słowem, nie mówiłem nawet dzień dobry. Jeden z przesłuchujących zapytał mnie wtedy:

- Okej, wiem, że nie odpowiadasz na pytania, ale po wiedz mi jedno: dlaczego przestałeś mówić?
- Setki razy już mówiłem, co robiłem i kim jestem. Jeśli chcecie to usłyszeć raz jeszcze - wskazałem ręką kamery

170 - to możecie cofnąć tamte taśmy i odsłuchać je ponownie.

Dostałem oczywiście izolatkę. Zabrali mi koc i wszystkie ubrania oprócz spodenek; nawet buty. Siedziałem w lodówce w samych majtkach. Takie kary, takie prostackie znęcanie się, miały miejsce przez cały czas. Jesienią przesłuchiowano mnie szczególnie często. Ale byłem głuchy na wszelkie pytania. Zacząłem odpowiadać, gdy do Guantanamo przybyli Turcy.

- Przygotuj się - powiedział któregoś ranka żołnierz z *escort--teamu*.

- Dokąd tym razem?

Szliśmy do kontenera, którego jeszcze nie znałem. Stał nieco na uboczu. Wiedziałem jednak, że znajdują się w nim pomieszczenia, w których przesłuchują ludzie z zewnątrz. Słyszałem od innych więźniów, że przesłuchiwali ich tam policjanci z krajów ich pochodzenia. Czyżby czekała mnie wizyta kogoś z Niemiec lub z Turcji?

W pokoju przesłuchań było ich trzech. Bez wątpienia Turcy, od razu rozpoznałem.

- Co to znaczy? Żaden Turek nie może być tak zakuty w mojej obecności! Tak nie można, natychmiast wezwij strażnika! - powiedział jeden z nich.

Nikt nie potrafi robić przedstawień tak dobrze jak Turcy. Musiałem się uśmiechnąć.

- On jest obywatelem tureckim, bratem; nie, nie mogę na to patrzeć! - mówił ciemnowłosy mężczyzna i zasłaniał sobie dłonią oczy. - Natychmiast go rozkuj!

Brakowało tylko, żeby się rozplakał.

Strażnik podszedł i zdjął mi kajdanki, ale nogi pozostały zakute i przymocowane łańcuchem do uchwytu w podłodze. Co za bezsens. Roześmiałem się. Świetne *show*, wszystko ukartowane! - pomyślałem. Turek podszedł do mnie i uścisnął mi rękę, a potem ucałował w oba policzki.

-Jak się czujesz? Co u ciebie? Oglądam tu rzeczy, w które nie chce mi się wierzyć, choć widzę je na własne oczy...

Mężczyzna uspokoił się nieco i usiadł. Nie przedstawił mi się. Obu pozostałym nakazał milczenie, choć nie powiedzieli ani słowa. Oznajmił, że musi mi zadać parę pytań. Chciał wiedzieć, gdzie zostałem zatrzymany.

- W Pakistanie. Nie zostałem zatrzymany bezpośrednio. Poproszono mnie, żebym wysiadł z autobusu, żeby odpowiedzieć na kilka pytań, więc wysiadłem.

Ton Turka zmienił się w jednej chwili.

- Teraz to już łżesz! - zaczął krzyczeć. - Przyjechaliśmy tu, pokonując wiele trudności, a ty już zaczynasz kłamać? Jeśli nie chcesz, żebyśmy ci pomogli, to twój wybór. Dlaczego

zdecydowałeś się zostać terrorystą?

- Nie jestem terrorystą!

- Ciekawe kim w takim razie jesteś. Gdybyś nie był terrorystą, tobyś tu nie wylądował! Tu są przecież sami terroryści!

Mężczyzna wstał i groźnym gestem uniósł pięść. Nie przestraszyłem się jednak. Przeciwnie, ogarnęła mnie wściekłość.

- Przyjechaliście tu, żeby mi pomóc czy żeby zrobić ze mnie głupka? - zapytałem.

- Nam jest zupełnie obojętne, czy całe swoje kaprawe życie spędzisz w tym Guantanamo, czy nie. Chcemy zadać pytania i wyjechać. O wszystkim innym decyduje Ameryka. Nie mamy tu nic do gadania.

Dwaj pozostali nadal nie wypowiedzieli ani słowa.

To, w jaki sposób ten Turek to powiedział, zdradzało, że nie bardzo wie, gdzie się znajduje. Opowiedziałem mu o więzieniu oraz o torturach w Guantanamo i w Kandaharze. Przez chwilę wszyscy trzej słuchali, a potem ten, który ze mną rozmawiał, przerwał mi szorstko:

- Co ty sobie myślisz? Uważasz, że w więzieniu w Turcji byłoby ci lepiej?

Wiedziałem już, że jego to wszystko nie obchodzi.

Zadali mi jeszcze kilka błahych pytań, na które udzieliłem odpowiedzi, choć uważałem to za całkowicie zbyteczne.

Następnego ranka zaprowadzono mnie do pomieszczenia, w którym dotąd przesłuchiwali mnie Amerykanie. Był to jeden z tych pokojów, w których za długim pulpitem znajdowało się wielkie lustro. Znowu czekali tam

ci trzech Turcy. Tym razem obeszło się bez powitania i bez całego wczorajszego teatru. Zadali mi kilka pytań o moich przyjaciół z Bremy. Najbardziej zdawali się być zainteresowani dwoma, którzy pracowali w bremeńskiej policji.

- Dlaczego masz przyjaciół w policji?
 - Nie rozumiem tego pytania. Są moimi przyjaciółmi i pracują w policji. Jeden jest Turkiem, drugi Niemcem. Nie wiem, tak po prostu jest...
 - Kłamiesz! Jesteśmy przekonani, że jesteś szpiegiem! To jest dowód! Jesteś szpiegiem Niemców!

To był absurd. Jakim szpiegiem miałbym być? Szpiegiem w Guantanamo? Który osiadł tu dobrowolnie, żeby szpiegować dla Niemców? A może miałem być szpiegiem w Bremie, szpiegującym Turków z Hemelingen? Co to miało znaczyć? Byłem naprawdę wściekły.

- Okej, skoro myślicie, że jestem szpiegiem, to tyle wam miałem do powiedzenia. Nie rozumiem wprawdzie, co macie na myśli, ale jestem dla was po prostu szpiegiem.
- Mamy jeszcze kilka pytań...
- Nie odpowiem już na żadne pytania.

Próbowałem jeszcze jakiś czas, ale ja już nic nie mówiłem. Wiedziałem, że ci ludzie, ten rząd nigdy mi nie pomogą. Nigdy.

- W takim razie to wszystko. Zasłużyłeś na to, by tu się dzieć - powiedział.

I odeszli.

Następnego dnia żałowałem, że w ogóle zacząłem z nimi rozmawiać. Nie miałem już żadnej nadziei, że mi uwierzą. Nawet Amerykanie nigdy nie

uważali mnie za szpiega. Pewnie mieli za tym wielkim lustrem niezły ubaw, kiedy tego słuchali.

Wkrótce potem pojawili się Niemcy. Było to dwudziestego trzeciego września 2002 roku.

Wieczorem poprzedniego dnia w bloku Mikę, tym za-pluskwionym, nieoczekiwanie dostałem nowego sąsiada. Był to wysoki mężczyzna. Osadzono go w klatce naprzeciwko mnie. Zagadnałem go. Nazywał się Abid, ale nazwiska nie zapamiętałem, choć widziałem je na opasce na jego przegubie.

- Skąd jesteś? - spytałem.
- Z Niemiec - odpowiedział.
- Z Niemiec?

Oślupiałem. Myślałem, że jestem tu jedynym więźniem z Niemiec. Abid miał ponad czterdzieści lat. Pochodził z Algierii. Opowiedział mi, że przez wiele lat mieszkał w Hamburgu i ożenił się z Niemką. Pracował jako ochroniarz w jednej z tamtejszych dyskotek.

Abid najwyraźniej przebywał w więzieniu nie po raz pierwszy. Opowiadał o więzieniach w Algierii, Włoszech i Francji, mówił też, że jakiś czas spędził w więzieniu w Hamburgu za jakąś bijatykę podczas dyskoteki. Musiał przesiedzieć w więzieniach pół życia. Czegoś takiego jak Guanta-namo nigdy jednak nie doświadczył. Jego niemczyzna była chropowata. Gdy wstał, zauważyłem, że kuleje.

Gdy następnego ranka wchodziłem do pomieszczenia, w którym przesłuchiwali mnie Turcy, przy stole siedział jeden mężczyzna. Jak zwykle przymocowali moje łańcuchy na nogach do uchwyty w podłodze. Potem weszło trzech innych

ludzi. To musieli być Niemcy, pomyślałem. Nie wyglądali na Turków. Dwaj nosili garnitury, dwaj pozostali spodnie i koszule. Jeden z mężczyzn był blondynem i miał przystrzyżony zarost na górnej wardze oraz na brodzie. Był dość wysoki i mocno zbudowany. Drugi był raczej szczupły, nosił podobny zarost jak poprzedni. Trzeci był na wpół łysy. Czwarty po krótkiej chwili opuścił pomieszczenie, nie mówiąc ani słowa, więc nie wiem, czy był Niemcem, czy Amerykaninem. Jeden z nich postawił na stole magnetofon kasetowy. Było przyjemnie chłodno, więc gdzieś musiała być klimatyzacja. Ten silny, którego zobaczyłem jako pierwszego, wyglądał na młodszego niż dwaj pozostali.

-Jesteśmy z Niemiec i chcemy zadać panu kilka pytań.

Żadnego powitania, nawet się nie przedstawili. Ale ja powiedziałem, że cieszę się, iż mogę porozmawiać z kimś z niemieckiego rządu. Zapytali, jak się czuję. Odpowiedziałem, że wiecznie jestem głodny, że jest bardzo gorąco, klatki są za małe i niemal nie wychodzimy na powietrze. To akurat zdawało się ich zupełnie nie interesować.

- Z pewnością będzie korzystne dla pana, jeśli będzie pan mówił prawdę. Proszę opowiedzieć nam swoją historię.
- Czy panowie przywieźli mi coś z Niemiec? Jakiś list lub wiadomość od rodziny? - spytałem.

Popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami.

- Przyjechaliśmy tu, aby zadawać panu pytania, a nie żeby przekazywać listy.

Zauważyłem, że blondyn trzyma się z tyłu. Ci dwaj byli chyba ważniejsi od niego.

- W takim razie proszę zaczynać...

Opowiedziałem im wszystko. O dyskotekach, o treningach i o przyjaciółkach z Hemelingen, o wizytach w meczetach. Szczególnie interesowało ich, dlaczego i w jaki sposób stałem się religijny. Często przerywali mi pytaniami:

-Jak ważne jest to dla pana?

- Uważa pan, że jest pan lepszy od innych muzułmanów?
- Czuje się pan lepszy od innych ludzi?
- Czy nienawidzi pan niereligijnych muzułmanów?
- Czy nienawidzi pan Niemców, ponieważ są niewierni?
- Którzy ludzie w ogóle coś dla pana znaczą?

Pytania zadawali na przemian. Po jakimś czasie wezwali strażnika, żeby zdjął mi kajdanki. Co jakiś czas wchodził czwarty mężczyzna i szeptał coś z pozostałymi.

Opowiadałem o swojej rodzinie, o przyjaciółkach i o Selcu-ku. Chcieli wiedzieć, jakie Selcuk miał plany. I czy uważałem go za niebezpiecznego. Czy mogę sobie wyobrazić, że jest przestępcą. Nie, tego nie mogę sobie wyobrazić. Opowiadałem o tablighach, a oni wymieniali nazwiska ludzi z bremeń-skiej grupy. Pytali, czy są mi znane. Pokazywali mi zdjęcia, których nie znałem z przesłuchań u Amerykanów. Fotografie kolegów z pracy i z zawodówki, jakichś nieznanych mi dziewczyn. Były to zdjęcia zrobione w meczetach i na ulicy; w większości przedstawiały osoby, których nigdy nie widziałem. Potem pokazali mi fotografie Selcuka. Na jednej z nich Selcuk się śmiał.

- Czemu on się tu śmieje? - spytałem.
- Bo dobrze mu się powodzi - powiedział blondyn. - Nie tak jak tobie.

Dwaj pozostali wyszli. Gdy zamykali drzwi, ze ściany spadł zegar. Z dziury wystawała kamera. Silny blondyn pochylił się, podniósł zegar i zawiesił go z powrotem, maskując kamerę. Jej soczewkę widać było nad cyfrą 3. Wrócili tamci dwaj Niemcy.

-Jeśli odpowie pan na nasze pytania zgodnie z prawdą, być może szybciej wyjdzie pan na wolność.

Takie zdanie słyszałem wielokrotnie od Amerykanów. Ale Niemcy zdawali się być bardziej profesjonalni. Wiedzieli o mnie wszystko, a w końcu przeczytali mi zdanie, które wprawiło mnie w zdumienie: „Selcuk jedzie za swoim przyjacielem do Afganistanu, by tam walczyć. To w meczecie został do tego zachęcony". Czy takie słowa rzeczywiście wypowiedział brat Selcuka podczas rozmowy telefonicznej z pracownikiem lotniska we Frankfurcie? Niemcy twierdzili, że Selcuk został skazany na karę grzywny za to, że jego pies kogoś pogryzł. Nie zapłacił. Poszedł z urzędnikami do biura i stamtąd zadzwonił do brata. Ten jednak nie chciał za nic płacić i wyjaśnił urzędnikowi, że w żadnym razie nie powinien nas wypuszczać z kraju. Nie wiedziałem, czy to prawda. Ale mogłem sobie wyobrazić, że tak.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Selcuk nie przyjechał do Pakistanu i dlaczego już w Kandaharze Amerykanie tak dużo o mnie wiedzieli. Ten urzędnik musiał jakoś przesłać tę informację dalej, aż dotarła do Amerykanów. Powiedziałem Niemcom, że o tym telefonie nie mogłem nic wiedzieć, ponieważ od dawna siedziałem w samolocie.

- Myślę, że on nie chciał, żeby Selcuk pojechał, podobnie jak nie chcieliby tego moja matka czy mój brat. Nie wiem, dlaczego tak powiedział. Myślę,

że po prostu to zmyślił. Chciał nam przeszkodzić w wyjeździe do Pakistanu. Może nie wiedział, że ja siedzę już w samolocie i że wyrządza mi w ten sposób krzywdę, że wpędza mnie w kłopoty. Moi rodzice czy mój brat być może także wymyśliliby coś podobnego, by mnie zatrzymać.

Niemcy opowiedzieli mi, że dwaj uczniowie z mojej szkoły zeznali, iż pojawiałem się w szkole w dużym turbanie i opowiadałem, że chcę zostać bojownikiem talibów. Pokazywali mi ich zdjęcia. To byli Turcy.

Wyjaśniłem, że to byli ludzie, którzy zawsze pomawiali mnie, że jestem sutenerem. Odkąd skończyłem osiemnaście lat, we czwartki i piątki przyjeżdżałem do szkoły mercedesem ojca. Pracowałem wtedy jeszcze w dyskotekach, miałem krótkie włosy, goliłem się i nosiłem drogie ubrania. A ci dwaj ciągle swoje: gdzie jest ten jego mercedes? Na pewno rozprawdza narkotyki! Były to same oszczerstwa, które teraz w dalszym ciągu wygłaszają na mój temat. Nigdy nie mówiłem, że chcę zostać talibem i wojownikiem, nigdy nie chciałem jechać na żadną wojnę. Poza tym nigdy nie nosiłem turbanu.

- Zanim poleciał pan do Pakistanu, kupił pan sobie żołnierskie buty, spodnie i lornetkę...

Żołnierskie buty? Czy mieli na myśli moje KangaRoos, które zabrali mi policjanci w Pakistanie? Spodnie wojskowe? Kupiłem sobie spodnie z bocznymi kieszeniami i odpinanymi nogawkami, dostępne w każdym sklepie.

-A co do lornetki, to rzeczywiście miałem przy sobie zwyczajną lornetkę, bardzo małą, mieściła się w kieszonce na piersiach. Podarowali mi ją rodzice. Już jej nie mam.

Bolał mnie łokieć i co jakiś czas go sobie masowałem. Jeden z Niemców spytał, dlaczego to robię. Opowiedziałem o IRF-ach i o tym, że jeden z żołnierzy wykręcił mi rękę.

- Ale to jeszcze nic- dodałem i opowiedziałem im o torturach w Kandaharze, o elektrowstrząsach i łańcuchach, o podtapianiu i o izolatkach w Guantanamo, nawet o tej historii z kobietami.

Wszystko to chyba w ogóle ich nie interesowało.

- Proszę przejść do rzeczy - powtarzali za każdym razem, gdy mówiłem o torturach.

Wieczorem wróciłem do bloku Mikę. -Jak było? - spytał

Ebu Ammar.

- Miałem wizytę.

- Niemcy?

-Tak.

- Niemcy są znani ze sprawiedliwości. Nie martw się. Jeśli już tu przyjechali, żeby cię przesłuchać, to wkrótce przewiozą cię do kraju - powiedział Ammar.

- Może mnie też przesłuchają - rzekł Abid.

Jasne, pomyślałem. W końcu on też jest z Niemiec.

Tej nocy zastanawiałem się, co to wszystko dla mnie znaczy. Niemcy nie byli skłonni do pomocy. Próbowali mnie przechytryć. Pytałem ich, czy mam w Niemczech jakiegoś adwokata i czy wiadomo tam coś o mnie. Powiedzieli, że na takie pytania nie mogą odpowiadać.

Podobnie jak Amerykanie, oni także szukali jedynie dowodów mojej

winy.

Zawsze gdy mówiłem o torturach, zmieniali temat. Była to jednak prawda i musiałem o tym powiedzieć! Jako przesłuchujący z Niemiec musieli wszystko dokładnie zanotować, żeby powtórzyć to opinii publicznej, rządowi i mojej rodzinie. Czy sami nie powinni o to wszystko pytać? Ostatecznie jest jeszcze taśma, myślałem.

Byłem głęboko przekonany, że moja rodzina i opinia publiczna w Niemczech wiedzą już, że ci urzędnicy tu są. Była to z pewnością wizyta oficjalna.

Następnego dnia opowiedziałem im o Abidzie z Hamburga, moim sąsiedzie z bloku Mikę. Chcieli wiedzieć, kto to jest. Powiedziałem to, co o nim wiedziałem. Spytali, czy znałem go w Niemczech.

- Nie. Amerykanie nazywają go *Big German guy* - powiedziałem.

Abid przestał ich interesować.

W trakcie przesłuchania wychodzili i wracali, tak samo jak poprzedniego dnia. Może żeby się naradzić albo żeby zapalić, myślałem.

- Mamy tu wiele pytań, na które możesz odpowiedzieć tylko tak lub nie. Musisz odpowiadać szybko. Nie możesz się zastanawiać. Natychmiast mówić tak albo nie. Jasne?

-Jasne.

•Nosiłś kiedyś czarne buty?

-Tak.

•Oglądałeś filmy dla dzieci?

-Tak.

-Jesteś z Al-Kaidy?

-Nie.

Pytania pułapki, pomyślałem.

• Szybciej - powiedzieli. - Trzeba odpowiadać szybciej.

Pijesz wodę?

• Tak.

• Bolały cię kiedyś zęby?

-Tak.

• Kochasz matkę?

-Tak.

• Chciałeś być talibem?

-Nie.

• Kochasz ojca?

-Tak.

• Czy Selcuk opłacił twój bilet?

-Nie.

• Miałeś w domu jakieś zwierzę?

-Tak.

• Zajmowałeś się kiedyś materiałami wybuchowymi?

-Nie.

• Uważasz Osamę bin Ladeną za dobrego człowieka?

-Nie.

• Lubisz swojego brata?

• Tak.

• Lubisz Osamę?

I tak mniej więcej przez godzinę.

Silny blondyn mówił niewiele. Dwaj pozostali znowu wyszli, a on siedział. Gdy wrócili, chcieli wiedzieć, jakie mam plany na przyszłość, gdy wyjdę na wolność. Czy chcę pracować.

- Naturalnie, że chcę. Jak inaczej miałbym zarabiać pieniądze?

- Chcesz pracować dla nas, gdy wrócisz do Niemiec?

Zastanowiłem się.

- Co miałbym dla was robić?

- Wyszukiwać interesujące nas rzeczy. Obracasz się w określonych kręgach, do których inni nie mają dostępu.

- W jakich kręgach? Harleyowców?

Roześmiałem się. Miał oczywiście na myśli meczety i tab-lighów, zrozumiałem wreszcie.

- Mógłbyś być nam bardzo pomocny...

Chcieli, żebym dla nich szpiegował. Nigdy bym na to nie przystał, choćbym miał umrzeć z głodu. Ale może należy ostrożnie wybadać teren i nie *zrażać* ich do siebie?

- Jak miałyby wyglądać ta praca dla was? - zapytałem.

- Powiemy ci dokładniej, gdy przyjdzie co do czego. Ale mielibyśmy zaufanego człowieka (mówili o nim V-Mann), który codziennie lub co jakiś czas spotykałby się z tobą w umówionym miejscu.

Nie miałem pojęcia, co znaczy ten V-Mann, ale gdyby powiedzieli T-Mann albo X-Mann, tak samo kiwnąłbym głową.

- Tak - powiedziałem. - Bardzo dobry pomysł. Zróbmy

tak! Nie będę potem miał z panami kontaktu?

- Nie. Ale zawsze możesz spotkać się z V-Mannem, a on wszystko nam przekaże.

Tym razem wyszli wszyscy trzej. Po chwili wrócili.

- Panie Kurnaz, zakładamy, że pan nas oszukał. Jest jeszcze parę kwestii, które musimy wyjaśnić. Będziemy wtedy mieć mocne dowody przeciwko panu. Zobaczy pan. Pańska sytuacja wygląda niewesoło.

-Ale dlaczego? Przecież wszystko panom opowiedziałem! Wiecie przecież. Nie ma *rzeczy*, której byście o mnie nie wiedzieli!

- Mamy swoje własne dowody. I będziemy postępować stosownie do nich.
- Panowie doskonale wiecie, że nie mam nic wspólnego z żadnymi terrorystami!
- To wszystko. Wkrótce wracamy do Niemiec.

Wyszli, a mnie *escort-team* odprowadził z powrotem do bloku Mike.

-Widzisz, przyjechali tu tylko ze względu na ciebie. Gdyby chodziło im o przesłuchiwanie, to przecież wzięliby także mnie. Ale im chodziło tylko o ciebie. Niedługo będziesz w domu - mówił Abid.

W domu? Niedługo? Nie mogłem sobie wyobrazić, że rząd taki jak niemiecki nasyła na mnie ludzi ze służb specjalnych i utrzymuje to w tajemnicy. Teraz nie byłem już tego taki pewny. Ostatecznie zaproponowali mi, żebym był ich szpiegiem w Bremie.

Po tych dwóch dniach, gdy Niemcy przesłuchiwali mnie po dwanaście godzin dziennie, Abid został przeniesiony, a Amerykanie

zaczęli mnie przesłuchiwać jeszcze intensywniej. Dwa, trzy razy w ciągu dnia. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, o co pytali Niemcy i co odpowiadałem.

- Dlaczego opowiadałeś o torturach? - Ciągnęli mnie za włosy. - Narobisz sobie kłopotów!

Całymi dniami wypytywali, co mówiłem Niemcom, choć przecież wszystko wiedzieli.

- Dlaczego ich okłamywałeś?

Pytali również o *Big German guy*. Ale co ja miałem im jeszcze o nim powiedzieć?

Później odkryłem, że w Guantanamo było jeszcze dwóch więźniów pochodzących z Niemiec. Jeden był Tunezyjczykiem, drugi Algierczykiem. Algierczyk, którego brat do dziś mieszka we Frankfurcie, dał mi jego adres, na wypadek, gdybym wyszedł na wolność. Zabrali mi go jednak podczas następnej rewizji.

Pod koniec 2002 roku dowództwo w Guantanamo przejął generał Geoffrey Miller. Nasza sytuacja gwałtownie się pogorszyła. Przesłuchania stały się bardziej brutalne, częstsze, dłuższe. Pierwszym zarządzeniem naszego komendanta była operacja „piasek pod powiekami”. Oznaczało to, że każdy z nas co godzinę lub dwie przenoszony był do innej celi. Miało to całkowicie uniemożliwić nam sen. Generałowi udało się ten cel osiągnąć.

Przenoszono mnie z jednego bloku do drugiego. Przychodził *escort-team*, skuwał mnie, prowadził korytarzami, wpychał do nowej klatki, kazał klękać, wychodził. Godzinę później wszystko powtarzało się od nowa. Z obozu nr 1 z bloku Alpha przenoszono mnie do obozu nr 2, blok Echo, albo z obozu nr 1, blok Echo, do obozu nr 2, blok Bravo. Zakuwanie, rozkuwanie,

wstawanie, klękanie. I tak przez dwadzieścia cztery godziny. Ledwie wszedłem do nowej celi i położyłem się na pryczy, przychodzili znowu.

Moi sąsiedzi bardzo się temu dziwili, gdyż nie wszystkich więźniów traktowano w ten sposób. Później odkryłem, że operację tę stosowano równocześnie wobec pięciu osób w obozie. Ja znalazłem się w pierwszej piątce.

Myślę, że może dlatego, że nie chciałem przyznać się do winy.

Gdy *escort-team* opuszczał wreszcie moją klatkę, witałem się z sąsiadami, kładłem na gołej pryczy i próbowałem spać. Ale gdy tylko strażnicy zauważali, że leżę na pryczy albo siedzę z zamkniętymi oczyma, przychodzili, stawali w drzwiach i wrzeszczeli, dopóki nie wstałem. Wkrótce przestałem się witać z sąsiadami. Od razu padałem na pryczę i próbowałem się choć na moment zdrzemnąć, zanim znowu pojawią się wrzeszczący żołnierze i obudzą mnie krzykami lub biciem po twarzy. Czasami trafiało się jakieś dziesięć lub piętnaście minut, kiedy mnie nie obserwowali.

Pomiędzy tym wszystkim chodziłem na przesłuchania. W tym czasie przesłuchiwał mnie stale ten sam człowiek, ale trwało to znacznie dłużej niż zazwyczaj - myślę, że nawet do pięćdziesięciu godzin. W trakcie przesłuchania znikał czasem na długo. Siedziałem przez ten czas na krześle albo klęczałem na podłodze (byłem skuty), a gdy tylko powieki mi opadły, żołnierze kilkoma razami przywracali mnie do rzeczywistości. Pewnego razu spędziłem w tym pomieszczeniu ponad dwa dni, zanim doczekałem się powrotu przesłuchującego.

Mężczyzna powiedział, że mam go nazywać Nico. Zapytał, czy chciałbym zmienić swoją opowieść.

-Jeśli ją zmienisz, będę mógł ci pomóc.

Otwieranie klatki, klękanie, zdejmowanie kajdanek. *Escort-team* wychodzi, *escort-team* przychodzi, otwieranie klatki, klękanie, zakładanie kajdanek.

-Czy chcesz opowiedzieć mi coś interesującego? Zatroszczę się wtedy o spokojne miejsce do spania dla ciebie. Ciepłe, z materacem i kocem! - kusił Nico.

Dni i noce bez snu. Bicie, nowe klatki. Znowu w całym ciele to poczucie, jakby kłuły mnie tysiące igieł. Najchętniej wyszedłbym, ba, wyskoczył z własnego ciała! Ale nie dało się...

-Jeśli będziesz ze mną współpracował, to będziesz mógł spać w całkowitym spokoju, jak długo zechcesz - mówił Nico.

Nie wiedziałem już, do jakiego bloku szedłem. Czasami bez powodu cały się trząsałem. Czasami wydawało mi się, że jak we śnie widzę wszystkie swoje ruchy, dłonie, ręce i nogi.

- Przyzwyczailem się do metalowej pryczy - odpowie działem.

Nieraz słyszałem dzwonienie, którego w ogóle nie było. Czasami rozbrzmiewał mi w uszach jakiś tępy dźwięk i nie chciał zaniknąć.

- Zatrzymaj sobie to łóżko dla siebie, Nico!
- Okej. Jeśli sprawia ci to przyjemność, to będzie tak dalej... - odparł.

Gdy już nie mogłem wstawać o własnych siłach, przysłali po mnie IRF. Żołnierze powiedzieli, że będą mnie bić tak długo, aż sam wstanę i przejdę do kolejnej celi. Aleja byłam zbyt słaby. W głowie coś bezustannie mi wyło, jak syrena. Podnieśli mnie, ale nogi się pode mną uginały. W ostatnich

dniach tej operacji nosili mnie z klatki do klatki, z przesłuchania u Nico znowu do następnej. Przypominam to sobie, ponieważ czasami się budziłem.

Sądzę, że skończyli z tym, ponieważ strażnicy zanadto męczyli się wiecznym przenoszeniem mnie. Że mieli z tym za dużo pracy i stawało się to coraz większą karą dla nich, nie dla mnie. Gdy przyszedłem do siebie, razem z innymi więźniami liczyliśmy, jak długo to trwa. Wyliczyłem, że trzy tygodnie. Przez trzy tygodnie pozbawiano mnie snu. Ważyłem teraz nie więcej niż sześćdziesiąt kilogramów.

W izolatce klimatyzator nastawiany był raz na zimne, raz na gorące powietrze. Kiedy prowadzono mnie do karceru, nie wiedziałem, czy będę się trząsł, czy pocił. W kolejnych latach w obrębie obozu Delta byłem przenoszony z obozu nr 1 do obozu nr 2 i z powrotem. Oceniam, że razem spędziłem w obozie nr 1 jakieś osiemnaście miesięcy, i dłużej, około dwóch lat, w obozie nr 2. Pozostały czas spędziłem w blokach izolacyjnych Oscar, November i India oraz Romeo i Quebec, których izolatki wyłożone były plek-siglasem.

Te cele można by nazwać piecami. Słońce nagrzewa je od góry, prażąc blaszany dach, a przed południem i po południu promienie padają ukośnie, wprost na metal klatek.

Myślę, że w ciągu tych lat ponad rok spędziłem sam w całkowitej ciemności. Raz była to lodówka, raz piec. Zawsze dostawałem bardzo skąpe porcje pożywienia. Raz zdarzyło się, że siedziałem tam przez trzy miesiące bez przerwy.

Zasady izolacji zmieniały się co kilka miesięcy. Raz dostawałem na noc koc, który musiałem oddać rano, innym razem nie. Raz był jakiś materac,

innym razem nie. Jedzenie też raz było, raz nie.

Z kocem było tak: rankiem pojawiał się strażnik, któremu przez otwór w drzwiach podawałem złożony wcześniej koc. Nie brał go, tylko wzywał IRF i tłumaczył, że nie chcę oddać koca. Wtedy IRF wpadał do mojej celi i tłukł mnie na kwaśne jabłko. Z wielkim upodobaniem robili to zwłaszcza wtedy, gdy już prawie miesiąc dusiłem się w piecu lub marzłem w lodówce. Potem mogli powiedzieć: naruszyłeś zasady! Musimy cię ukarać. W ten sposób przedłużali mi izolatkę o kolejne cztery tygodnie.

Nie rozumiałem jeszcze, co chcą w ten sposób osiągnąć. Mogli mnie przecież od razu wsadzić na kilka miesięcy do izolatki. Po co jakieś preteksty? To przesłuchujący decydował, jak długo będę w odosobnieniu. To on mówił po przesłuchaniu strażnikom, że idę do izolatki na cztery tygodnie.

Wsadzali mnie, a kiedy miałem wychodzić, zawsze coś się działo: albo nie chciałem oddać koca, albo plułem na podłogę, albo obrażałem strażnika. W konsekwencji musiałem zostawać na kolejne cztery tygodnie. Sami ustanawiali przepisy. Nieważne, co mówiły papiery, wiecznie przez nich z taką starannością wypełniane.

Kiedyś pomyślałem, że może chodzi właśnie o te raporty. Być może pisali, że dostałem koc, ale nie chciałem go oddać, więc zarządzono karę, gdyż było to niezgodne z przepisami. Należało wtedy wezwać IRF i przywołać więźnia do porządku. I dołożyć mu miesiąc izolatki, bo tak się karze za niesubordynację. Proste! Cóż mogli na to poradzić? Przecież więzień powinien oddać koc! Gdybym to czytał, wszystko byłoby logiczne, myślałem w ciemnościach i w zimnie lub w upale. Jeśli ktoś w ogóle czytał te raporty, to zapewne tak właśnie to rozumiał. I ten ktoś nigdy nie

dopuszcili by do siebie myśli, że strażnicy oszukują.

Doprowadzało mnie to do obłądu. Im dłużej o tym rozmyślałem, tym bardziej byłem zły. Nie sądziłem bowiem, żeby strażnicy robili to z jakichś niecznych pobudek, ze złościwości. Nie. To była po prostu naczelna zasada funkcjonowania obozu. Zwierzchnicy musieli stworzyć prawo, aby móc powiedzieć: mamy jasne i sprawiedliwe przepisy. Ale o naczelnej zasadzie, każącej wszystkie te przepisy łamać, nie dowie się nikt. Mnie na przykład przedstawiano by jako tego, który regularnie łamie przepisy. Bardzo dużo o tym rozmyślałem w ciemnościach.

Zabrali mi wolność, zabrali mi część młodości, najcenniejszy i może najważniejszy czas w życiu. Zabrali mi rodzinę, paszport i wszelkie prawa, zabrali mi słońce i sen, każąc

mi gnąć w lodówce lub w piecu. Gdybyśmy mogli żyć bez jedzenia, to i tego by nam nie dawali. Otrzymywaliśmy tylko tyle, by jakoś utrzymać się przy życiu. Jedynym, co mi jeszcze zostało, było powietrze, którym oddychałem. Przynajmniej tego cuchnącego rdzą i dieslowskim generatorem powietrza nie mogli mi zabrać, myślałem. Myliłem się.

Miałem iść właśnie na *rec-area*, żeby pospacerować. Eskortowali mnie dwaj żołnierze: biały i ciemnoskóry. Wszedłem na dziedziniec-klatkę, przeszedłem jakieś sześć, siedem kroków, gdy biały żołnierz zawołał:

- Wracaj, wychodzisz! Idziesz do klatki!
- Ale dlaczego? Przecież dopiero co tu przyszedłem!
- Twój czas minął - powiedział biały żołnierz i uśmiechnął się. - Tutaj ja decyduję. I ja ci mówię, że wracasz do klatki.
- Okej - powiedziałem.

Skuli mnie i odprowadzili do klatki. Nie posiedziałem tam długo, gdy znowu zjawił się ten biały żołnierz.

- Chcesz się wykąpać?

Może chce mnie w ten sposób przeprosić, pomyślałem.

- Okej, możesz się wykąpać - powiedział.

Zaprowadzili mnie do kabiny prysznicowej i zdjęli kajdanki. Ale zrobili to samo, co przy spacerze. Biały żołnierz odkręcił wodę, gdy się jeszcze rozbierałem, a kiedy wchodziłem pod prysznic, zakręcił ją, mówiąc:

- Twój czas minął.

Zaczęli się śmiać.

- Idziesz z powrotem do klatki.

188 - Okej, idę do klatki. Ale ta klatka to jeszcze nic. Zobaczysz, jak będzie wyglądała twoja klatka w piekle!

- Nie wierzę w takie kretyństwa! - powiedział biały. - Zamknij się!

Zakuli mnie znowu i ruszyliśmy w stronę klatki. Inni więźniowie już się modlili. Strażnicy zaczęli gwizdać i uderzać butami o wybrzuszenia blachy, żeby z hukiem odskakiwała. Potem ten, który mnie prowadził, zaczął biec bardzo szybko, ciągnąc mnie za sobą raz w jedną, raz w drugą stronę. Ciemnoskóry biegł za mną. To mnie rozwścieczyło, nie mogłem się opanować.

Stałem.

- Nie przystawać!

- Przestań mnie ciągać we wszystkie strony!

- Naprzód!

Znowu pociągnął mnie w lewo, potem w prawo.

Tego już było za wiele.

Mimo że miałem ręce związane na brzuchu, błyskawicznie chwyciłem jego dłoń, potem rękaw, i dobieierałem się do ramienia. Z nadgarstków płynęła mi już krew, ale było mi wszystko jedno. Chciałem mu pokazać, że mogę go wykończyć, niezależnie od tego, czy mam kajdanki, czy nie. Trzymałem go już za kołnierz. Próbował użyć chwytu dzudo: podciągnął nogę przed moje biodra, żeby wykonać przerzut. Ale ja wskoczyłem związanymi nogami na jego uniesioną łydkę i rzuciłem go przez biodro na ziemię. Upadł na plecy. Powaliłem go tym samym chwytym, który chciał zastosować wobec mnie. Rzuciłem się na niego i głową uderzyłem w nos. Natychmiast zaczęła płynąć krew. Zaczął jęczeć. Wtedy kolaniem walnąłem go w żebra.

Wszystko to odbyło się bardzo szybko. Ciemnoskóry strażnik ciągnął mnie za włosy, ale nie udało mu się oderwać mnie od leżącego. Kopał mnie w głowę i w ramiona, ale nic nie wskórał. Pobiegł dokądś.

Gdy wrócił, usłyszałem głos sierżanta bloku:

- Stop! Przestań! Zostaw go!
- Okej - powiedziałem. - Zostawię go. Ale pod warunkiem, że się zamknie! Wtedy go puszcze.
- Obiecuję ci to - powiedział sierżant.

Puściłem żołnierza.

Ledwie się podniósł, przewrócił mnie na ziemię i usiadł na mnie. Sierżant i inni żołnierze usiedli mi na stopach i rękach, przyciskając mi ramiona i głowę do ziemi.

Ktoś krzyknął:

- Załatwiają Murata!

Więźniowie zaczęli wrzeszczeć i stanęli przy drzwiach swoich klatek.

-Już w porządku! - zawołałem. - Nic mi nie jest!

Blok nieco się uspokoił. Strażnicy wepchnęli mnie do klatki. Żołnierz z rozkrwawionym nosem zamknął drzwi.

- Nie jesteś mężczyzną! Potrafisz tylko głądzić. Pobiłem cię, choć miałem na sobie kajdanki i łańcuchy - powiedziałem.
- Nie pobiłeś mnie, w ogóle nie możesz mnie pobić!
- Co w takim razie zrobiłem?

Umyłem ręce i nogi, a następnie spróbowałem usunąć plamy krwi z koszulki i spodni. Potem przygotowałem się do modlitwy. Skłoniłem się i zacząłem. Wiedziałem, co za chwilę nastąpi.

IRF wyciągnął mnie z celi i wyprowadził korytarzami. Tam czekali na papiery, żeby móc wysłać mnie do izolatki. Rzucili mnie na ziemię i otoczyli.

- Tak teraz będzie - powiedział żołnierz z wciąż czerwonym nosem.
- Nadal nie jesteś mężczyzną - odpowiedziałem.

A potem niewiele już czułem. Półprzytomnego zanieśli mnie do bloku India.

To był pierwszy dzień ramadanu 2003 roku.

Izolotka była taka sama jak zawsze, wyłożona tymi jarmarcznymi blachami. Nigdy jeszcze nie byłem w India. Dziwiłem się, że nie jest chłodno. Natychmiast jednak zauważyłem, że coś nie gra. W środku nie było powietrza! Nie pracował klimatyzator nad drzwiami, a powietrze mogło wpadać do celi wyłącznie za pośrednictwem klimatyzatora.

Najzwyczajniej w świecie odcięli mi dopływ powietrza!

Podszedłem do górnego otworu w drzwiach, ale nie udawało mi się przesunąć klapy. Czyżbym już był za słaby? A może klapa była tu stabilniejsza niż w innych celach? Po kilku próbach zrezygnowałem. Zbyt dużo tlenu zażywałem. Ściany pokryte były wilgocią, było gorąco.

Podszedłem do ściany celi, żeby sprawdzić, czy mam jakiegoś sąsiada. Przyłożyłem ucho do ściany w miejscu, gdzie spaw wyglądał na słabszy. Wiedziałem już, że musimy porozumiewać się cicho, bo w przeciwnym razie rozpylą gaz drażniący. Często w izolatkach w ogóle nie miałem sąsiada, żebym nie miał z kim rozmawiać.

- *Salam alejkum* - powiedziałem.

Cisza. Znowu podszedłem do ściany.

- *Salam alejkum?*

-*Alejkum salami* Kim jesteś?

-To ja, Murat!

-Jaki Murat?

- Murat, Turek. Turek z Niemiec...

- Dawno cię nie słyszałem! Co u ciebie?

Rozpoznałem ten głos. To był mężczyzna, którego widziałem w X-Ray. Ten sam, który ważył niespełna czterdzieści kilogramów i czekał na śmierć.

- Czy ty jesteś Daud? Abu Daud?

- Tak...

Nagle uchylła się klapa i w celi rozpylono gaz.

- Spokój! Nie wolno rozmawiać!

Gaz gryzł mnie w oczy, ale byłem zaciekawiony. Cieszyłem się, że jeszcze

żyje. Chciałem się dowiedzieć, czy przybrał na wadze, ale nie mogłem mówić, bo zanosilem się od kaszlu i brakowało mi powietrza. Przez kilka godzin nie zdołałem wydobyć z siebie słowa. Za każdym razem, gdy próbowałem coś powiedzieć, zaczynałem kaszleć i potrzebowałem powietrza. Piłem cuchnącą chlorem wodę - ale nic nie pomagało. Gaz nie miał którejdy ujść. Cella musiała być całkowicie szczelna. Słyszałem, że Dauda co pół godziny stuka i pyta:

- Murat! Murat? Jesteś tam jeszcze?

Kłapa znowu się uniosła, ale nic się nie stało. Chcieli tylko zobaczyć, co robię. Do środka napłynęło trochę świeżego powietrza i poczułem się lepiej. Po chwili spróbowałem znowu porozmawiać z Daudem. Bardzo cicho, bo następnej porcji gazu już bym nie wytrzymał. Udusiłbym się. Zastukałem w ścianę.

- Murat? Jesteś jeszcze?

Abu Daud przybrał na wadze. Byłem naprawdę szczęśliwy, że mu się polepszyło. Nie mogłem więcej mówić, bo zaczynałem kaszleć. Nie miałem już siły, aby utrzymać się na nogach ani żeby rozmawiać. Położyłem się. Po chwili niemal zabrakło mi powietrza. Usiadłem na podłodze; może trochę łatwiej było mi tam oddychać, ale trudność sprawiało mi już samo siedzenie. Położyłem się i przytknąłem nos do szczeliny między ścianą a podłogą. Myślałem sobie, że musi tamtędy przepływać jakieś powietrze, bo nie było gumowej uszczelki. Oddychałem bardzo powoli, ale oddech stawał się bolesny. Czulem, że powietrze staje się coraz cięższe. Miałem zawroty głowy.

Nie wiem, czy tam zemdlałem. Może tak, a może zasnąłem. Nieraz budziłem się, kiedy strażnicy podchodzili do drzwi i uchylali kłapę.

Napływało nieco powietrza.

- Tak, jeszcze żyje.

- Okej, zamknij.

Leżałem tak, aż przyszli ponownie, po kilku godzinach. Postanowiłem tym razem nie otwierać oczu, żeby do celi wpłynęło przez klapę trochę więcej powietrza. Podnieśli klapę.

- India-2! Obudź się!

Podeszli do drzwi. Słyszałem, jak zamykają klapę i odchodzą.

Potem usłyszałem tupot butów większej liczby strażników. Klapa znowu się podniosła, a ja nadal leżałem z zamkniętymi oczami.

- Obudź się!

Było to jak uderzenie w twarz. Puścili mi na twarz strumień wody pod dużym ciśnieniem. Woda wdarła mi się do nosa i ust. Szybko wyskoczyłem w górę. Było mi wszystko jedno, ile jest powietrza. Szlauch umieszczony był w okienku. Usłyszałem, jak strażnicy się śmieją. Przewróciłem się, strumień wody przycisnął mnie do ściany.

Skończyło się. Strażnicy odeszli. Podłoga była cała zalana wodą. Położyłem się na pryczy, ale tu nie było czym oddychać. Położyłem się więc znowu na mokrej podłodze, gdzie oddychało mi się nieco łatwiej. Woda odpływała bardzo powoli.

Trwał ramadan. Wieczorem dostawałem kromkę chleba to-stowego i kilka małych marchewek lub ćwiartkę jabłka. Raz ćwiartkę gruszki. Myślałem o tym, jak w domu podczas ramadanu wieczorem się objadaliśmy. Powietrza było coraz mniej. Straciłem przytomność.

Obudziłem się, gdy przyszli strażnicy. Klapa się otworzyła, zaświeciło się

czerwone światełko. Napłynęło trochę powietrza. Czasami wstawałem do modlitwy, ale nie wiedziałem, kiedy jest właściwa pora. Po głowie krążyły mi różne

myśli. Głównie o jedzeniu. Przypominałem sobie, że często na śniadanie zjadałem całe opakowanie chleba tostowego z kielbasą i żółtym serem. Teraz trzy razy dziennie otrzymywałem zaledwie po jednej kromce. Myślałem o rodzinie. Z pewnością świętowali teraz ramadan w Hemelingen. Ale co mama mogła podawać na śniadanie?

Byłem nieprzytomny. Kłapa uniosła się; otworzyłem oczy i zauważyłem, że bardziej niż jedzenia i picia potrzebuję powietrza.

Powietrza, tylko powietrza.

Trzeciego dnia Święta Cukru po ramadanie otworzyły się drzwi.

Gdy wyszedłem, był wieczór. Więźniowie z obozu nr 1 śpiewali muzułmańskie pieśni. Strażnicy stawali pod drzwiami, grozili, mówili im, żeby przestali, ale oni śpiewali dalej. W korytarzu napotkałem żołnierza, którego pobiłem. Nosił ciemne okulary i udawał, że nie zwraca na mnie uwagi. W drodze do klatki witali mnie inni więźniowie.

- Gdzie byłeś?
- Izolotka.
- Który blok?
- India.
- Cały ramadan?

W India-2 spędziłem trzydzieści trzy dni.

System Guantanamo został jeszcze udoskonalony. Rozumiałem teraz, że w każdym momencie swego życia miałem się czuć tak nędznie, tak

rozpaczliwie, jak to tylko możliwe. *Maximum discomfort*- powiedzieliby Amerykanie. Pozbawiali mnie wszystkiego, co mogłoby mi pomóc przyzwyczać się do sytuacji: snu, koca, czasu, ruchu, jedzenia, powietrza. Ledwie zdążyłem przywyknąć do nowych sąsiadów, przechodziłem do innej klatki lub do izolatki. Przez całą dobę

Amerykanie wywierali na nas silną presję. Próbowali odseparować nas od tego, co mogłoby dać nam siłę i zaufanie. Z tego powodu byliśmy stale przenoszeni i przesłuchiwani. Dlatego wyszydzali naszą wiarę i próbowali oddzielić nas też od Allacha. Abyśmy porzucili wszelką nadzieję na wyjście z tego piekła. Mieliśmy stać się tak słabi i mali, jak to tylko możliwe, aby mogli usłyszeć od nas podczas przesłuchań to, czego oczekiwali. Albo żeby nas po prostu złamać. Ja nie utraciłem nadziei. Nie tracić nigdy nadziei - to zasada mojej wiary. Mogę wyjść na wolność, jeśli tak zechce Allah.

Pewnego dnia znowu zaprowadzono mnie do kontenera zarezerwowanego dla zagranicznych przesłuchujących. Za stołem siedział jasnowłosy silny Niemiec. Dwaj pozostali nie przyjechali. Obok Niemca siedział jakiś Amerykanin. Blondyn położył stopy na blacie stołu i patrzył w ekran laptopa. Obok leżały niemieckie czasopisma dla motorowerystów. Ucieszyłem się. Przywiózł mi je, pomyślałem, bo poprzednim razem opowiadałem mu, że lubię jeździć motorowerem. Byłem przykuty do krzesła, a on nie przywitał się ze mną. Pokazał Amerykaninowi coś na ekranie. Potem zaczęli o czymś szeptać.

Trwało to jakieś dwie godziny. Siedziałem na krześle i czekałem. Nic do mnie nie mówili, a czasopisma leżały zbyt daleko, bym mógł je choćby przekartkować. Nagle Niemiec uniósł głowę i popatrzył na mnie.

- Tak, panie Kurnaz. Teraz, po tak długim czasie - minęły

niemal dwa lata od naszego poprzedniego spotkania - znowu miał pan okazję udowodnić mi swoją niewinność, ale zmarnował pan tę szansę. Nie wykorzystał pan tego czasu, niestety.

- Myślałem, że będzie mnie pan pytał.
- To dobrze pan myślał. Dzisiaj już takiej możliwości nie ma. Będzie pan jeszcze miał szansę jutro. Ostatnią szansę. Ale mam niewiele czasu. Proszę się dobrze zastanowić, co mi pan powie.

Potem wyszedł.

Następnego ranka zaprowadzono mnie tam znowu. Blondyn siedział przy stole i bez słowa wkładał CD-Rom do laptopa. Wstał i wskazał mi zdjęcia na ekranie. Fotografie Selcuka, najprawdopodobniej wykonane z ukrycia. Na jednej Selcuk modlący się w meczecie. Zdjęcie było zrobione od dołu - może zegarkiem, może telefonem komórkowym, pomyślałem. Na innym Selcuk siedział na tle swoich drzwi balkonowych w podkoszulku i ziewał. Na następnym rozmawiał z jakimiś chłopakami, a na kolejnym wchodził do meczetu.

- Nadal chciałby pan z nami współpracować?
- Tak - odpowiedziałem.
- Okej. Zawiadomimy pana. Prawdopodobnie coś z tego będzie. Ale żeby to mogło dojść do skutku, musi nam pan wszystko opowiedzieć.

Wcisnął jakiś guzik w laptopie. Potem położył nogi na stole i założył ręce za głowę.

- Proszę o niczym nie myśleć. Jest pan w końcu na jednej

z wysp karaibskich. Niech się pan odpręży.

Zamknął laptop, wstał i podszedł do drzwi. Raz jeszcze się odwrócił.

-Jeśli pan chce, może pan sobie poprzeglądać pisma motorowerowe.

Rzuciłem na nie okiem. Były z kwietnia 2004 roku.

Czasami do bloków przychodziły iguany. Jedna z nich wspinała się po kracie mojej klatki. Karmiłem ją okruszkami, jadła mi z ręki. Potem spała w rurze nad moją klatką. Widziałem rankiem, jak wyskakiwała. Czasami przychodziły kraby lądo-196 we i bardzo małe raki. One także lubiły chleb.

Strażnik przy-

łapał mnie, gdy karmiłem iguanę. Oznaczało to dziesięć dni izolatki.

Najłagodniejsza kara.

Usłyszałem dzikie krzyki. Wiedziałem, że może to być tylko kolejna historia z Koranem. Jeden ze strażników wziął Koran, rzucił go na podłogę i podeptał. Z któregoś z bardziej oddalonych bloków dochodziło tylko wycie, ale wszyscy wiedzieli, co się stało. Tego samego wieczoru jeden z więźniów podarł swój T-shirt i próbował się powiesić.

Słyszałem nerwową bieganinę strażników w naszym bloku, słyszałem IRF-y i czułem gaz. Więzień został natychmiast wyprowadzony. Niektórzy grozili samobójstwem, jeśli Koran znowu zostanie zbezczeszczony. W ten sposób zaczął się kolejny strajk głodowy. Wiadomość o nim podawana była z bloku do bloku. Było jasne, że niemal wszyscy wezmą w nim udział.

Ja nie jadłem przez dwadzieścia dni. Przez ostatnie dwie lub trzy doby nie piłem też wody. Nie miałem już siły odkręcić kurka, który trzeba było

mocno przycisnąć. Próbowałem jeszcze robić dwa kroki w celi, ale i na to szybko zabrakło mi sił. Głodowanie przychodziło mi z coraz większym trudem, ponieważ niektórzy moi sąsiedzi z bloku zaczęli już jeść. Czułem zapach jedzenia, nawet jeśli było zimne lub ledwie letnie. Walczyłem ze sobą, ale postanowiłem, że wytrzymam. Nie istnieją w tej sprawie żadne nakazy wiary. Chciałem jednak, by skończyło się bezczeszczenie świętej księgi. Przesłuchania trwały także podczas strajku głodowego.

Gdy stawałem się coraz słabszy, przychodzili i kładli mnie na noszach. Nieśli mnie do ambulatorium. Wczepiałem się palcami w nosze, a całe moje ciało się skręcało. Bałem się, że obetną mi którąś kończynę. Pojawili się dwaj mężczyźni. Na piersi jednego z nich dojrzałem identyfikator, na którym wyczytałem słowo: „Doktor”. Przestraszyłem się nie na żarty.

- Będiesz jadł czy nie? - spytał lekarz.

-Nie.

Zakneblowali mnie i wsunęli mi rurkę w nos. Kilka razy musieli przerywać, bo rurka wypełniała się krwią. Zanieśli mnie na przesłuchanie. IRF zaczął mnie bić, gdy jeszcze leżałem na noszach.

Wróciłem do bloku. W czasie mojej nieobecności jeden z emirów rozmawiał z generałem. Ustalili, że z cel zostaną zabrane wszystkie egzemplarze Koranu, gdyż niektórzy więźniowie doprowadzili się głodówką do groźnego stanu. Pomyślałem, że to dla Amerykanów za duży wysiłek, by utrzymywać nas przy życiu za pomocą tych rurek. Emir pertraktował, a propozycje generała były dyskutowane w każdym bloku. Dzięki temu wszyscy więźniowie, wyjąwszy trzech lub czterech, zaczęli przyjmować pokarmy. Drugi punkt umowy mówił o tym, że podczas naszych modlitw nie będą puszczać głośno swojego hymnu państwowego.

Trzecim warunkiem było, że mamy dostawać gotowane potrawy. Po strajku głodowym przedstawili nam kartę dań, w której wypisane były nazwy egzotycznych potraw. „Kurczak po tajsku”, „baranina w sosie curry”, „tureckie roladki paschalne”. Gdy jednak dostaliśmy swoje porcje, okazało się, że to to samo, co wcześniej: warzywa i chleb lub półtwardy ryż z kawałkami owoców. Jeśli w menu była „pierś kurczaka na sposób śródziemnomorski”, to na talerzu leżały jedynie twarde kartofle i dwa wysuszone kawałki kurczaka.

Jadłem, co dawali. Przez dwa dni. Potem już nie mogłem. Kiedy szedłem do toalety, sikałem krwią. Bolało mnie całe ciało, dostałem wysokiej gorączki. Prawie nie mogłem się poruszać. Nawet mówienie sprawiało mi trudność. Mój sąsiad - Nuri, elektryk z Izmiru, którego nie widziałem od lat - powiedział strażnikom, że źle się czuję.

- Nuri, nie chcę do ambulatorium. Nie mów im, żeby mnie tam zabrali.
- Murat, musisz się leczyć.
- Żeby mi obcięli rękę albo nogę? Nie! Nic im nie mów.
Zostanę tutaj!

Gdy przyszli strażnicy, Nuri powiedział im, że jestem jeszcze nieco osłabiony po głodówce i śpię. Drugiego lub trzeciego dnia, gdy dostałem wysokiej gorączki, przestałem w ogóle wstawać z pryczy. Chciałem powiedzieć coś Nuriemu, ale mi się nie udało. Nie mogłem nawet odwrócić głowy.

Czułem, że umieram.

- Murat? Słyszysz mnie jeszcze?

Późną nocą znowu mnie wołał.

- Murat...

Nie miałem siły mówić.

- Słuchaj, Nuri. To już nie ma sensu. Kiedy wyjdiesz na wolność, powiedz mojej rodzinie, jak umarłem.

Nuri uderzył pięścią w siatkę. Płakał. Potem nastąpiła cisza.

Do dziś nie wiem, na co wtedy chorowałem. Myślę, że mój organizm nie mógł się samodzielnie oczyszczać po strajku głodowym. Niemal nie chodziłem do toalety. Może organizm był po prostu zatruty, a może nie mógł już przyjmować pokarmów. Musiałem leżeć jeszcze kilka dni w celi. Przypominam sobie, że czasami otwierałem oczy i patrzyłem w sufit. Widziałem, że jest dzień lub noc. Nic więcej nie pamiętam.

Obudziłem się na noszach w ambulatorium.

Nade mną wisiała butla z przezroczystym płynem. Był na niej napis „IV”. W ramię miałem wbity igłę. Byłem słaby i wszystko mnie bolało. Nie widziałem nikogo, tylko pikające urządzenie. Ręce i nogi miałem skute nowymi kajdankami.

Czułem się bardzo lekki. Nagle odłączyli mnie od kroplówki. Ktoś zadawał mi pytania. Czy chorowałem jako dziecko. Jakie przebyłem choroby.

Siedziałem, jadłem. Przeżyłem.

Słyszałem nawet muzykę.

Strażnicy słuchali rocka.

Od czasu operacji „piasek pod powiekami”, kiedy zaostrzył się rygor przesłuchań i izolatek, każdy więzień wiedział, kim jest generał Miller i co mu zawdzięczamy. Często szybkim krokiem przechodził przez bloki w

grupie oficerów, uśmiechając się tak szeroko, jakby był niezwykle zadowolony. Był to starszy mężczyzna, wysoki i nie całkiem już szczupły. Obchodził blok w swoim mundurze z mnóstwem gwiazdek na pagonach i rozdawał monety strażnikom oraz sierżantom. Jeden z sierżantów tak był tym uradowany, że pokazał otrzymaną monetę któremuś z więźniów. Zawołałem podoficera i spytałem, czyja również mógłbym zobaczyć monetę.

- Moneta od generała! Dał mi ją, bo jestem dobry! - powiedział.
- Naprawdę? Od generała Millera?
- Tak - odrzekł i zamknął klapę.

Wcisnął mi tę monetę do ręki. Było na niej wypisane nazwisko generała: Geoffrey Miller. Pod spodem: Guantanamo. Były też gwiazdy i sentencja: „Generał Miller pomaga czynić świat lepszym”. Wrzuciłem ją do toalety i spuściłem wodę.

- Co ty robisz?! - krzyknął sierżant.

Natychmiast wybiegł i wrócił w eskorcie IRF-u. Gdy skończyli ze mną, próbowali odnaleźć i wyłowić z rury kanalizacyjnej monetę. Oczywiście powędrowałem do izolatki.

Siedziałem już kilka dni na pryczy, gdy zauważyłem, że strażnicy pozostawili otwartą klapę, by przechodząc, móc zerkać do środka. Usłyszałem w korytarzu kroki i wyjrzałem na zewnątrz. Wszystkie klapy były poodchylane. A potem usłyszałem, jak jeden z więźniów woła po arabsku:

- Uwaga, idzie Miller! Jeśli ktoś z was chce mu zrobić prezent, to niech się szybko przygotowuje i da mu go teraz!

Klapy były więc pootwierane ze względu na wizytę Millera.

To była komenda. Wiedziałem, co może się teraz zdarzyć.

Generał Miller przyszedł na inspekcję bloku Oscar; obok niego szedł inny generał lub wysoki oficer i kilku kapitanów.

Gdy doszli mniej więcej do połowy korytarza, pierwszy więzień obrzucił Millera fekaliami, które przygotował w jakiejś misce albo opakowaniu po porcji obiadowej. Trafił. Generał krzyknął, osłonił dłońmi twarz i odwrócił się od drzwi. W tym samym momencie z celi naprzeciwko otrzymał podobny prezent. Pobiegnął korytarzem w dół, na koniec bloku. Po drodze wszyscy rzucali w jego stronę swoje pojemniki. Inni oficerowie próbowali osłaniać generała, a kapitan, który stanął przed nim i zasłonił go własną pierś, został oszczędzony.

Otrzymaliśmy za to niezwykle łagodną karę. Przez kilka dni nie dostawaliśmy chleba testowego, a izolatkę przedłużono nam o miesiąc. Co mieli z nami zrobić, jeśli nie chcieli nas uśmiercić?

Kilka tygodni później zobaczyłem Millera w bloku obozu nr 1. Jak zwykle dumnie kroczył korytarzem.

- Co tak arogancko chodzisz? Każdy wie, że żarłeś gów no w Oscarze - powiedział jeden z więźniów najczystsza an gielszczyzną.

Generał poczerwieniał i przyspieszył kroku.

- Nazywasz się Miller? Mamy dla ciebie lepsze nazwisko: pan Klozet!

Więźniowie się śmiali. Tego wieczoru cały blok nie otrzymał jedzenia, a przez następne czterdzieści dni wszyscy dostawali połowę porcji.

Od tamtej pory generał Miller miał wśród więźniów nowe nazwisko.

Z upływem czasu stwierdziłem, że wśród strażników są tacy, którzy traktują nas jak ludzi. Pewnego dnia jeden z nich przyniósł mi papier toaletowy. Popatrzył na mnie i powiedział:

- Wiem, że wasz Bóg daje wam siłę.

-Jesteś muzułmaninem? - spytałem.

- Nie - odpowiedział. - Ale widzę przecież. Tak długo już siedzicie w tych malutkich klatkach, w których człowiek teoretycznie nie powinien długo wytrzymać. Czasem o tym rozmawiamy. Modlicie się i wasz Bóg wam pomaga. Inaczej byście się przecież przejechali na tamten świat. Gdybym to ja musiał żyć w takiej klatce, po kilku dniach byłbym chory.

Bardzo mnie to zdziwiło.

Od pewnego czasu obserwowałem również pewnego starszego strażnika. Zawsze gdy kogoś bito, trzymał się z tyłu i nie brał w tym udziału. Nawet gdy został przydzielony do IRF-u, stał tylko przed klatką i nie bił więźniów. Pozostali żołnierze psioczyli na niego, ale on potrząsał głową.

Pewnego dnia zagadnąłem go:

•Chciałbym cię o coś zapytać.

•Proszę...

- Dlaczego nie bierzesz udziału w tym wszystkim?

-Jestem człowiekiem, a to, co tu się dzieje, jest niehumanitarne - powiedział.

Zrobiło to na mnie wrażenie.

Wyznał mi, że miał przyjaciela, który był w Wietnamie i tam dostał się do niewoli. Gdy wrócił, opowiadał mu o więzieniu i o torturach.

- Wiem, co przeżył mój przyjaciel. To nie ma prawa się powtórzyć. To

niepojęte, że nasz rząd robi z wami dokładnie to samo, co Wietnamczycy robili z więźniami amerykańskimi. To okropne!

Spotykałem go jeszcze kilkakrotnie w różnych blokach, ale nie miałem możliwości więcej z nim porozmawiać.

Był jeszcze jeden strażnik, miał może trzydzieści pięć lat. Gdy roznosił jedzenie, zawsze mnie pytał, czy chcę dostać dodatkową porcję. Z nim również rozmawiałem kilka razy. Ten całkiem otwarcie mówił, że nie podoba mu się to, co się dzieje w Guantanamo. Decyzję o wstąpieniu do armii podjął dawno temu, ale gdyby wiedział to, co wie teraz, nigdy by się z wojskiem nie wiązał.

-Gdy tu przybyłem, przełożeni powiedzieli nam, że wszyscy jesteście mordercami i terrorystami. Pokazywali nam filmy o jedenastym wrześniu i przygotowywali do tej pracy przez kilka tygodni. Ciągłe nas przekonywali, że jesteście naprawdę niebezpieczni. Początkowo w to wierzyłem, ale później zobaczyłem, jak się modlicie, jak czytacie Koran. Stwierdziłem, że wielu z was to serdeczni, mili ludzie. Można wam nawet zaufać. Nie bierzecie narkotyków, nie kradniecie, nie zdradzacie. Tego wszystkiego wcześniej nie wiedziałem. Dzielicie się jedzeniem, chociaż wszyscy jesteście bardzo wygłodzeni - powiedział.

Na jego ramieniu widniała opaska MP - *Military Police*. Nosili je wszyscy strażnicy, ale ten był inny. Mówił na przykład, że prezydent Bush zniszczył wizerunek Ameryki w świecie.

-Teraz znam prawdę. Zobaczyłem ją na własne oczy. Mam do odświadczenia jeszcze kilka dni. Potem koniec z armią - powiedział.

Ostatniego dnia miał dyżur w moim bloku. Przyszedł do mnie i powiedział:

- Murat, mam jeszcze tylko dwie godziny! - Był bardzo podekscytowany.

Potem znowu przyszedł i powiedział:

-Jeszcze tylko godzina.

Gdy mijał czas jego służby, przyszedł znowu, stanął przed drzwiami mojej klatki i patrzył na zegarek. Kilku innych strażników stało z boku. Zawołał ich.

- Hej, patrzcie, co teraz zrobię!

Strażnicy podeszli bliżej, a on spojrzał na zegarek i zaczął odliczać:

- Pięć, cztery, trzy, dwa...

Gdy mówił „zero”, ściągnął z ramienia opaskę, wykonując taki ruch, jakby chciał się nią podetrzeć. Następnie ku oburzeniu pozostałych żołnierzy rzucił ją na podłogę i podeptał.

- Nie jestem już MP!

Skakał po niej jak strażnicy po Koranie.

- Zobaczcie, od dawna chciałem to zrobić!

Nie wiem, czy został za to ukarany. Wieczorem jeszcze raz podszedł do mojej klatki i usiadł w kucki przed drzwiami.

- Przykro mi, miałem nadzieję, że wyjdiesz na wolność.

Przyszedłem się z tobą pożegnać.

Miał łzy w oczach.

- Spróbuję wam pomóc, gdy będę już w Ameryce.

Włożył palce między oka siatki. Pożegnaliśmy się. Podziękowałem mu za przyjaźń i za porcje, które dawał mi dodatkowo.

Niestety nigdy go nie spytałem, jak się nazywa.

We wrześniu 2004 strażnik przyniósł mi do klatki list. Było tam napisane, że mam zostać postawiony przed trybunałem wojskowym w Guantanamo. Miałem iść pod sąd? Po tak długim przetrzymywaniu i tych wszystkich przesłuchaniach? Nazwali ten sąd *Combatant Status Review Tribunal*. Miał on stwierdzić, czy jestem wrogiem bojownikiem. Aleja przecież nigdy nie walczyłem! Może sędziowie doszliby do tego samego wniosku - i uwolnili mnie? W liście stało wyraźnie: „George W. Bush, Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, przeciwko Muratowi Kurnazowi, wnioskodawcy”.

Dwa tygodnie później zabrano mnie. Rozprawa miała miejsce w pomieszczeniu, w którym odbywały się przesłuchania. Czy to była jakaś sztuczka? Nie. Nie było przesłuchujących. Przy długim stole siedziało trzech wysokich rangą wojskowych, widziałem ich dystynkcje. Byli to dwaj pułkownicy i podporucznik - tak przeczytał siedzący w prawym rogu stołu mężczyzna mówiący po turecku.

Powiedział, że jeden z trzech wojskowych jest moim adwokatem.

Oficer siedzący pośrodku - sędzia - odczytał coś, z czego nie zrozumiałem nawet połowy. Gdy to samo odczytał tłumacz, wyłowilem dwie nieścisłości. Pierwsza dotyczyła tego, że policja pakistańska pytała mnie o Selcuka. Była to nieprawda. Drugi błąd był taki, że zostałem jakoby przewieziony z Pakistanu do bazy wojskowej w Bagram, choć przecież byłem w Kandaharze. Jak sądowi mogą przytrafiać się takie pomyłki?

Tłumacz uważał, że powinienem zapytać o to później. Czy rozumiem, co mówi sąd?

-Tak.

Sędzia czytał dalej, a potem powiedział coś, co zrozumiałem już po

angielsku:

- Więzień ma związek z osobnikiem, który później uwiłany był w samobójczy atak. Selcuk Bilgin jest zamachowcem samobójcą...
- Samobójstwo? Zamach?!

- Może się pan odnieść do tego od razu - powiedział tłumacz.

- Czy chce pan złożyć zeznanie? - spytał sędzia.

Byłem wstrząśnięty. Selcuk zamachowcem samobójcą? Zapytałem sąd, gdzie i kiedy to miało miejsce. Sędzia odparł, że nie wolno im mi tego powiedzieć.

Przestałem rozumieć cokolwiek. Ale przecież ci ludzie nie kłamią, to w końcu sąd. Selcuk nie żyje? Zabił wielu ludzi?

- Czy jestem tutaj dlatego, że Selcuk wysadził się w powietrze? Nie wiedziałem o tym. Nie wiedziałem, że był terrorystą. Razem trenowaliśmy i modliliśmy się w meczecie. Obaj mieliśmy psy. Dlatego się przyjaźniliśmy. Był dla mnie jak starszy brat. Nie wiedziałem, że zrobi coś takiego. Jeśli się zmienił, to ja tego nie zauważyłem. Nigdy ze mną o takich rzeczach nie rozmawiał. Takich przyjaciół nie potrzebuję! Moja religia jest religią pokoju - powiedziałem.

Sędzia czytał dalej.

Potem pytali mnie, czego szukałem w Pakistanie.

Wyjaśniłem, dlaczego tam pojechałem.

Gdy wyczekałem się bezskutecznie na Selcuka na lotnisku w Karaczi,

kupiłem sobie kartę telefoniczną, ale albo była wadliwa, albo ktoś sprzedał mi już wykorzystaną. Dopiero kupiwszy drugą, mogłem zatelefonować. Zadzwoiłem do żony Selcuka, ale ona odłożyła słuchawkę. Dzwoniłem do niej dwukrotnie. Następnie poleciałem do Islamabadu, żeby zobaczyć się z Hassanem, którego poznałem w samolocie. Ale nie znalazłem go, gdyż podany przez niego numer telefonu był niewłaściwy. Pojechałem więc sam do centrum Mansura, do Lahore. Powiedziano mi, że kierownika nie ma na miejscu, ale mogę przenocować i porozmawiać z nim następnego dnia. Rano dostałem śniadanie, ale kierownik nadal się nie zjawiał. W jego biurze dowiedziałem się, że nie zostanę przyjęty do centrum, ponieważ jestem obcokrajowcem, a to zbyt niebezpieczne. Doradzono mi, bym wracał do domu. Co miałem robić?

Tego ranka - był siódmy października 2001 roku - wybuchła wojna z Afganistanem.

Byłem rozczarowany i nie chciałem od razu wracać do Niemiec. Zdecydowałem się zostać. Tablighowie w Bremie opowiadali mi, że ich współbracia z Pakistanu studiują Koran, łącząc się w niewielkie grupki i wędrując od meczetu do meczetu. Chciałem więc dołączyć do takiej grupy, a nie zrezygnować w ogóle.

Pojechałem autobusem do Islamabadu. Poszedłem do meczetu, gdzie spotkałem grupę tablighów. Początkowo byli nieufni, ponieważ przyjechałem z Niemiec. Może uważali mnie za dziennikarza. Potem poznałem Mohammada. Był wszystkiego ciekawy, dobrze mówił po angielsku i nawet trochę po turecku. Przyłączyliśmy się do tablighów i sypialiśmy w różnych meczetach. Grupa ciągle zmieniała skład: jedni odchodzili, drudzy dołączali. Raz było nas dziesięciu, innym razem trzydziestu. Niemal

przez cały dzień mieliśmy zajęcia. W przerwach spacerowałem po mieście, oglądałem targowiska, pokazy szkół kung-fu i zaklinaczy węży.

Sąd pytał, czy otrzymywałem od tablighów jedzenie. Odpowiedziałem, że tak. Każdego wieczoru kilka osób udawało się na targ po zakupy. Wszystko było tam niewiarygodnie tanie. Co wieczór spieraliśmy się, kto ma zapłacić. To tradycja, mówił Mohammad.

Sędzia chciał wiedzieć, kiedy i gdzie zostałem zatrzymany i o co pytała mnie pakistańska policja.

Byłem zdumiony. Nie wiedzieli tego?

Dwa tygodnie po rozprawie *escort-team* ponownie zaprowadził mnie przed trybunał. Sędzia odczytał wyrok: zostałem uznany za niebezpiecznego wrogię bojownika.

Jako uzasadnienie orzeczenia sąd podał, że jestem członkiem organizacji Al-Kaida. Dowodem miało być to, że jestem bliskim przyjacielem zamachowca samobójcy i należę do organizacji Jama'at Tablighi, która mnie wspierała i żywiła.

- Chciałbym wiedzieć, czy muszę tu pozostać, czy mogę wrócić do... - zacząłem.

- Czy adwokat ma jeszcze jakieś pytania do więźnia?

-Nie.

Adwokat i tak nie wypowiedział ani słowa.

zatoka Guantanamo, obóz Echo

W październiku 2004 roku zostałem przeniesiony z obozu nr 1 do obozu

Echo. Słyszałem o nim: był to obóz typowo izolacyjny.

Nie wiedziałem, dokąd mnie zabierają, ale zawiązali mi oczy, więc mógł mnie czekać nawet lot do Turcji lub Niemiec. Podobno byłem przewożony całkowicie wytłumionym mikrobusem. Było tak, jakbym podróżował toczącym się bunkrem. Czegokolwiek dotknąłem, było z metalu. Miałem nadzieję, że nie wywiozą mnie do Turcji.

Po dziesięciu minutach samochód się zatrzymał i wysiedliśmy. Nie słyszałem głosów innych więźniów, tylko otwieranie jednych drewnianych i kilkorga metalowych drzwi. Potem zdjęto mi z oczu opaskę. Znajdowałem się w klatce tego samego rodzaju co w obozach nr 1 i nr 2, tylko mniejszej i bardziej stabilnej, z toaletą i umywalką. Na suficie za osłoną z pleksi znajdowała się kamera. Do metalowych krat przyspawane były kolejne kraty o mniejszych prześwitach. Nie mógłby się tu dostać nawet pająk, a z zewnątrz trudno byłoby cokolwiek zobaczyć. Bezpośrednio przed klatką stał stół i krzesło, a pod nim w podłodze tkwił uchwyt. Z tyłu była ściana z drzwiami, przez które w pewnej odległości widać było drugą klatkę ze stojącymi przed nią stołem i krzesłem. Byłem doskonale odizolowany.

Później dowiedziałem się, że obóz Echo składał się z dziesięciu małych drewnianych domów, z których każdy mieścił dwie klatki.

Co to miało znaczyć? Czy był to nowy rodzaj kary? Słyszałem, że o niektórych więźniach obozu Echo zagał słuch już przed laty, i nikt z nas nie miał pojęcia, czy w ogóle jeszcze żyją. Taki był cel tego obozu: żeby więźniowie nie wychodzili poza klatkę. Można ich było przesłuchiwać bezpośrednio pod celą, a obok celi znajdowała się mała kabina prysznicowa. Czy mam tu spędzić następnych kilka lat?

Strażnicy pojawiali się tylko trzy razy dziennie, gdy przynosili jedzenie.

Najczęściej jednak opuszczali któryś posiłek i w nocy też nie budzili mnie tak często.

-Wstawaj!

- Dlaczego?
- Masz wizytę.
- Kogóż to?

Byłem ciekaw. Kto mógł mnie odwiedzić? Pewnie jakiś śledczy, który przybył specjalnie z Waszyngtonu, by mi „pomóc”. W napięciu zastanawiałem się, jaką sztuczkę zastosują tym razem.

Wszedł tęgi mężczyzna w garniturze i okularach, w wieku trzydziestu kilku lat. Strażnicy przywiązali mnie do uchwytu w podłodze i zostawili nas samych przed moją klatką. Mężczyzna bardzo się pocił. Jego koszula była całkowicie przemoczona, z kieszeni spodni wydobyl chusteczkę, którą ocierał krople z czoła.

-Witaj.

Zdjął okulary i manipulował coś przy nich. Wydawał się zdenerwowany.

-Jestem twoim adwokatem - powiedział po angielsku.

- Moim adwokatem? Jakim adwokatem? - Roześmiałem się. - Ty jesteś adwokatem?
- Mam list od twojej matki...

Teraz to już grubo przesadzili, pomyślałem. Chciałem jednak zrozumieć, o co im chodzi, jakie mają zamiary.

- Pokaż...

Rzeczywiście był to list od mojej matki. Natychmiast rozpoznałem jej charakter pisma.

Kochany synu, to ja, twoja matka, mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze. Ten człowiek nazywa się Baheer Azmy, możesz mu zaufać. Jest twoim adwokatem.

Nie mogłem wydusić słowa. To był pierwszy list od niemal trzech lat! Pierwsza wiadomość od matki! Więcej nie mogła zapewne napisać, bo list zatrzymałaby kontrola.

- Skąd to masz?
- Rozmawiałem z twoją matką - powiedział.
- Ale gdzie?

Wyjaśnił mi, że od lat mam adwokata w Niemczech, a on jest moim adwokatem w USA i właśnie odwiedził moją rodzinę w Bremie. A z matką był nawet w Turcji i w Waszyngtonie.

W Waszyngtonie?

Zrobiłem się nieufny. Może był to tylko jakiś śledczy, który chciał wykorzystać list mamy do własnych celów?

- Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym adwokatem, o którym pisze matka?

Zaczął wyciągać wszystko z kieszeni. Dowód, dokumenty, przepustkę do obozu. Nazwisko wszędzie się zgadzało.

- Musisz mi uwierzyć - powiedział.
- Wszyscy tak mówią!
- Niestety, reguły są tu niezwykle surowe. Wszystko, co mi powiesz, muszę spisać i im pokazać. Nie mogę też przychodzić wtedy, kiedy bym chciał. Nie jest łatwo.
- Okej. Możesz być adwokatem albo nie. Dokumenty za wsze można sfałszować. Aleja i tak nie mam nic do ukrycia.

Opowiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

- Rozumiem twój'sceptycyzm.

Mężczyzna podający się za mojego adwokata pokazał mi ulotkę informacyjną jednej z tureckich organizacji obrony praw człowieka. Były na niej moje zdjęcia, wśród nich zdjęcie paszportowe z czasów, gdy miałem siedemnaście, osiemnaście lat. Miałem jeszcze zupełnie krótkie włosy i nie nosiłem brody. Była tam także fotografia mojej matki przed dużym białym budynkiem. Podpis głosił: „Rabiye Kurnaz rozmawia z amerykańskimi mediami przed budynkiem Sądu Najwyższego w Waszyngtonie”. Na innym zdjęciu mama płakała, co komentował napis: „Każdy z nas mógłby trafić do piekła Guantanamo”.

Było mi smutno, ale ciekawość zwyciężyła.

Dowiedziałem się, że są ludzie, którzy się za mną wstawiają! Od razu wielokrotnie przeczytałem tę broszurę i nauczyłem się na pamięć całego tekstu. Było tam między innymi napisane, że rząd turecki działał niezgodnie z prawem, ponieważ nie dopilnował, by mnie stąd wyciągnąć. Przypomniałem sobie wizytę Turków i spektakl, jaki na moich oczach odegrali. Na ulotce wyraźnie było napisane, że jestem niewinny. Więc naprawdę istnieli ludzie, którzy wierzą w moją niewinność?

Stało się dla mnie jasne, że mama zrobiła wszystko, by mnie ratować. I mimo że do tej pory nie udało jej się nic zrobić, wiedziała, gdzie przebywam i że jeszcze żyję. To było najważniejsze. Zacząłem wierzyć, że naprawdę siedzę naprzeciwko swojego adwokata. Nie można było przecież sfalszować takich zdjęć. Wciąż jednak pamiętałem, że muszę bardzo uważać na każde słowo, bo przecież prawnik mnie ostrzegł. Poza tym Amerykanie z pewnością razem z nim słuchali tego, co mówię. Z tego powodu początkowo

nie mówiłem nic o torturach. W tej kwestii i tak nie mógłby mi pomóc, myślałem.

- Oczekuję pomocy tylko od Allacha - powiedziałem.

- I z Bożą pomocą jesteś moim *sebebem*.

-Kim?

- Przyczyną. Zwiastunem wolności.

Baher Azmy skinął głową. Wyraźnie mu ulżyło. -Zaproponuję ci coś. Jeśli zrobisz coś dla mnie, możesz zaczynać od razu.

- Co takiego?

- Przynieś mi następnym razem kawę. Lata całe nie piłem kawy. Jeśli ci się uda, zastanowimy się, co dalej. Jeśli ci się nie uda, nie zdołasz mnie stąd uwolnić.

- Nie wiem, czy cię uwolnię, ale będę próbował...

- I weź ze sobą bardzo dużo cukru - powiedziałem.

Były to pierwsze prywatne odwiedziny od czasu, gdy do stałem się do więzienia.

Wziąłem list matki i ukryłem go w dłoni. Gdy znalazłem się z powrotem w klatce, schowałem go pod koszulą tak, żeby nie widziała tego kamera. Ale i tak zabrali mi go jeszcze tej samej nocy podczas rewizji.

Tamtej nocy dużo rozmyślałem. Czy mogłem w pełni zaufać temu człowiekowi? Czy taką broszurę można sfałszować? A może zdjęcia mojej matki były fotomontażami? Ale ja nie miałem przecież nic do ukrycia, musieli to wreszcie po tych wszystkich latach zrozumieć!

Następnego ranka adwokat przyniósł mi cały dzbanek kawy i gorące ciastko jabłkowe z McDonald's. Zdumiałem się: czy strażnicy mieli tu gdzieś McDonald's? Z kieszeni spodni wyciągnął torebki z cukrem. W porządku

facet, pomyślałem.

Miał dla mnie wiadomości. Przyniósł mi skopiowane z różnych gazet i pism artykuły na temat wojny w Iraku

- z „New York Timesa”, „Washington Post”, „Spiegla” i „Sterna”. Toczyła się wojna w Iraku. Saddama Husajna odnaleziono w ziemiance. W Azji trwała powódź. A Niemcy już od dawna mają nową walutę, euro.

Obejrzałem każdą stronę. Niektóre informacje były już nieaktualne, ale dla mnie miały posmak nowości. W Guan-tanamo o niczym nie wiedzieliśmy. Nagle natrafiłem na artykuł, w którym pisano o mnie, było tam też zamieszczone moje zdjęcie. Poniżej - było tam zdjęcie z paszportu - widniał podpis: „Talib z Bremy”. Talib z Bremy? Rozwścieczyło mnie to. Czy ludzie naprawdę myślą, że jestem talibem? Przecież podczas przesłuchania opowiedziałem tym Niemcom całą swoją historię. Czy nie sprawdzili tego? Nie przekazali do prasy? Azmy wzruszył ramionami. Był zaskoczony, że byli u mnie wysłannicy niemieckich władz. Postanowiłem nie złościć się więcej, kiedy ktoś napisze o mnie coś głupiego. Chciałem wyjść na wolność. Tylko to było ważne.

- Gdzie jest coś o Selcuku? - spytałem.

- O Selcuku?

- Tak, o moim przyjacielu z Bremy. Gdzie jest napisane, że wysadził się w powietrze? Nigdzie tu tego nie widzę...

- Selcuk Bilgin? Wysadził się w powietrze? Dlaczego?

- Amerykanie z trybunału powiedzieli mi, że dokonał samobójczego zamachu. Nie wiem kiedy ani gdzie.

Baher znowu wyglądał na zdumionego. Selcuk miał być zamachowcem

samobójcą? Powiedział, że to wykluczone. Wiedziałby, gdyby jakiś Niemiec albo niemiecki Turek wysadził się gdziekolwiek w powietrze. Donosiłaby o tym prasa niemiecka i amerykańska.

Byłem wykończony. Dlaczego zatem sąd powiedział mi coś takiego?

Adwokat zasugerował, że może pomylili Selcuka z jakimś innym zamachowcem, że musieli się pomylić. Nic innego, tylko pomyłka.

- I dlatego tu jesteś?

- Tak. I jeszcze dlatego, że tablighowie dawali mi jeść.

Baher potrząsnął głową. Notował.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy.

- Gdzie macie miejsce do spacerowania?
- Na zewnątrz, w klatce.
- Nie widziałem go.
- A co widziałeś?

- Dwa obozy, kontener... No tak, była tam mała klatka z jednym więźniem pośrodku obozu.

- I to jest właśnie spacerniak - wyjaśniłem.

Baher wstał. Podeszedł do mojej klatki i ostrożnie zajrzał do środka.

- W tym mieszkasz?

Przytaknąłem.

- Przez całe lata? Nie mogę uwierzyć, że można ludziom robić coś takiego. Jak zdołałeś to wytrzymać? Co robiłeś przez te wszystkie lata?
- Czekałem.

Baher Azmy odwiedzał mnie wiele razy, dzień po dniu. Zawsze przynosił nowe wiadomości, które czytałem z wielkim zainteresowaniem. Tylko raz

nie przyszedł, ponieważ założył nowe buty, letnie. Strażnicy powiedzieli mu, że nie mogą go w nich wpuścić, ponieważ więzień mógłby stanąć mu na nodze i zrobić mu krzywdę. Obaj się z tego uśmialiśmy.

Dobrze się rozumieliśmy. Baher urodził się w Egipcie, ale wychowywał w Stanach. Mając trzydzieści pięć lat, był już profesorem prawa. Opowiedziałem mu wszystko, co chciał wiedzieć, a on notował niemal każde moje słowo. Powiedział, że do mnie napisze, że przyjedzie ponownie i spróbuje mnie stąd wyciągnąć. Powiedział, że nie może niczego obiecać. Ja jednak miałem już do niego zaufanie. Chciał przekazać wiadomości mojej rodzinie. Podyktowałem mu kilka słów do matki: że u mnie wszystko w porządku. Potem podpisałem

pełnomocnictwo, żeby mógł występować jako mój adwokat. Wreszcie pożegnał się i wyjechał.

Później dowiedziałem się, że byłem jednym z trzech pierwszych więźniów Guantanamo, których odwiedził prawnik. Dwaj pozostali byli Anglikami. Spotkałem się z Azmym jeszcze trzy razy. Dopiero gdy wyszedłem na wolność, opowiedział mi, że był w Guantanamo jeszcze raz, ale Amerykanie powiedzieli mu, że nie chcą go widzieć.

Kilka dni po wyjeździe Azmy'ego zostałem przeniesiony do obozu nr 2.

- Hej, Murat, co się z tobą działo? Gdzie byłeś? - spytał Salah.

- Miałem odwiedziny. Był u mnie adwokat z Ameryki.

Niektórzy się śmiali.

- Bzdura. Nabrali cię - stwierdził Salah.
- Przywiózł mi wiadomości - powiedziałem.

Wtedy wszyscy się zainteresowali, a ja obiecałem, że po wieczornej modlitwie wszystko im opowiem.

Ważne informacje rozchodziły się po obozach w ten sposób, że wieczorem, kiedy na chwilę milkły generatory, ostatni z bloku wykrzykiwał je w stronę okna tak głośno, jak tylko potrafił, a pierwszy z kolejnego bloku, usłyszawszy je, podawał sąsiadom. Następnej nocy to jego blok informował następny. Przepływ wiadomości trwał nieraz bardzo długo. Zwłaszcza że wołania natychmiast sprowadzały strażników, a oni IRF. Ale informacje i tak przenikały z obozu do obozu.

Jasne było, że gdy skończę opowiadać, po kilku minutach zostaną zabrani do izolatki.

Podzieliłem zatem wiadomości na dwie grupy: te dotyczące obozu i te ze świata. Opowiedziałem, że trwa wojna 216 w Iraku, że Amerykanie zwyciężają, ale codziennie są ofiary bratobójczych walk i że jest nowy rząd w Afganistanie. Nowości dotyczyły również Guantanamo: pewna sędzina ze Stanów Zjednoczonych oświadczyła, że trybunały wojskowe to bezprawie, a prezydent Bush odpowiedział, że my, wszyscy więźniowie, jesteśmy niebezpiecznymi mordercami, których nie można porównywać z innymi skazanymi. W jednej z przyniesionych przez Bahera gazet uderzyło mnie absurdalne zdjęcie: jakiś amerykański polityk sfotografował się w Guantanamo podczas posiłku. Na jego talerzu była połówka kurczaka, ziemniaki i sałata, do tego zupa, cola i lody. Wyglądał na bardzo zadowolonego. W artykule twierdził, że codziennie dostajemy takie porcje. Pod zdjęciem widniał napis: „Czy tak wyglądają tortury?”

Mogłem tylko pokiwać głową. Takiego jedzenia nie widziałem przez wszystkie te lata nawet w snach. Te przekłete kłamstwa! Z artykułu można się było dowiedzieć, że jesteśmy traktowani tak samo jak więźniowie amerykańscy i że respektowane są tu prawa człowieka. W innych gazetach można było jednak wyczytać, że w Ameryce są ludzie, którzy się za nami ujmują i głoszą publicznie, że istnieją podejrzenia, iż w Guantanamo stosuje się tortury.

Żeby podzielić się tymi nowinami, mówiłem po angielsku najszybciej jak potrafiłem, a Salah przekładał to na arabski. Trwało to niedługo, bo wkrótce zjawili się strażnicy i rozpylili gaz. Zasłoniłem twarz dłońmi, wpełzłem w kąt i mówiłem dalej, aż do przyścia IRF.

Wylądowałem w bloku India. Wyłączyli klimatyzator, czyli otrzymałem najwyższą karę. Od razu położyłem się na podłodze, żeby ograniczyć do minimum zużycie tlenu. Wiedziałem, że przynajmniej przez miesiąc nie będę miał czym oddychać. Niewiele pamiętam z tamtego okresu; w pamięci pozostało mi jedno z przesłuchań, podczas którego mogłem znowu zaczerpnąć powietrza.

- Czy wiesz, gdzie popełniłeś błąd? - spytał przesłuchujący.

- Powiedz mi.

- Opowiadałeś innym o dżihadzie i podburzałeś ich do walki! Nie wiedzieliśmy, że potrafisz tak mówić o dżihadzie!

Co za bzdury.

- Dobrze wiecie, o czym mówiłem. Macie przecież uszy w naszym bloku.

- Jakie uszy? - Przesłuchujący wstał z miejsca. - Słyszałem, że był ktoś u

ciebie. Adwokat, prawda?

- A co cię to obchodzi?
 - Chcę cię tylko przestrzec: czy jesteś pewny, że to adwokat? Mam nadzieję, że niczego nie podpisywałeś?
- Owszem, podpisałem.
 - Twój wybór. A wiesz chociaż, co to było?
 - No?
 - Jeszcze zobaczysz.

Sześć tygodni później wróciłem do obozu nr 2. Wiadomości, które uzyskałem od Bahera, obiegły już wszystkie bloki. Resztę dopowiedzieli dwaj Anglicy. Powróciliśmy do świata! Wiedzieliśmy, co się tam dzieje! Nigdy się nie dowiem, ilu rozpowszechniających głośno te informacje trafiło za to do lodówki.

10

zatoka Guantanamo, obóz nr 4

Był to rodzaj przywileju. Nie wiedziałem, dlaczego mam się cieszyć z przeniesienia do obozu nr 4, ale od dawna nie zadawałem sobie takich pytań. W obozie tym nie było bowiem, jak słyszałem, klatek. Więźniowie przebywali w jednym pomieszczeniu, a racje żywnościowe były podobno nieco większe. Strażnicy mówili zawsze, że przenosi się tam jedynie tych z nas, którzy się nienagannie zachowują. Obóz nr 4 uważany był za najlepsze więzienie w Guantanamo.

W ostatnim czasie wielu więźniów wychodziło na wolność, całymi

grupami. Wyszli na przykład wszyscy Paki-ścińczycy i niemało Afgańczyków. Prawie wszystkich przeniesiono wcześniej do tego właśnie obozu. Ale nie był to warunek konieczny. W obozie nr 1 lub nr 2 nieraz widywałem, jak więźniom przynoszono do klatek cywilne ubranie. Dżinsy, adidasy, koszulkę i kurtkę dżinsową. I niedługo potem już ich nie było. Istniała więc jakaś droga, którą można się było stąd wydostać. Baher Azmy potwierdzał, że zwolnieni z Guantanamo docierali żywi do swoich krajów i domów.

Wielu z nich w macierzystych państwach wtrącano jednak natychmiast z powrotem do więzienia. Adwokaci wyjaśnili nam, że był to warunek, który stawiali Amerykanie. W ten sposób wyjechała z Guantanamo cała grupa z Arabii Saudyjskiej. Czerwony Krzyż uprzedził ich jednak, że w ojczyźnie trafią ponownie do więzienia. Dzięki adwokatom wiedzieliśmy, kto naprawdę wyszedł, a kto nie. Może

pewnego dnia także mnie przewiozą do więzienia w Turcji albo w Niemczech, myślałem.

Obóz nr 4 był ostatnią dziurą. Był to pusty metalowy kontener z pryzkami w środku. Kłapa do zaglądania stanowiła jedyny otwór, przez który wpadało światło i powietrze. W małym pomieszczeniu mieszkało dziesięciu więźniów. Powietrze cuchnęło. Światło pod sufitem pozostawało włączone przez całą noc. Generatory warczały tak samo jak w obozach nr 1 i nr 2.

Można powiedzieć, że był to piec dla dziesięciu osób.

Betonowa posadzka rozgrzewała się w ciągu dnia do tego stopnia, że można było chodzić po niej tylko w klapkach. To miało być najlepsze więzienie? Gdyby działał klimatyzator, mogłoby tu być zupełnie przyjemnie. Ale nam nie miało być przyjemnie. A przecież bez chłodzenia powietrza

było nie do wytrzymania. W jaki zatem sposób Amerykanie rozwiązali ten problem? Umieścili pod sufitem wentylator śmigłowy. W ciągu dnia, kiedy było najtrudniej i najgoręcej, był wyłączony. Włączali go za to wieczorem, gdy upał już zelżał, żeby szum przeszkadzał nam spać.

Czasami w ciągu dnia wentylatory zaczynały jednak pracować - działało się tak zawsze wtedy, gdy przelatywał helikopter z kamerzystami na pokładzie. A fotografowie i dziennikarze mogli oglądać tylko obóz nr 4.

Niemniej jednak teraz częściej chodziliśmy na spacer. Między zasiekami z drutu kolczastego a siatką był rodzaj przejścia szerokości metra i długości mniej więcej dwudziestu metrów. Dwie cele, a więc dwudziestu ludzi mogło tam spacerować kilka razy dziennie. Za każdym razem nie dłużej niż godzinę. Resztę czasu spędzaliśmy we wspólnym pomieszczeniu pod niezmordowanym okiem nadzorujących nas kamer.

Raz w tygodniu przeprowadzano kontrolę osobistą. Wszyscy musieliśmy się zgromadzić w kontenerach, a dwudziestu żołnierzy IRF-u ubezpieczało akcję przy siatce, z kabinami gotowymi do strzału. Dwójkami zabierano nas do łaźni i przeszukiwano. W tym czasie pozostali więźniowie z pięciu kontenerów obozu nr 4 pozostawali w swoich celach.

Dwa razy w tygodniu pojawiały się grupy dziennikarzy. Oczywiście nie zwiedzali naszych kontenerów. Prowadzono ich zazwyczaj na plac, na którym ustawione były bramki i wisiał kosz do koszykówki. Obok było boisko do siatkówki. Często leżały tam piękne piłki do gry w siatkówkę, koszykówkę czy piłkę nożną. Nie wolno nam było chodzić na te boiska. Dopiero gdy dziennikarze o to pytali, wyprowadzano niektórych więźniów z obozu nr 4. Kiedy tylko reporterzy znikali za

rogiem, strażnicy z powrotem zbierali piłki. Mówili, że jest „zagrożenie huraganem” i odsyłali nas do kontenerów.

Kiedyś stałem na tyle blisko grupy dziennikarzy, że usłyszałem głos oficera objaśniającego im, że „każdy blok, każdy więzień może codziennie przez dwie godziny grać w piłkę nożną, koszykową lub w siatkówkę”.

W obozie nr 4 rzeczywiście dostawaliśmy nieco więcej jedzenia niż w obozach nr 1 i nr 2. Rano dawali nawet kubek mleka. Mogłem teraz więcej trenować, gdyż otrzymywałem więcej kalorii. Było to takie samo jedzenie jak wcześniej: kilka twardych ziemniaków, zimne warzywa, niedogotowany ryż - tyle że więcej. Mogliśmy się tym też wymieniać. Często tak bywało, ponieważ niemal wszyscy więźniowie mieli problemy z żołądkiem.

Do płotu często podchodził kot, którego nazywałem 007. Był bardzo przebiegły. Na widok strażników zawsze uciekał. Potrafił odróżniać mundury od ubrań więźniów. Połowę swojego mleka oddawałem 007.

Niektórych więźniów obozu nr 4 już znałem. Był tu Abid, Algierczyk z Niemiec oraz Musa, jeden z pięciu Bośniaków w Guantanamo. Poznałem go w obozie nr 1, ale był też moim sąsiadem w izolatce podczas mojego samotnego strajku głodowego.

Musa opowiedział mi, w jaki sposób dostali się do Guantanamo. Trzech spośród nich było Arabami, od dawna mieszkającymi w Bośni. Wszystkich pięciu zatrzymano po jedenastym września i po długim dochodzeniu postawiono przed sądem. Sędzia orzekł, że nie przedstawiono przeciwko nim żadnych dowodów, że są wolni i mogą iść do domu. Gdy Bośniacy chcieli wyjść, policjanci wskazali im tylne drzwi budynku. Tam zaś oczekiwał ich

oddział zamaskowanych Amerykanów. Wciągnęli ich do samochodu, zawieźli na lotnisko, a stamtąd na Kubę. Ich rodziny daremnie czekały przed budynkiem sądu.

Nie wiem, czy rzeczywiście tak było. W każdym razie tak mówił Musa. Za każdym razem podczas przesłuchań pytał Amerykanów, dlaczego się tu znalazł. Odpowiadali, że mają dowody przeciwko niemu, ale że to jest *top secret*. Ale dopiero gdy dostał adwokata, dowiedział się, co w oczach Amerykanów uczyniło z niego terrorystę: był trenerem karate.

Trenowałem trochę z Musa, siłowałem się też na ręce z Af-gańczykami. Wygrywałem, ale byli naprawdę dobrzy. Pochodzili z górzystych terenów i od dziecka musieli nosić wszystko na plecach. Byli niezwykle silni, mięśnie mieli wyrobione dzięki samym różnicom wysokości, jakie musieli pokonywać. W łaźni trenowałem z Musa karate i pompki z obciążeniem, przy czym obciążenie stanowił Musa. Siadał mi na plecach. Pierwotnie były tam zainstalowane dwie kamery, ale jedną zniszczyliśmy i dzięki temu mogliśmy ćwiczyć w niewidocznym dla drugiej kamery kącie łaźni. Kiedyś zdarzyło się jednak, że pośliznąłem się i wpadłem w zasięg drugiej kamery.

Przez miesiąc musiałem za to pokutować w bloku Romeo.

Było bardzo gorąco, ponieważ cele wyposażone zostały w szyby z pleksi.

Gdy po raz drugi zostałem przyłapany na treningu w łaźni, odesłali mnie ponownie do Romeo, a potem do obozu nr 1.

Na szczęście, gdyż dowiedziałem się, że w obozie nr 4 znowu doszło do zbezczeszczenia Koranu. Opowiadano mi, że podczas przeszukania strażnicy rozerwali Koran i rzucili go na podłogę, wskutek czego wywiązała się szamotanina między więźniami a żołnierzami z IRF-u. Wiedzieli o tym

także wszyscy więźniowie z innych kontenerów w obozie nr 4.

Skierowano tam kilkuset żołnierzy. Z karabinów M-16 ostrzelali gumowymi kulami cele „rebeliantów”. Ci, którzy zatrzymali się przed kontenerami, byli ciężko ranni. Gdy już wszystkich zakuli w kajdanki, otworzyli następny kontener, w którym przebywała grupa więźniów afgańskich. IRF rozpylił gaz, żołnierze ostrzelali ich gumowymi nabojami, a potem wpadli do środka.

I to był błąd.

Afgańczycy byli na to przygotowani. Ściągnęli spod sufitu ciężki klimatyzator, zdemontowali wirnik i walczyli do upadłego. To była ich broń. Wielu żołnierzy odniosło głębokie rany zadane płatami wirnika. Innych Afgańczycy dusili przewodami od klimatyzatora. W obozie nr 1 mówiło się, że Afgańczycy walczyli, póki nie padli. Nie zginął żaden żołnierz, ale jeden z więźniów opowiadał, że widział na podłodze dużo krwi.

Cały obóz nr 4 został ewakuowany.

Później okazało się, że były ofiary śmiertelne.

Spałem w moim bloku w obozie nr 1. Nagle pojawiło się mnóstwo żołnierzy. Zaczęli budzić wszystkich więźniów. Musieliśmy oddać koce, materace i całe ubranie. Musiało się coś wydarzyć.

Następnego nocy usłyszałem wiadomość z bloku Bravo.

- Blok Alpha: trzech ludzi zabitych! - krzyknął któryś z więźniów.

Kolejnego nocy usłyszeliśmy nazwiska. Jednym z zabitych był Jassir Talal al-Zaharani z Arabii Saudyjskiej.

Pod koniec 2003 roku byłem z Jassirem w jednym bloku. Miał mniej więcej tyle lat co ja. Miły, serdeczny, dobrze zbudowany człowiek. Miał piękny głos, znał na pamięć cały Koran - przez jakiś czas prowadził

modlitwy w naszym bloku. Był wielkim optymistą i uważał, że pewnego dnia wyjdziemy na wolność. Zawsze kiedy mnie widział z oddali, przekazywał mi pozdrowienia.

Kazał mnie zapytać, czy w dalszym ciągu potajemnie trenuję, czy zarzuciłem ćwiczenia.

Powiedz mu, odparłem, że nigdy nie przestanę ćwiczyć.

Bardzo mnie zasmuciła wiadomość o jego śmierci. Dwóch pozostałych nie znałem. Drugi również był Saudyjczykiem, trzeci pochodził z Jemenu. Strażnicy mówili, że wszyscy trzej popełnili samobójstwo. Powiesili się.

Kilka tygodni później moimi sąsiadami zostali więźniowie, którzy przebywali w bloku Alpha tej nocy, kiedy zmarli Jassir i dwaj pozostali. Rozmawiali z Jassirem. Opowiadali, że kolacja była tego dnia wcześniej. Zauważyli, że po posiłku wszyscy jednocześnie poczuli się zmęczeni i poszli spać, choć nigdy o tej porze w bloku nie było cicho, nawet jeśli żądali tego strażnicy. Zazwyczaj ktoś nie mógł spać, inni modlili się przez pół nocy, a jeszcze inni bezsennie czuwali przez długie godziny. W jednej chwili opuszczono wszystkie metalowe klapy w drzwiach, jakby dokonywał się jakiś szturm - opowiadał ostatni sąsiad Jassira.

Obudził go głośny huk. Zobaczył w klatce Jassira oddział IRF, ale nie rozmyślał o tym długo i zasnął znowu. Nieco później strażnicy zaczęli budzić więźniów. Musieli oddać materace, prześcieradła i ubrania. Wtedy właśnie na noszach wynoszono Jassira. Więźniowie widzieli, że kawałek prześcieradła

tkwił w ustach Jassira i że prześcieradłem skrępowane były jego ręce i nogi. Kolejny kawałek prześcieradła oplatał mu szyję. To była pętla.

Amerykanie powiedzieli, że sam się związał. Tylko jak miałby to zrobić?

Ze związanymi rękami i nogami musiałyby umocować pętlę na ostrych oczkach siatki - i to nie mając krzesła. Było to prawie niemożliwe. Przypadki prób samobójczych w obozie się zdarzały, zwłaszcza po zbezczeszczeniu Koranu. Dotąd jednak nikomu się nie udało. Każda taka próba była natychmiast udaremniana. Rozmawiałem z Jassirem o tych przypadkach. Odrzucał takie rozwiązania. Nasza wiara zakazuje samobójstwa, mówił.

Zupełnie nieprawdopodobne wydało się nam, że strażnicy nic nie zauważyli. Przecież ani na chwilę nie spuszczała nas z oka! Żeby zrobić to wszystko, Jassir potrzebowałby trochę czasu, a do chwili śmierci upłynęłyby kolejne minuty. Tymczasem Amerykanie twierdzili, że odcięli go, gdy już od dawna nie żył.

Strażnicy twierdzili, że Jassir zasłonił siatkę tak, że nikt go nie widział. Ale czym miałby ją zasłonić? Tym samym prześcieradłem, z którego zrobił węzły i pętlę? Obowiązywał przecież zakaz wieszania czegokolwiek na ścianach - i co, strażnicy tego nie zauważyli?

Tej samej nocy, w tym samym czasie i w ten sam sposób mieli powiesić się w tamtym bloku jeszcze dwaj więźniowie, I działo się to dokładnie wtedy, gdy pozostali więźniowie, wszyscy bez wyjątku, spali jak susły?

Dyżurujący strażnicy zawsze w bardzo krótkim czasie mogli dotrzeć do każdego miejsca bloku. Musieli nas nadzorować, bo sami też byli kontrolowani. Ciągłe się przemieszczali, zawsze byli w ruchu. Gdzie byli tej nocy? Co się stało z ludźmi z wież strażniczych, którzy wszystko obserwowali? Czy oni też spali?

Drugi Saudyjczyk, który rzekomo popełnił samobójstwo, dowiedział się przed kilkoma dniami, że wyjdzie na wolność. Mówił o tym każdemu i był

bardzo szczęśliwy. I miałby odebrać sobie życie? Kilka dni po rzekomych samobójstwach rzeczywiście odjechała do domu grupa Saudyjczyków.

Było to więc nie samobójstwo, lecz morderstwo - wszyscy więźniowie byli co do tego jednomyślni. Może zakatowa-no ich na śmierć, a potem powieszono; a może wcześniej ich uduszono. Ale dlaczego?

Mam na ten temat własną teorię. Możliwe, że żołnierze stacjonujący na Kubie obawiali się, że zostaną wysłani na wojnę do Iraku. Niektórzy zupełnie otwarcie mówili, że w żadnym razie nie chcieliby tam jechać. Może niektórzy strażnicy i oficerowie uważali, że śmierć więźniów w Guantanamo przysporzy administracji Busha kłopotów i polityka wobec Iraku nieco się zmieni, a oni nie będą musieli brać udziału w wojnie.

Moją opinię podzielało wielu więźniów Guantanamo. Generałowie zwracali bowiem szczególną uwagę na to, by żaden z nas nie umarł. Mogli nas dręczyć, wsadzać do lodówek, zabierać powietrze i obcinać palce - ale nie zabijać. Pod tym względem Kandahar i Guantanamo różniły się od siebie zasadniczo, co stwierdziliśmy już podczas pierwszego strajku głodowego w obozie X-Ray. Nie chcieli, żebyśmy umarli.

Może byliśmy ich kartą przetargową wobec prezydenta Busha? Dziwnym zrządzeniem losu kilka tygodni wcześniej trzech innych więźniów się zatruło. Rozmawiałem potem z dwoma z nich.

Pewnego wieczoru strażnicy niespodziewanie przynieśli nam deser. Była to bakława - pyszne słodkie ciasto, turecko-arabski przysmak. Powiedzieli, że wkrótce wielu z nas wyjdzie na wolność, więc możemy to uczcić. Niemal wszyscy w moim bloku jedli tę bakławę. Ja nie, bo im nie dowierzałem. Jeden z więźniów nie wstał rano po tym poczęstunku.

Obserwowałem go, jak kładł się spać po jedzeniu, a podczas porannej

modlitwy leżał bez ruchu w klatce. Rzuciło nam się w oczy, że miał na ustach białą pianę. Widzieliśmy, jak wynosili go sanitariusze. Dowiedzieliśmy się, że zabrali też dwóch innych więźniów.

Kilka dni później po obozie rozniosła się wieść, że wszystkich trzech próbowano otruć. Gdy wreszcie powrócili do bloków, próbowali nas przekonywać, że połknęli tabletki, żeby odebrać sobie życie. Nie wierzyliśmy. Jakie tabletki mieli połknąć? Skąd mieliby je wziąć? Nikt nie miał żadnych tabletek, a w obozie nr 1 przeszukiwano nas trzy razy dziennie bardzo dokładnie zagłądano nam nawet pod język. Kto zaś był chory i dostawał lekarstwa, tego sprawdzano szczególnie dokładnie. Nie. Wszyscy byliśmy głęboko przekonani, że to podczas przesłuchań zmuszono ich do opowiadania takich bajek.

Któż mógł chcieć ich otruć? Strażnicy sami przygotowywali jedzenie, i to oni przynieśli nam tę bakławę. To była ich próba z trucizną; próba nieudana, bo więźniowie przeżyli. Dlatego kilka tygodni później nie chcieli już ryzykować i zdecydowali się na skuteczniejszy sposób. Taka jest moja teoria, ale inni więźniowie też mieli swoje hipotezy. Zgadzaaliśmy się w jednym: to nie były samobójstwa.

Obóz nr 1 został ewakuowany i opieczętowany. Wkrótce potem ponownie otwarto obóz nr 4, a ja należałem do pierwszych, których do niego skierowano. Po tamtej strzelaninie zasiedlili jednak zaledwie dwa pomieszczenia, kwaterując w nich po sześciu lub siedmiu więźniów. W moim kontenerze przebywał sparaliżowany stary człowiek, którego widziałem w obozie X-Ray, z synem. Stary Afgańczyk nazywał się Hadzi Zad i miał dziewięćdziesiąt sześć lat. Po raz pierwszy od czterech lat spotkał się z synem. Nasza cela była codziennie

przeszukiwana, zmniejszyły się też racje żywnościowe. Nie mogłem patrzeć na tego starca. Było mi go bezgranicznie żal.

W latach 2005 i 2006 w związku z moją sprawą odbyły się jeszcze dwa posiedzenia sądu. Miały miejsce przed specjalną komisją, tak zwaną *Administrative Review Board*. Ja jednak odmówiłem wzięcia w nich udziału. Co mieli zrobić? Bić mnie albo zamraczać gazem tak długo, żebym i tak nie mógł nic powiedzieć? Posiedzenia odbyły się beze mnie. Za każdym razem w miesiąc później *escort-team* doprowadzał mnie do pomieszczenia, w którym obradował sąd, i odczytywano wyrok.

- Oskarżony został pojmany w Tora Bora w Afganistanie jako przywódca grupy talibskich partyzantów. Został uznany za walczącego po stronie wroga i pozostanie w Guantanamo - powiedział przewodniczący składu.

To była trzecia i ostatnia instancja. Protestowałem:

- Od pięciu lat dobrze wiecie, że zostałem zatrzymany w Pakistanie. O co chodzi?
- Tak wynika z materiału dowodowego - powiedział sędzia.

To wszystko było pozbawione sensu.

Niedługo potem zostałem zaprowadzony do pokoju przesłuchań i przykuty do podłogi, ale nie zjawił się żaden śledczy. Po kilku godzinach przyszli dwaj żołnierze i postawili na stoliku telefon.

- Będzie rozmowa.

Byłem bardzo ciekawy. Czy zadzwoni do mnie przesłuchujący? A może mój adwokat? Albo sędzia?

Znowu czekałem kilka godzin. Co to miało oznaczać?

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Ale nikt nie przychodził.

Ja sam nie mogłem podnieść słuchawki, gdyż miałem związane ręce i nogi. Telefon nadal dzwonił niewzruszenie. Rzuciłem się na podłogę. Nogami próbowałem przyciągnąć stolik ku sobie. Później tak długo kołysałem nogami nogę mebla, aż słuchawka spadła na podłogę. Przyczołgałem się jak najbliżej. Usłyszałem głos:

- Halo? Halo?
 - Tak?
 - To ja, Baher... Wyjdiesz na wolność!
 - Wiem. Co u ciebie?
 - Murat, będziesz wolny, słyszysz?
 - Wiem. Zakpili sobie z ciebie. Jak się ma twoja córka?
- spytałem.
 - Kiedy ty naprawdę wychodzisz na wolność...
 - Tak, tak. W porządku. Pamiętasz, jak przed rokiem za dzwoniли do ciebie i powiedzieli, że jestem już w drodze do Turcji, a ty i cała moja rodzina specjalnie tam polecieliście, żeby mnie powitać? Co ci powiedzieli tym razem? Powie dzieli ci, kiedy wyjdę?
 - Tego nie wolno mi mówić... Wytrzymaj jeszcze trochę!
- Pożegnaliśmy się.

Baher odłożył słuchawkę, usłyszałem sygnał.

Wszystko to już znałem: zawożono więźniów na lotnisko, wsadzano do samolotu, mówiono im, że lecą do domu, a potem prowadzono z powrotem do klatki. Żeby ich zniszczyć psychicznie.

Jakiś tydzień po tym telefonie wywołał mnie *escort-team*. Byłem właśnie zupełnie sam na spacerunku. Przez płot przerwali mi paczkę z ubraniami. Upadła na żwir.

- Ubrać się!

Otworzyłem pakunek i sprawdziłem zawartość. Dżinsy, adidas, biały podkoszulek i dżinsowa kurtka. Założyłem to. Czyżbym w końcu miał naprawdę stąd wyjść?

Poszedłem do kontenera i pożegnałem się z Afgańczykami.

Powiedziałem im, że z woli Allacha wychodzę na wolność. Przekazałem pozdrowienia dla wszystkich pozostałych współwięźniów. Potem pożegnałem starca i jego syna.

Wolałbym, żeby wyszedł przede mną.

Nie wiedziałem, dokąd pojedę: do Niemiec, do Turcji, czy może z powrotem do obozu nr 1 - ale najpewniej do niemieckiego lub tureckiego więzienia.

Trudno było mi pożegnać się ze współwięźniami. Wszyscy tu zostawali, czekały ich tortury.

Gdy miałem zostać zwolniony, podsunęli mi pod nos jakiś papier i długopis.

- *Sign this piece of paper* - powiedział oficer. - *Saying that you were detained in Guantanamo Bay because you are linked to Al Qaeda and the Taliban. Or you are never going Home**

Podpisz ten dokument. / Oświadczasz w nim, że byłeś więziony w Guantanamo Bay, ponieważ masz powiązania z Al-Kaidą i talibami. Inaczej nie wrócisz do domu.

Miałem podpisać, że przez pięć lat byłem więziony, ponieważ należałem do Al-Kaidy i do talibów? Bo bez podpisania tego dokumentu nie wyjdę na wolność? Teraz miałem to podpisać? Po tych wszystkich latach, przesłuchaniach, cierpieniach, po tylu ofiarach śmiertelnych? Miałem się teraz przyznać do winy i rozgrzeszyć oprawców? Czy to znowu jakaś sztuczka?

Nie podpisałem.

Związali mnie, nałożyli mi *goggles* i ochraniacze na uszy i wepchnęli do samochodu wojskowego. Wjechaliśmy na statek, potem znowu jechaliśmy lądem. Drzwi się otworzyły, na chwilę zdjęli mi *goggles* i maskę, żeby przeszukać mi brodę i włosy. Było ciemno. Silniki samolotu już pracowały. Żołnierze otoczyli mnie półkolem. Wprowadzili mnie do środka i przywiązali do siedzenia w ładowni. Doliczyłem się piętnastu strażników. Potem znowu założyli mi *goggles* i maskę. Byłem jedynym pasażerem.

11

Ramstein, Niemcy

Przeprowadzili mnie przez rampę. Wreszcie zdjęli mi wszystko: *goggles*, nauszniaki i maskę. Oślepiło mnie ostre światło. Na lądowisku stoi duży czarny samochód, ale to nie jego światła mnie oślepiają, on ma wyłączone światła. Widzę trzech mężczyzn w czarnych ubraniach. Wyglądają na Niem-

ców.

Z wieży pada światło, chociaż jest dzień. Jeden z mężczyzn wciska mi w rękę jakąś kartkę. Dwaj pozostali patrzą na siebie, wyglądają na niepewnych.

- Panie Kurnaz, przyjechaliśmy, żeby pana odebrać. Może pan nam zaufać, mamy list od pana matki.

Mrużę oczy i próbuję przeczytać, co jest na kartce. To pismo mamy:

Kochany synu Muracie. To są niemieccy urzędnicy, którzy Cię do nas przyprowadzą. Twój ojciec, ja, Ali, Alper oraz Twój adwokat niemiecki i adwokat amerykański czekamy na Ciebie na zewnątrz. Kocham Cię, matka.

A wyżej data: 24 sierpnia 2006. Jest sierpień?

Wsiadamy do japońskiego samochodu. Jeden z urzędników siada obok mnie. Jesteśmy jeszcze na terenie amerykańskiej bazy, widzę pojazdy wojskowe i hangary. Mężczyzna siedzący obok mnie wyjmuje małe pudełeczko, otwiera je i pisze coś na klawiaturze. Potem zamyka je i telefonuje. - Co to jest?

- Komórka, telefon. Coś jak mały komputer z funkcją pisanania - odpowiada.

Bolą mnie nadgarstki i kostki - kajdanki były zbyt mocno zaciśnięte. Kierowca obsługuje odbiornik radiowy. Trzeszczy.

- Podejrzane auto z przodu. Zmienić kierunek jazdy. Proszę jechać...

Kierowca hamuje i skręca. Patrząc na urzędnika siedzącego obok.

- Media. Próbujemy ominąć media. Pojechał już wprawdzie jeden samochód, który powinien ich zmylić, ale wolimy

być pewni - mówi.

Wiem, jestem w Niemczech i możliwe nawet, że jestem wolny, w każdym razie nie nałożyli mi kajdanek. Chcę spać. Tak szybko się to wszystko dzieje. Ale chcę także zobaczyć rodzinę i zupełnie nie wiem, co mam powiedzieć tym ludziom. Nie mówię nic.

Co chwila odzywa się radio i kierowca zmienia trasę.

Wjeżdżamy do miasta. Widzę nieznane samochody na ulicach, uderza mnie mnogość kolorów i ludzi. Od lat czegoś takiego nie widziałem i przytłacza mnie to. Gdzie jesteśmy?

- Zawieziemy pana do Czerwonego Krzyża.

Auto zatrzymuje się na parkingu przed dużym budynkiem, który wygląda na hotel. Mój pierwszy krok na niemieckiej ziemi, myślę. Ten budynek to dom starców. Tak jest napisane na tabliczce. Dozorca otwiera drzwi.

- Serdecznie witamy, panie Kurnaz - mówi jakaś kobieta i uśmiecha się do mnie. - Jestem z Czerwonego Krzyża.

To były pierwsze miłe słowa, jakie usłyszałem od pięciu lat.

Napisy w holu: stołówka, sala tańca, toaleta. Dozorca, kobieta z Czerwonego Krzyża i urzędnicy prowadzą mnie do windy.

Gdy drzwi windy się otwierają, widzę całą moją rodzinę. Rozpoznaję matkę. Bardzo schudła. Jest mój brat Ali i stryjek. Nie ma Alpera. I gdzie jest ojciec?

Mama obejmuje mnie i nie puszcza. Płacze. Jestem szczęśliwy, ale łzy matki sprawiają, że źle się czuję. Potem obejmują mnie inni.

W sąsiednim pomieszczeniu czeka nakryty stół, uginający się od potraw. Zdumiewające, ale nie chce mi się jeść. Powinienem spróbować, myślę, bo

może ta miła pani z Czerwonego Krzyża przyrządziła to specjalnie dla mnie? Wszystko jest takie nowe: i ci ludzie w cywilnych ubraniach, i te komórki, na których pokazują mi zdjęcia moich ciotek, siostrzenic i siostrzeńców. Sami robimy sobie zdjęcia komórkami i oglądamy je. Wszystko to takie nierzeczywiste.

Dlaczego stryjek nic nie mówi?

Po cichu pytam mamę: czy to ojciec?

Teraz rozumiem.

Nie rozpoznałem własnego ojca, ponieważ dawniej ważył sto dziesięć kilogramów i był bardzo silny, a teraz jest chudy i siwy jak jego starszy brat. Alpera wziąłem za Alego, a przecież on miał dopiero pięć lat, gdy wyjeżdżałem z Niemiec. Ali to teraz duży, silny mężczyzna - ma osiemnaście lat. Wydaje mi się niemal obcy.

Alper siada mi na kolanach. Są wszyscy: Baher, mój niemiecki adwokat Bernhard Docke, pani z Czerwonego Krzyża, urzędnicy i lekarz, którego bardziej niż ja potrzebuje teraz mama - doktor podaje jej tabletki na uspokojenie.

Prawnicy chcą wiedzieć, jak przebiegał lot i czy byłem jeszcze związany, czy proponowano mi coś do jedzenia lub do picia. Policjanci rozmawiają z adwokatami. Mama ciągle jeszcze popłakuje. Obejmuję ją i mocno przytulam. Spostrzegam na swoim nadgarstku zieloną plastikową opaskę ze zdjęciem, numerem 061 i nazwiskiem: KUNN, MURAT.

Na oczach całej rodziny zrywam ją dwoma palcami. Przez pięć lat niemal codziennie przesłuchiwali mnie, dręczyli i torturowali, ale do końca nie potrafili napisać poprawnie mojego nazwiska. Gdy kiedyś zwróciłem im na to uwagę, zbili mnie i zapytali, skąd przyszedł mi do głowy pomysł, żeby

podawać fałszywe nazwisko. Przez lata pytali mnie o nazwisko, a ja za każdym razem je literowałem.

Rzucam opaskę na podłogę.

Ali podnosi ją i chowa.

Wieczorem odjeżdżamy. Jedziemy mercedesem ojca, do Bremy mamy sześćset kilometrów. Przejeżdżamy przez to obce miasto, Baher z adwokatem z Niemiec jadą innym samochodem przed nami. Czuję się, jakbym powracał z przeszłości.

Pięć lat to nie musi być długo. Ale jeśli przez te pięć lat siedzi się w klatce i jest się całkowicie odcięty od świata, nie ma się telewizora, nie docierają żadne wiadomości, nie ma gazet, radia, a widzi się tylko kraty i ludzi w mundurach, to człowiek czuje się, jakby powracał z epoki kamienia łupanego.

Mama, Ali i Alper siedzą z tyłu. Myślę o mojej żonie i o wujku Ekramie, który jest dla mnie jak przyjaciel i brat. Wujek Ekram po jakiejś bójkę z użyciem noży spędził kilka lat w więzieniu. Opowiadał mi o tym. W Guantanamo często myślałem o jego słowach. On jako jedyny będzie sobie umiał to wszystko wyobrazić. Samochód jadący przed nami wjeżdża na autostradę. Postanawiam, że pierwsze, co zrobię, kiedy znajdę się w domu, to zadzwonię do wujka Ekrama.

Pytam tatę, co u babci.

- Babcia nie żyje - odpowiada ojciec. - Umarł jeszcze ktoś, kogo bardzo kochałeś.

- Wujek Ekram? - Od razu wiem, o kogo chodzi.

-Tak.

Cała moja radość znika.

Nie mogę nawet zapytać, w jaki sposób zmarł. Życie już nigdy nie będzie takie samo. Nie ma już tego, co przez te wszystkie lata w więzieniu sobie wyobrażałem. Wujek Ekram miałby teraz trzydzieści pięć lat.

Jedziemy. Alper zasnął. Jest ciemno i nikt się nie odzywa.

Ojciec pali.

- Sprowadzę Fatimę do Niemiec tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Ojciec spogląda na mnie.

- Ona nie przyjedzie - mówi.

Dziwię się. Nie widzieliśmy się pięć lat. Jest moją żoną. Naturalnie, że przyjedzie!

- Nie, nie przyjedzie.

-Ale czemu? Zadzwońię do niej. Na pewno już się dowiedziała, że wyszedłem, nie?

- Rozwiodła się z tobą.

Nie zadaję więcej pytań. Ojciec prowadzi.

Niech Allach da nam wszystko, co dla nas dobre.

Tak mówię.

Co miałem zrobić? Fatima nie wiedziała przez całe lata, czy żyję. Ani telefonu, ani znaku życia. Miała prawo *zaządać* rozwodu. Jest jeszcze młoda. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek wrócę. Była dobrą żoną, mówił później ojciec. Czekala na ciebie całe trzy lata. Gdyby wiedziała, że wyjdiesz za dziesięć lat, czekałaby dziesięć.

Dzisiaj cieszę się, że Fatima jest wolna. Może poślubiła innego mężczyznę i jest szczęśliwa. Chcę, żeby była szczęśliwa. Nie mam z nią kontaktu. Nie chcę jej przypominać dawnych czasów.

Samochód jadący przed nami pokazuje światłami, że adwokaci zjeżdżają odpocząć do zajazdu. Zatrzymujemy się, wysiadam.

- Mam w bagażniku kawę - mówi mama. - Chcesz się napić?

Oczywiście, że chcę.

Mama nalewa mi kawę do kubka, a ja patrzę na gwiazdy - po raz pierwszy od pięciu lat widzę gwiaździste niebo! Gwiazdy nigdy jeszcze nie były tak piękne. Dociera do mnie, ile straciłem przez wszystkie te lata, co mi tak naprawdę zabrali.

Jest ciemno, jako wolny człowiek patrzę w gwiazdy.

Zupełnie zapomniałem o kawie.

Gdy dojeżdżamy do Bremy, na naszej małej uliczce stoją dziesiątki samochodów. Reflektory, wozy transmisyjne, autobusy z łączami satelitarnymi na dachu. Fotografowie i kamerzyści tłoczą się przed naszym domem. Nie patrzę na nich. Nie chcę z nimi rozmawiać, nie chcę, żeby robili mi zdjęcia.

Adwokaci hamują. Baher wysiada. Widzę, jak otaczają go dziennikarze. Błyski aparatów, prawdziwa burza. Baher i Bernhard oddalają się nieco od naszego domu, a tłum dziennikarzy podąża za nimi. Mama i ja wysiadamy, szybko, matka narzuca mi koc na głowę. Jesteśmy w korytarzu.

Zdjęcie Bahera przedrukowała większość gazet. W niektórych podpis głosił: „Bremeński talib powrócił do domu, nosi krótką brodę i okulary”. W ten sposób także Baher awansował na taliba. Cóż, w końcu urodził się w Egipcie.

Brema, Hemelingen

Od razu poszedłem do piwnicy. Pstryknąłem światło, chciałem po długiej przerwie zobaczyć swój pokój. Wszystko było dokładnie tak, jak zostawiłem. Nic nie zostało zmienione. Nawet kartka, którą napisałem kilka dni przed wyjazdem, nadal leżała na stole. „Kupić baterie” - przeczytałem. Niczego nie ruszyli, nawet Alper ani Ali nie mogli się tu bawić. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Czarna skórzana sofa, niebieski tapczan do spania, szklana szafka, mały galeon. Wszystko tak, jak urządziłem w wieku trzynastu lat.

Pod szafą leżał kufer. Wyciągnąłem go i otworzyłem. Był w nim stary projektor do slajdów, który podarował mi wujek Ekram. Wyjąłem go i obejrzałem. Potem poszedłem do salonu.

Wszyscy siedzieli przy stole, tylko Alper już zasnął. Cicho grał telewizor, więc przez chwilę w milczeniu wpatrywałem się w ekran. Ali wyciągnął portmonetkę. Pokazywał mi monety i banknoty euro. Wydawały mi się pieniążkami do zabawy dla dzieci. W kącie słychać było wentylator. Mama i Ali uskarżali się na upał. Mnie było przyjemnie chłodno.

- Chłopcze, ty przecież musisz być głodny - powiedziała mama.

Na kuchence stało mnóstwo garnków. Mama podała do stołu same przysmaki: baraninę, kebab, ryż, fasolkę, frytki, kartofle, różne zupy. Musiała to gotować kilka dni. Otworzyłem lodówkę: istna kraina pasibrzuchów! Usiadłem obok na 238 podłodze i powyciągałem ze środka

wszystko, do ostatnie-

go słoiczka musztardy. Potem poustawiałem to przed sobą i przemyślałem, co zjadłbym najpierw, a co w dalszej kolejności. A więc najpierw ostrą zupę paprykową, potem ser żółty, oliwki, kebab, fasolkę, bakławę, ogórki konserwowe...

Nie. Najpierw ten pyszny batonik, który jadałem jako dziecko.

Wszystkie batoniki.

Jadłem, co tylko mogłem.

Nie wiedziałem, która jest godzina. Ale było mi wszystko jedno, mogłem przecież zaciemnić swój pokój i spać, jak długo zechcę. Tato już usnął, a mama pościeliła mi na kanapie. Pierwszy raz od mojego wyjazdu coś tu zmieniła. Złożyłem z powrotem kanapę i rozłożyłem prześcieradło na dywanie. Było ciemno. Pomyślałem, że spanie w ciemności to jednak coś innego. Położyłem głowę na miękkich poduszkach i poczułem zapach kołdry. Mama zawsze suszyła pranie na świeżym powietrzu.

Panował całkowity spokój.

Nikt nie przyszedł, żeby mnie rewidować i bić.

Bardzo dobrze spałem. Pierwszy raz od niemal pięciu lat.

Następnego dnia przyszli Baher i Bernhard. Baher pożegnał się.

A potem się zaczęło. Ze względu na oblegających nas dziennikarzy ojciec wyłączył dzwonek i telefon. Czasami włączałem jednak aparat i zabierałem do swojego pokoju. Dzwoniłem do wszystkich możliwych znajomych. Cieszyłem się z tych rozmów. Przez cały czas drzwi się nie zamykały, bo wszyscy krewni chcieli mnie zobaczyć.

Każdy przynosił ze sobą coś do jedzenia. Oczywiście próbowałem

wszystkiego. Potem przyszli moi przyjaciele. Niektórzy zostali do późnej nocy. Następnego dnia wizyty nie 23' ustawały - i tak przez wiele tygodni. Między tymi odwiedzinami się modliłem.

Z rodzicami nie rozmawiałem o Guantanamo ani o tym, co mi tam zrobiono. Słuchałem, co mówią moi krewni i przyjaciele. Nie pytali mnie o nic. Gdyby spytali, udzieliłbym wszelkich odpowiedzi.

Nikt nie chciał nic wiedzieć. Tylko Bernhard, on ciągle miał jakieś pytania.

Fotografowie i kamerzyści stali przed naszym domem jeszcze jakieś dziesięć dni. Później większość z nich się wycofała. W ciągu pierwszych trzech tygodni nie ruszałem się z mieszkania, dopiero potem odważyłem się wymknąć. Odwiedzili mnie dwaj przyjaciele i wzięliśmy mercedesa ojca. Wreszcie mogłem znowu prowadzić samochód. Pojechaliśmy w miejsce, gdzie jako dziecko bawiłem się i łowiłem ryby. Nad Wezerę, do stoczni i na duże złomowisko. Było już ciemno i szliśmy kawałek w żółtym świetle latarni. Usiadłem na palu cumowniczym i obserwowałem wodę.

Dopiero w tym momencie poczułem, że naprawdę jestem w domu.

Jeszcze dziś chodzę tam samotnie. Wcześniej jeździłem rowerem, teraz motorowerem. Nowo wybudowanymi ulicami świetnie się jeździ na motorowerze. Tam, gdzie dawniej były kartofliska i pola kukurydzy nad Wezerą, teraz są tereny przemysłowe. Nad Hegemennsee jak dawniej pachnie kawą. Wieczorami siaduję tam i odnajduję prawdziwy spokój.

Od czasu jak wróciłem do domu, niemal nie wychodzę na ulicę, wolę jeździć motorowerem albo samochodem. Pieszko nigdy daleko nie zajdę;

wiem, bo kilka razy próbowałem. Zaczepia mnie wielu ludzi: niektórzy chcą sobie ze mną zrobić zdjęcie, inni proszą nawet o autograf. Zazwyczaj są bardzo

mili, zadają mi pytania. Nie mogę jednak na wszystkie odpowiedzieć, ale nie chcę wydawać się wyniosły i odmawiać odpowiedzi.

Wiem, że z moją długą brodą i długimi włosami rzucam się w oczy. Ale bardzo lubię swoją brodę. Myślę, że jest bardzo ładna. Zapuszczenie jej było jedyną oznaką mojej wolności w Guantanamo.

Ostatnio zaczepił mnie na ulicy w Hemelingen jakiś młody chłopak. Był to młodszy brat mojego przyjaciela z przedszkola, obecnie ma dwadzieścia dwa lata. Powiedział mi, że też spędził trzy lata w więzieniu, w Bremie. Zbierał w tym czasie wszystkie informacje na mój temat, które pojawiały się w mediach. Wyglądało na to, że stałem się dla niego rodzajem wzoru. Ludzie, którzy byli już kiedyś w więzieniu, bardziej przejmowali się moją historią.

Pewnego dnia przyszedł do nas burmistrz Bremy. Przyniósł bukiet kwiatów i zadeklarował, że nie ma nic wspólnego z dawnymi władzami miasta i chce mnie serdecznie powitać. Był jedynym, który coś takiego powiedział. Nikt poza moim adwokatem nie zapytał mnie, czy nie potrzebuję jakiejś pomocy - czy to medycznej, czy psychologicznej.

Do niedawna nie miałem żadnego ubezpieczenia zdrowotnego. Powiedziano mi bowiem, że prawo do ubezpieczenia daje mi tylko stała praca albo zasiłek społeczny. Nikt nie potrafił mi pomóc. Wciąż brakowało jakichś papierów. W którymś momencie zrezygnowałem. A teraz znalazłem wreszcie pracę.

Innego dnia w sąsiedztwie wybuchł pożar. Jechałem akurat motorowerem i miałem na sobie kask, a pod nim specjalną czapkę. W naszym korytarzu

czuć było jeszcze dym. Pobiegnęłam do mieszkania. Zamknęłam wszystkie okna i wybiegnęłam na dwór, żeby zobaczyć, skąd ten dym dochodzi.

Palił się warsztat samochodowy na końcu naszej ulicy. Dym z palących się opon wił się kruczoczarną smugą nad domami. Była tam już straż pożarna i wiele osób z naszej dzielnicy przyglądało się akcji. Miałem na sobie jeszcze kurtkę na motorower, a z powodu dymu nie zdjąłem też kasku. Gdy przyjechała policja, zapytałem jednego z funkcjonariuszy, czy ze względu na dym nie należałoby ewakuować okolicznych domów.

- Wszystko jest pod kontrolą - powiedział policjant.

Przyglądałem się ogniowi. Przyjechali operatorzy telewizyjni.

W chwilę później podszedł do mnie tamten policjant i powiedział, że chciałby zobaczyć moją twarz. Zdjąłem kask.

- Teraz wiem, kim jesteś - powiedział.

Podszedł do samochodu i przekazał coś przez radio. Potem wrócił.

- Dlaczego masz na twarzy kominiarkę?
- Ponieważ się pali. Jeździłem motorowerem i zostałem w tym, w czym byłem, żeby nie wdychać dymu.

Policjant poprosił mnie o dowód osobisty, ale miałem przy sobie tylko prawo jazdy.

- Gdzie ten twój motorower?
- Tu, zaraz obok drzwi. Chce pan zobaczyć?
- Nie. Zabierzemy cię ze sobą i sprawdzimy, czy nie masz nic wspólnego z podpaleniem.

Gdy byliśmy w drodze, na moją komórkę zadzwoniła mama.

- Mówić po niemiecku, nie po turecku - syknął policjant.

Wyjaśniłem matce po niemiecku, dlaczego jadę na komisariat do Bremy. Chciałem wiedzieć, czy policjanci odwiozą mnie z powrotem, czy ma po mnie ktoś przyjechać. Policjant nie odpowiedział. Na komisariacie kazali mi się rozebrać do

naga, bo chcieli sprawdzić, czy nie mam przy sobie środków łatwopalnych. Powiedziałem im, że religia nie pozwala mi rozebrać się przed nimi całkowicie. Jeden z policjantów odparł:

- W takim razie wezwiemy kolegów, którzy cię do tego zmuszą, a to z pewnością nie będzie dla ciebie miłe.

Zaproponowałem, żeby zamknęli okno, wtedy zasłonę się tylko kurtką, a oni przeszukają resztę moich ubrań.

Zgodzili się na takie rozwiązanie.

Nie miałem przy sobie nawet zapalniczki, bo nie palę papierosów.

Dziś z niechęcią myślę o tej historii. Mama niepotrzebnie się przestraszyła, a ja zadaję sobie pytanie, dlaczego ze stu osób przyglądających się pożarowi mnie jednego zabrali ze sobą na komisariat. Czy w oczach policjantów wciąż jeszcze byłem terrorystą? Talibem, który podpala warsztat oponiarski położony dwieście metrów od domu?

Niedługo po Bożym Narodzeniu 2006 roku dostałem wezwanie z wydziału kryminalnego policji w Bremie. Miałem jeszcze raz wypowiedzieć się na temat dwóch niemieckich żołnierzy, którzy bili mnie w Kandaharze. Chodziło o to, czy potrafię rozpoznać ich na zdjęciu. Pojechałem z Bernhardem. Przy wejściu chcieli nas przeszukać, sprawdzić, czy nie mamy broni, ale Bernhard zaprotestował. Powiedział, że zostałem wezwany jako świadek, niejako oskarżony.

Bali się mnie?

Przez długi czas nie miałem pewności, czy nie jestem obserwowany i podsłuchiwany. Nieraz w czasie rozmów telefonicznych słyszałem dziwne echo, nieraz całymi dniami stał na naszej ulicy samochód, który wydawał mi się podejrzany. Innym razem list dotyczący wydania tej książki nie dotarł do adresata. Może to były przypadki.

Moje wypowiedzi w mediach doprowadziły do tego, że zostało zarządzone dochodzenie w Bundestagu. Zeznawałem w Brukseli przed specjalną komisją do spraw działań CIA i przed specjalną komisją do spraw działań Federalnej Służby Wywiadowczej (BND). W przerwie między przesłuchaniami podszedł do mnie jeden z policjantów, którzy odebrali mnie z samolotu w Ramstein i odprowadzili do rodziców.

- Nie wiedziałem tego wszystkiego - powiedział.

A oto, czego ja nie wiedziałem: Amerykanie mieli mnie uznać za niewinnego i okazali gotowość wypuszczenia mnie na wolność już w 2002 roku. Byłem bardzo zdziwiony. Dlaczego mnie zatem nie wypuścili?

Dowiedziałem się, że rząd niemiecki nie chciał wydać zezwolenia na mój wjazd do Republiki Federalnej. Uzasadniał to tym, że nie złożyłem wniosku we właściwym terminie. Nie mogłem go złożyć, bo siedziałem w Guantanamo. Nawet gdybym chciał to uczynić, Amerykanie wyśmialiby mnie i osadzili w izolatce.

Z relacji mojego adwokata wynika, że Niemcy domagali się wręcz od Amerykanów mojego paszportu, aby unieważnić w nim zezwolenie na pobyt. Nie wiem, czy to prawda. Jeśli tak, jeśli dopuszczono do tego, żeby mnie torturowano, choć można było tego uniknąć, to brak mi po prostu słów.

Obecnie mam bezterminowe prawo pobytu i chcę się ubiegać o niemieckie obywatelstwo. Nie wiem, czyje otrzymam. Chcę pozostać w Niemczech. Chcę mieszkać i pracować w Hemelingen. Tu się urodziłem, wychowałem; tu jak wszyscy inni chodziłem do szkoły. Oczywiście w domu rozmawiamy po turecku, ale mieszkam w Niemczech i czuję się Niemcem. Szczególnie serdecznie chcę podziękować pani kanclerz Angeli Merkel, za to że zabiegała o moje uwolnienie.

Kraj, którego jestem obywatelem, nie pomógł mi. Za to mam w nim odbyć służbę wojskową. Władze tureckie nie tra-
ciły czasu -już następnego dnia po powrocie do Hemelingen otrzymałem wezwanie w tej sprawie, prosto z Turcji.

Co do mojego przyjaciela Selcuka, rzekomego zamachowca samobójcy, to mieszka w Bremie. Dowiedziałem się, że został ojcem. Nie wiem, co wtedy Selcuk myślał ani co naprawdę zrobił. Nigdy go już nie widziałem. Nie jestem na niego zły, że nie przyjechał wtedy do Karaczi. Nie chcę jednak mieć z nim żadnych kontaktów. Mam teraz nowe życie, nowych przyjaciół.

Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby brat Selcuka w rozmowie telefonicznej z urzędnikiem straży granicznej nie stwierdził, że chcemy lecieć do Afganistanu, żeby tam walczyć. Ale stało się i się nie odstanie. W jakiejś gazecie przeczytałem, że brat Selcuka wycofał swoją wypowiedź.

Powoli dociera do mnie, w jaki sposób dostałem się w tryby wielkiej międzynarodowej polityki, choć wiele związków jest dla mnie wciąż niejasnych. Wiem też, że po wypowiedziach przed komisją nadzwyczajną w Berlinie znowu dostałem się w jej tryby, choć nie było to moim zamiarem.

Opowiedziałem tam, co mi się przydarzyło. Byłem zadowolony, że mnie wysłuchano. Od tego czasu czuję się jednak jakby na nowo oskarżony,

znowu podejrzany, że jestem terrorystą, choć przecież Amerykanie i Niemcy, którzy przesłuchiwali mnie w Guantanamo, a także prokuratura w Bremie, która badała mój przypadek, doszły do jednoznacznego wniosku, że jestem niewinny.

Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy moja niewinność nie będzie podawana w wątpliwość. Ważniejsze jest jednak dla mnie coś innego.

Dziennikarz tureckiej stacji informacyjnej zapytał mnie, czy widziałem film *Droga do Guantanamo (Road to Guantanamo)*. Chciał wiedzieć, na ile oddaje on prawdę o obozie.

Odpowiedziałem, że film jest udany, ale pokazuje zaledwie wycinek rzeczywistości.

Trzeba to opowiedzieć. Tym niekończącym się raportom, które produkuje się w Guantanamo, trzeba coś przeciwstawić. Trzeba powiedzieć: tak, chciałem oddać koc - i mimo to wytrzymałem kolejne cztery tygodnie w izolatce. Trzeba opowiedzieć, w jaki sposób Abdul stracił nogi, a marokański kapitan palce. W jaki sposób umierali więźniowie w Kanda-harze. Trzeba opowiedzieć, jak lekarze przychodzili jedynie po to, by sprawdzić, czy więzień już umarł, czy też wytrzyma tortury jeszcze przez jakiś czas.

Czy Guantanamo mnie zmieniło? Myślę, że nie. Nadal przecież jestem sobą. Noszę to samo nazwisko, mieszkam w tym samym domu. Pod koniec wywiadu turecki dziennikarz zapytał, co chciałbym robić, gdy skończę pisać książkę. Odpowiedziałem, że chciałbym się ożenić i, z wolą Bożą, założyć rodzinę.

Ale może jednak jakoś Guantanamo mnie zmieniło. Wiem już, co ludzie potrafią uczynić innym. Co mówią politycy, a jak postępują. Wiele spraw oceniam inaczej. Wiem, co znaczy móc jeść i spać. Co znaczy być

wolnym.

Spróbujcie to sobie wyobrazić: siedzę w swoim pokoju i mam w nim wszystko - Internet, telewizję, telefon, jedzenie, dużo jedzenia. Mam hantle, mogę uprawiać sport. Mam książki, mogę czytać. Ale gdyby ktoś zamknął te drzwi i byłbym uwięziony - co wtedy? Jak długo wytrzymałbym w swoim pokoju? Dwadzieścia cztery godziny to nie problem. Tydzień może też nie. Ale miesiące? Może w ten sposób ktoś potrafi wczuć się w to, co nadal przeżywają więźniowie w Guantanamo.

Myślę o tym, że kiedy ja tutaj zajadam się w najlepsze moimi ulubionymi słodyczami i mandarynkami, oni tam cierpią. Są bici i muszą znosić głód. Mniej rozmyślam o czasie, który sam tam spędziłem, niż o tych ludziach, z których niemało trafiło tam czternaście lat temu i którym młodość upłynęła na torturach. Ja sam jem, piję i śpię tak samo jak pięć lat wcześniej, ale wiem, że na Kubie torturuje się ludzi. Smutno mi, gdy o nich myślę.

Modłę się, żeby odzyskali wolność, żeby więzienie zostało zamknięte.

Z mamą i tatą w dalszym ciągu nie rozmawiam o Guantanamo. Nie pytają mnie o to.

Może potrzeba czasu, żeby to było możliwe.

Wyglądałem kiedyś przez okno. Padał śnieg. Weszła mama i spytała:

-Jak to było na Kubie? Padał śnieg? - Nie, mamo.

Oczywiście, że nie. Na Kubie nigdy nie pada śnieg.

kronika zdarzeń

3 października 2001 roku

Kilka tygodni po zamachach 11 września dziewiętnastoletni Murat Kurnaz leci z Frankfurtu do Karaczi w Pakistanie. Świadkowie zeznają, że Kurnaz chce podobno walczyć z Amerykanami w Afganistanie. Przez kolejne tygodnie pozostaje w Pakistanie.

7 października 2001 roku

Początek wojny w Afganistanie. Wojska amerykańskie bombardują stanowiska talibów i ośrodki szkoleniowe Al-Kaidy.

11 października 2001 roku

Prokuratura w Bremie rozpoczyna postępowanie przeciwko Kurnazowi i trzem innym osobom z powodu „podejrzenia, że stworzyli organizację przestępczą”. Najbardziej obciąża zaginionego syna jego zrozpaczona matka: mówi, że się zmienił, zapuścił brodę, prawdopodobnie pod wpływem prowadzącego modlitwy w meczecie. Imam zostaje przesłuchany, choć nie potwierdzają się jego kontakty z Kurnazem. Jakiś instruktor cytuje nieznanych kolegów szkolnych Kurna-za, według których Kurnaz zapowiadał, że chce pojechać do Afganistanu.

1 grudnia 2001 roku

Kurnaz zostaje zatrzymany w punkcie kontrolnym w pobliżu Peszawaru. Po wielodniowym pobycie w różnych więzieniach pakistańskich zostaje przekazany armii amerykańskiej, która przenosi go do tajnego więzienia USA w afgańskim Kandaharze, gdzie jest internowany i torturowany. Podczas zatrzymania Kurnaz był w drodze na lotnisko. Chciał wracać do Niemiec.

15 grudnia 2001 roku

Część elitarniej niemieckiej jednostki wojskowej KSK przybywa do Afganistanu. Do zadań żołnierzy tego oddziału należy ochrona tajnego więzienia USA w Kandaharze, gdzie torturowany był Kurnaz.

9 stycznia 2002 roku

Federalna Służba Wywiadowcza (BND) powiadamia Urząd Kanclerski, że Kurnaz posiada turecki paszport i jest przetrzymywany w Kandaharze na południu Afganistanu. Także niemieccy żołnierze z elitarniej KSK wiedzą, że w bazie amerykańskiej znajduje się podejrzany o terroryzm mężczyzna z Niemiec.

11 stycznia 2002 roku

Pierwszy transport więźniów z Afganistanu do Guantanamo. Według wiceprezydenta Dicka Cheney'a w przyszłości mają tam być internowani „najgorsi z najgorszych”.

18 stycznia 2002 roku

Niemieckie Federalne Biuro Policji Kryminalnej (BKA) przekazuje FBI informacje na temat Kurnaza. Chodzi o rozpoznanie sądu krajowego w Bremie podczas dochodzenia w sprawie utworzenia przestępczego ugrupowania.

20 stycznia 2002 roku

Administracja amerykańska upublicznia zdjęcia z Guantanamo. Pokazują upokarzanych więźniów w kajdankach, w nausznikach i zaciemnionych okularach. Obóz znajduje się w jednej z baz wojskowych USA na Kubie. Zdaniem Pentagonu nie podlega sądom

amerykańskim. USA odmawiają więźniom statusu jeńców wojennych, określając ich jako „nielegalnych bojowników” i wywołując międzynarodowe protesty.

23 stycznia 2002 roku

Według raportu Federalnej Służby Wywiadowczej (BND) Kurnaz znajduje się jeszcze w Afganistanie, ale „przygotowywane” jest „przeniesienie” go do Guantanamo. Z depeszy tych służb wynika, że USA wystosowały do Niemców „propozycję porozmawiania z M. K. i przepytania go”.

28 stycznia 2002 roku

Media donoszą, że Kurnaz znajduje się w amerykańskim więzieniu w Afganistanie. Pojawia się określenie „talib z Bremy”.

29 stycznia 2002 roku

W Urzędzie Kanclerskim obraduje wąska grupa fachowców pod przewodnictwem Franka-Waltera Steinmeiera. W tym ekskluzywnym posiedzeniu obok Steinmeiera i koordynatorów służb specjalnych biorą udział szefowie Federalnego Biura Policji Kryminalnej, Federalnej Służby Wywiadowczej (BND) i Federalnego Biura Ochrony Konstytucji (BfV), czyli kontrwywiadu, oraz sekretarze stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Sprawiedliwości. Gremium to *zgadza* się przyjąć propozycję Amerykanów i przesłuchać Kurnaza w Guantanamo. Przesłuchania przeprowadzić mają niemieccy wysłannicy.

30 stycznia 2002 roku

Wewnętrzna notatka Ministerstwa Spraw Zagranicznych mówi o dyskusji, jaką prowadzi szef Federalnej Służby

Wywiadowczej z sekretarzem stanu w niemieckim MSZ Guntherem Pleugnerem. Chodzi o to, czy na przesłuchanie Kurnaza powinien udać się także przedstawiciel tego ministerstwa. „Minister Fischer nie podjął jeszcze decyzji w tej sprawie” - to fragment służbowej notatki.

31 stycznia 2002 roku

Kanclerz Gerhard Schröder leci do Waszyngtonu. Podczas oficjalnej wizyty państwowej w Białym Domu nie porusza kwestii uwięzienia Murata Kurnaza. Rozważa się bezpośrednią interwencję u George'a Busha, ale zwycięża pragmatyzm i lęk przed obciążeniem stosunków niemiecko-amerykańskich.

1 lutego 2002 roku

Rabiye Kurnaz pisze do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Matka Murata Kurnaza prosi o informację o swoim synu. Policja informuje ją o planowanym przeniesieniu Murata do Guantanamo. Zrozpaczona szuka pomocy w Amnesty International i w Kościele ewangelickim.

2 lutego 2002 roku

Wojsko amerykańskie przewozi Kurnaza do Guantanamo. **8 lutego 2002 roku**

Minister spraw zagranicznych Joschka Fischer osobiście odpowiada na list rodziców Kurnaza i nakazuje niemieckim dyplomatom, by wystarali się o konsularne przedstawicielstwo dla Murata. Ambasada niemiecka w Waszyngtonie prosi władze USA o informację na temat uwięzionego.

15 lutego 2002 roku

Prokurator generalny odmawia przejęcia postępowania przygotowawczego przeciwko Kurnazowi. Uzasadnienie: nie

przedstawiono stosownego materiału dowodowego, który dawałby podstawy do postępowania w sprawie „tworzenia organizacji terrorystycznej”.

20 lutego 2002 roku

Przewodniczący bremeńskiego kontrwywiadu (LfV) Walter Wilhelm pisze notatkę, w której oświadcza, że Kurnaz miał powiązania ze środowiskami terrorystycznymi. Notatka ta wędruje do federalnej centrali kontrwywiadu (BfV). Tymczasem policja w Bremie przesłuchuje kolejnych przyjaciół i znajomych Kurnaza oraz niechętnych mu kolegów ze szkoły. Większość z nich wyklucza, że chciał walczyć w Afganistanie. Według jednej z notatek policyjnych w otoczeniu Kurnaza nie pojawiło się „żadne bezpośrednie zeznanie, według którego miałby on chcieć jechać do Afganistanu, by walczyć z Amerykanami”.

14 marca 2002 roku

Podczas debaty plenarnej minister spraw zagranicznych Joschka Fischer krytykuje USA za utworzenie obozu w Guantanamo.

28 kwietnia 2002 roku

Murat Kurnaz zostaje przeniesiony - wraz z trzystu innymi więźniami - z obozu X-Ray do nowo wybudowanego obozu Delta.

27 maja 2002 roku

Adwokat z Bremy, Bernhard Docke, zostaje pełnomocnikiem Murata Kurnaza i od tej chwili regularnie informuje media o jego sytuacji.

9 lipca 2002 roku

Po wielokrotnym przekładaniu proponowanego przez Amerykanów terminu

przesłuchania Kurnaza w Guantanamo

wąskie gremium w Urzędzie Kanclerskim *zgadza się*, by przedstawiciele niemieckich służb specjalnych go przesłuchali. Śledczym z Federalnego Biura Policji nie wolno wjechać na teren, na którym nie obowiązuje żadne prawo, czyli do Guantanamo. Władze amerykańskie i niemieckie od wielu miesięcy wymieniają informacje na temat Kurnaza.

17 lipca 2002 roku

Adwokat Bernhard Docke pisze do ministra spraw zagranicznych Joschki Fischera: „Obecna sytuacja budzi niepokój: nie dopuszcza się adwokatów, a ewentualne *zarzuty* nie zostały do tej pory w żaden sposób skonkretyzowane. Według mojej wiedzy strona amerykańska dotychczas nie określiła, jak długo zamierza przetrzymywać uwięzionego, nie wyjaśniła statusu więźniów ani nie podjęła jakiegokolwiek zobowiązania do stosowania standardów międzynarodowych praw człowieka zgodnie z Konwencją Genewską". W odpowiedzi ministerstwa omówiono sprawy znane od miesięcy: „Na ponowne zapytanie skierowane do władz amerykańskich po raz pierwszy odpowiedziano nam, że pan Kurnaz w istocie przetrzymywany jest w Guantanamo". Ministerstwo wskazuje na problem obywatelstwa Murata Kurnaza.

9 września 2002 roku

Po wizycie w Guantanamo Międzynarodowy Czerwony Krzyż wyraża publicznie troskę o zdrowie psychiczne więźniów.

22 września 2002 roku

Dzień wyborów do Bundestagu w Niemczech. Minimalną przewagą głosów wygrywa koalicja rządowa „czerwono-zie-lonych”. O zwycięstwie zdecydowała akcja plakatowa kanclerza Schrodera, mówiącego zdecydowanie „nie” wojennym planom prezydenta Busha w Iraku. Doprowadziło to do po-254 ważnych rozdzwieńków między Waszyngtonem a Berlinem.

Schröder pozostaje kanclerzem, Steinmeier szefem jego kancelarii, Fischer ministrem spraw zagranicznych, a Schily ministrem spraw wewnętrznych.

23/24 września 2002 roku

Pod kontrolą CIA dwaj przedstawiciele niemieckiej służby wywiadowczej (BND) i jedna osoba z kontrwywiadu (BfV) przez dwanaście godzin przesłuchują Kurnaza. Po przesłuchaniu przedstawiciel Biura Ochrony Konstytucji rozmawia z oficerem sztabowym CIA i odnotowuje, że „według szacunków amerykańskiego odpowiednika nie mała część internowanych w Guantanamo nie może być zaliczona do środowisk terrorystycznych”. Były podobno sygnały wprost z Pentagonu, że Murat Kurnaz „już w niedalekiej przyszłości” mógłby wyjść na wolność. W notatkach tych pada jednak stwierdzenie, że „przed ewentualnym zwolnieniem Kurnaza należy tylko wyjaśnić, czy Niemcy w ogóle życzą sobie powrotu obywatela tureckiego, a jeśli nie, to czy nie powinny posiadać dokumentacji, że uczyniono wszystko, by temu powrotowi zapobiec. Należy bowiem oczekiwać wzmożonego zainteresowania mediów”.

26 września 2002 roku

Federalna Służba Wywiadowcza (BND) przekazuje Berlinowi: „USA uznają niewinność Murata Kurnaza za dowiedzioną. Ma on odzyskać wolność za

sześć do ośmiu tygodni. Władze niemieckie zostaną wcześniej poinformowane, aby uwolnienie mogło być przedstawione jako wynik wysiłków strony niemieckiej". Trwają dyskusje, czy nie zatrudnić Murata Kurnaza jako informatora służby wywiadowczej wśród muzułmańskich mieszkańców Niemiec.

8 października 2002 roku

Do Urzędu Kanclerskiego wpływa sprawozdanie służb wywiadowczych (BND) z przesłuchań w Guantanamo. Według

współpracownika z CIA „rokowania są dobre”: Kurnaz wraz z innymi więźniami może wyjść na wolność w listopadzie. Podczas narady szefów organów bezpieczeństwa zapada decyzja, by nie zatrudniać Kurnaza jako informatora służb.

13 października 2002 roku

Prokuratura w Bremie czasowo umarza postępowanie przeciwko Kurnazowi.

27 października 2002 roku

Pierwsi więźniowie Guantanamo wychodzą na wolność i powracają do swoich krajów. Są to dwaj Afgańczycy i jeden Pa-kistańczyk. Przekazują oni mediom informacje o izolatkach i brutalnym traktowaniu.

29 października 2002 roku

Posiedzenie w wąskim gronie w Urzędzie Kanclerskim pod przewodnictwem szefa Urzędu, Steinmeiera, na temat „zapytania USA”, czy Kurnaz ma być wysłany do Turcji, czy do Niemiec. Szef służb

wywiadowczych (BND) Hanning opowiada się za odesłaniem go do Turcji i wystawieniem zakazu wjazdu do Niemiec. Zgadzają się z nim koordynator służb specjalnych Ernst Uhrlau, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Claus-Henning Schaper oraz inni uczestnicy spotkania.

30 października 2002 roku

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na polecenie sekretarza stanu Schapera powstaje dokument zakazujący Kurnazowi wjazdu do kraju, na wypadek, gdyby USA wysłały go jednak do Niemiec. W dokumencie znajduje się między innymi: „prośba do strony amerykańskiej o udostępnienie paszportu, aby umożliwić unieważnienie zezwolenia na pobyt 256 w naszym kraju”.

8 listopada 2002 roku

Urząd Ochrony Konstytucji informuje CIA, że w przypadku wypuszczenia Kurnaza na wolność wyraża „wyraźne życzenie”, żeby nie wracał on do Niemiec.

9 listopada 2002 roku

Z wewnętrznych notatek służb wywiadowczych wynika, że decyzja rządu niemieckiego, która właśnie trafiła do CIA, spotkała się z niezrozumieniem strony amerykańskiej. „Zwolnienie zaplanowane zostało ze względu na niedającą się stwierdzić winę więźnia oraz jako wyraz współpracy z władzami niemieckimi”. Strona amerykańska przypuszcza, że niemiecki rząd federalny chce zademonstrować nieugiętość w walce z terroryzmem, ale „w interesie USA” byłaby inna decyzja.

Grudzień 2002 roku

Kierownictwo Biura Policji Kryminalnej (BKA) nie jest zadowolone z wyników przesłuchania Kurnaza przez BND i przedstawiciela Biura Ochrony Konstytucji (BfV). BKA rozważa wysłanie do Guantanamo własnych przedstawicieli, aby przesłuchali Kurnaza raz jeszcze. Na piśmie BKA pyta więc władze USA, czy rzeczywiście mają zamiar uwolnić Murata Kurnaza.

24 lutego 2003 roku

Informacja CIA dla władz niemieckich: w chwili obecnej nie można zagwarantować przewiezienia Kurnaza. Później amerykańskie władze wojskowe wnoszą przeciwko Kurnazowi dwa pozwy i bezskutecznie próbują uzyskać w prokuraturze w Bremie dostęp do jego akt.

Październik 2003 roku

Minister sprawiedliwości RFN Brigitte Zypries składa wizytę swojemu amerykańskiemu odpowiednikowi Johnowi Ashcroftowi. Choć rozmawiają na temat obozu w Guantanamo i międzynarodowej krytyki jego działania, ani słowa nie mówi się o przypadku Murata Kurnaza.

12 listopada 2003 roku

Adwokat Docke pisze do ministra spraw zagranicznych Joschki Fischera: „Rodzina mojego klienta jest w najwyższym stopniu z troską o jego dalszy los. Od maja ubiegłego roku nie przychodzą od niego pocztą żadne wiadomości”. Po dwóch miesiącach i kilku kolejnych pismach Docke otrzymuje odpowiedź: „Ze względu na obywatelstwo pana Kurnaza odwiedzili go przedstawiciele tureckiego rządu. Z tych kontaktów i innych okoliczności wnosimy, że jak na warunki, w jakich przebywa, jest zdrowy”.

19 listopada 2003 roku

Minister spraw zagranicznych Fischer omawia przypadek Kurnaza ze swoim amerykańskim kolegą Colinem Powellem, bez rezultatów. Kilka dni później „Der Spiegel” publikuje szczegóły nieznanego dotąd przesłuchania Kurnaza przez przedstawicieli służb specjalnych, które odbyło się jesienią 2002 roku.

Początek kwietnia 2004 roku

Ponowne przesłuchanie Murata Kurnaza. Kurnaz uważa, że przesłuchuje go jeden z trzech Niemców, którzy robili to już we wrześniu 2002 roku. Trzej niemieccy urzędnicy zaprzeczają później w „służbowym wyjaśnieniu” dla Urzędu Kanclerskiego, jakoby kiedykolwiek byli w Guantanamo.

12 maja 2004 roku

Miasto Brema stwierdza formalnie, że prawo pobytu Murata Kurnaza wygasło w maju 2002 roku. Tę decyzję uznaje później za bezprawną sąd administracyjny miasta Bremy.

28 czerwca 2004 roku

Supreme Court, najwyższy amerykański organ sądowy, przyznaje wszystkim więźniom prawo zaskarżania ograniczenia wolności w amerykańskich trybunałach. Obóz jeniecki na Kubie podlega odtąd sądownictwu federalnemu USA.

2 lipca 2004 roku

Rabiye Kurnaz składa w imieniu syna wniosek o zbadanie podstaw aresztowania. Uzasadnia, że uwięzienie Murata Kurnaza stanowi naruszenie amerykańskiego prawa konstytucyjnego, Konwencji Genewskiej oraz pozostałych praw człowieka. Podobne zażalenia

składa sześćdziesięciu trzech innych więźniów.

Sierpień 2004 roku

Władze Bremy uznają bezterminowe zezwolenie na pobyt Murata Kurnaza za wygasłe. Prawdopodobnie jest to skutek starań Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

30 września 2004 roku

Murat Kurnaz zostaje postawiony przed *Combatant Status Re-view Tribunal* (CSRT) w Guantanamo. Takie trybunały działają od wielu tygodni, szeregując więźniów. Toczą się pozorne rozprawy. Sądy te krytykują prawnicy na całym świecie. Wszyscy, którzy złożyli zażalenia w sprawie zbadania podstaw aresztowania, zostają uznani za „wrogich bojowników”.

8 października 2004 roku

Po decyzji Sądu Najwyższego USA z lata tego roku, zapewniającej więzionym w Guantanamo możliwość dochodzenia swoich praw przed trybunałami amerykańskimi, Kurnaza odwiedza na Kubie po raz pierwszy Baher Azmy, adwokat amerykański. To pierwsza z kilku wizyt profesora prawa z New Jersey.

1 grudnia 2004 roku

Kwestię dopuszczenia lub oddalenia skarg więźniów rozważa amerykańska sędzina Joyce Hens Green. Konstruuje ona hipotetyczne przypadki, które mają pomóc wyjaśnić, kiedy można uznać kogoś za „wrogię bojownika”. Pierwszy: „Starsza pani w Szwajcarii, która wystawia czeki dla organizacji zbierającej fundusze na pomoc sierotom

w Afganistanie. Okazuje się jednak, że w rzeczywistości jest to przykrywka dla organizacji finansującej działania Al-Kai-dy". Drugi: „Osoba ucząca angielskiego syna członka Al-Ka-idy". Trzeci: „Dziennikarz, który zna miejsce pobytu Osamy bin Ladena, ale nie wydaje go, by chronić źródło tej informacji". Zgodnie ze stanowiskiem rządu amerykańskiego osoby przedstawione w każdym z tych przypadków zostałyby uznane za „wrogich bojowników" i tym samym usprawiedliwione byłoby ich osadzenie w Guantanamo.

31 stycznia 2005 roku

Amerykańska sędzina Joyce Hens Green orzeka, że więzienie ludzi w Guantanamo jest sprzeczne z konstytucją USA. W uzasadnieniu wyroku przedstawia przypadek Murata Kur-naza, ponieważ przeciwko niemu również - zdaniem rządu niemieckiego - nie zostały przedstawione żadne dowody.

9 marca 2005 roku

Po kolejnej wizycie u Kurnaza amerykański adwokat Ba-her Azmy opowiada na konferencji prasowej w Niemczech o „torturach fizycznych, psychicznych i seksualnych", których Kurnaz doświadczył w areszcie USA. Kilka dni później Azmy, Docke i rodzina Kurnaza jadą do Turcji. Policja wskazała bowiem ten kraj jako miejsce, do którego Amerykanie odeślą z Guantanamo Kurnaza. Informacje te okazują się fałszywe.

14 października 2005 roku

Przypadek Kurnaza omawia pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych RFN z przedstawicielem Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Ministerstwie Sprawiedliwości USA. W związku z tym przedstawiciel

Urzędu Kanclerskiego notuje: „Jeśli ambasada okazuje zainteresowanie osobą M[urata] Kurnaza], to po stronie amerykańskiej musi przecież powstać przeświadczenie, że chcemy, aby powrócił do Niemiec. Wydaje mi się, że te działania nie są do końca skoordynowane”.

26 października 2005 roku

Fragment notatki Ministerstwa Spraw Zagranicznych: „Według Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i szefa Urzędu Kanclerskiego kwestia wystawienia Kurnazowi zezwolenia na ponowny wjazd [do RFN] była już wielokrotnie rozważana przez służby wywiadowcze. Tam też, w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, podjęto zgodną decyzję o odmowie wystawienia mu zezwolenia na wjazd”. Służby specjalne miały nadzieję „otrzymać od strony amerykańskiej dalsze informacje, które potwierdzą podejrzenia o wspieraniu przez niego międzynarodowego terroryzmu”. Szef Urzędu Kanclerskiego Steinmeier był według tej notatki przeciwny wpuszczeniu Murata Kurnaza do RFN.

22 listopada 2005 roku

Nową kanclerz, wybraną przez niemiecki Bundestag, zostaje Angela Merkel. Frank-Walter Steinmeier jest teraz ministrem spraw zagranicznych, August Hanning sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ernst Uhrlau, wcześniej koordynator służb specjalnych w Urzędzie Kanclerskim, zastępuje Hanninga na stanowisku szefa Federalnej Służby Wywiadowczej (BND). Nowy minister spraw wewnętrznych

Wolfgang Schauble potwierdza publicznie, że niemiecki wywiad pracuje w Guantanamo.

30 listopada 2005 roku

Wyrok bremeńskiego sądu krajowego: Murat Kurnaz nie stracił pozwolenia na pobyt w Niemczech. Ambasada niemiecka w Waszyngtonie otrzymuje w związku z tym e-mail z Ministerstwa Spraw Zagranicznych: „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poufnie zwraca uwagę, że nie oznacza to, iż Kurnaz stał się osobą bardzo w Niemczech pożądaną”.

16 grudnia 2005 roku

Władze Bremy w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych chcą zapobiec powrotowi Kurnaza. Zbierane są w tym celu obciążające go materiały. Szef kontrwywiadu krajowego w Bremie (LfV) pisze nową notatkę, zawierającą dawne, częściowo już obalone zarzuty, według których Kurnaz „po przyjeździe do Pakistanu aktywnie wspierał walkę talibów i Al-Kaidy w Afganistanie”.

19 grudnia 2005 roku

Bernhard Docke pisze list do Angeli Merkel. Przypomina pani kanclerz, że „pan Kurnaz od czterech już lat przetrzymywany jest w Guantanamo w niegodnych człowieka warunkach. [...] Wielokrotnie prosiłem w przeszłości Ministerstwo Spraw Zagranicznych, aby naciskać na USA w sprawie uczciwego procesu albo - w razie gdyby nie postawiono mu zarzutów - na zwolnienie pana Kurnaza. Inne kraje europejskie wstawiały się za swoimi obywatelami przetrzymywanymi w Guantanamo i doprowadzały do ich uwolnienia”.

13 stycznia 2006 roku

Kanclerz Angela Merkel podczas pierwszej po objęciu urzędu wizyty w Białym Domu wstawia się u prezydenta USA George'a Busha za Kurnazem i opowiada się za jego uwolnieniem. Kilka dni

wcześniej w jednym z wywiadów publicznie skrytykowała Guantanamo: „Trzeba znaleźć środki i sposoby innego traktowania więźniów”.

17 stycznia 2006 roku

W Urzędzie Kanclerskim wąskie grono urzędników podejmuje decyzję, że należy zaakceptować możliwość powrotu Murata Kurnaza.

29 czerwca 2006 roku

Wyrok amerykańskiego Sądu Najwyższego: trybunały wojskowe w Guantanamo działają niezgodnie z prawem.

13 lipca 2006 roku

Kanclerz Angela Merkel i prezydent USA George Bush ponownie rozmawiają o przypadku Kurnaza w Stralsundzie. Równocześnie od miesięcy trwają skomplikowane pertraktacje między przedstawicielami Niemiec i USA, dotyczące jego uwolnienia.

24 sierpnia 2006 roku

Kurnaz zostaje zwolniony z więzienia i przewieziony w kajdanach do bazy lotniczej Ramstein w zachodniej części Niemiec (Nadrenia-Palatynat). Od tej chwili do grudnia 2006 roku jest obserwowany przez kontrwywiad. Nic nie wskazuje na to, by lata spędzone w obozie w towarzystwie więźniów podejrzanych o terroryzm zradykały jego postawę.

5 października 2006 roku

Kurnaz udziela „Sternowi” wywiadu - pierwszego od czasu odzyskania wolności. Przedstawia w nim swój ponadcztero-letni pobyt w Guantanamo. Mówi także o tym, jak znęcali się nad nim w Afganistanie żołnierze elitarniej niemieckiej

jednostki KSK oraz o drugim przesłuchaniu przez niemieckiego urzędnika w Guantanamo. Dociekania „Sterna” potwierdzają wypowiedź Kurnaza. Prokuratura w Bremie umarza dochodzenie przeciwko Kurnazowi, podjęte tuż po jego powrocie do domu. Powodem jest brak dostatecznych dowodów popełnienia przestępstwa.

18 października 2006 roku

Rząd federalny przyznaje, że niemieccy żołnierze elitarniej jednostki KSK mieli w Afganistanie kontakt z uprowadzonym Muratem Kurnazem. Twierdzą jednak, że go nie bili. Ze względu na postawione *zarzuty* Komisja Obrony przy Bundestagu konstituuje się jako komisja śledcza.

19 października 2006 roku

Rząd federalny pod naciskiem opozycji wyraża zgodę na rozszerzenie zakresu działania komisji do spraw służb specjalnych, która ma się też zająć rolą „czerwono-zielonej” koalicji w przypadku Kurnaza.

22 listopada 2006 roku

Murat Kurnaz zeznaje przed komisją śledczą przy Parlamencie Europejskim, badającą działania CIA. Powtarza zarzuty o znęcaniu się nad nim przez dwóch żołnierzy KSK z Bundeswehry, którzy pobili go na początku pobytu w więzieniu w afgańskim Kandaharze.

14 grudnia 2006 roku

Relacja „Sterna” pokazuje, jak „czerwono-zielona” koalicja rządowa zablokowała wcześniejszy powrót Kurnaza z Guantanamo. Po raz pierwszy

wyraźnie widać rolę obecnego ministra spraw zagranicznych Steinmeiera (wcześniej szefa Urzędu Kanclerskiego), szefa Służby Wywiadowczej Uhlaua 264 (dawnego koordynatora służb specjalnych) oraz sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (dawnego szefa BND).

8 stycznia 2007 roku

Prokuratura w Tybindze wszczyna dochodzenie przeciwko dwóm żołnierzom elitarniej jednostki KSK, oskarżanym o niebezpieczne uszkodzenie ciała Kurnaza.

17/18 stycznia 2007 roku

Murat Kurnaz zeznaje przed komisjami niemieckiego Bundestagu. Komisja Obrony ma wyjaśnić, czy żołnierze KSK się nad nim znęcali. Komisja śledcza do zbadania działań BND sprawdza między innymi „jakie starania podjął rząd federalny w sprawie Murata Kurnaza, aby nieść mu pomoc i uzyskać jego uwolnienie. Na szczególnie dokładne wyjaśnienie zasługuje, czy i jakie oferty składała strona amerykańska w kwestii jego uwolnienia oraz czy strona niemiecka je odrzucała, czy z nich nie korzystała, a jeśli tak, to z jakich powodów. Należy wyjaśnić, które urzędy federalne brały udział w podejmowaniu takich decyzji i kto ponosi za nie odpowiedzialność”. Wielu posłów było wyraźnie wstrząśniętych obrazem obozu w Guantanamo.

18 stycznia 2007 roku

Program telewizji ARD „Monitor” ujawnia, że jeszcze w październiku 2005 roku rząd federalny chciał przeszkodzić Kurnazowi w powrocie do Niemiec. W następnych tygodniach „Suddeutsche Zeitung” i „Stern” publikują kolejne szczegóły tej sprawy, co wpędza w kłopoty ministra

spraw zagranicznych Steinmeiera.

23 stycznia 2007 roku

Specjalna komisja Parlamentu Europejskiego badająca działania CIA przedstawia raport końcowy ze swoich prac.

Zawiera on informacje o torturowaniu Murata Kurnaza oraz jego dwukrotnych przesłuchaniach przez Niemców w latach 2002 i 2004. Raport stwierdza, że „służby specjalne Stanów Zjednoczonych i Niemiec już w roku 2002 doszły do wniosku, że Murat Kurnaz nie miał żadnych związków z Al-Kaidą i z talibami oraz że nie stanowi żadnego zagrożenia terrorystycznego”. Sensację wywołuje stwierdzenie: „Według poufnych urzędowych informacji rząd niemiecki nie przyjął w 2002 roku amerykańskiej propozycji wypuszczenia Murata Kurnaza z Guantanamo”.

24 stycznia 2007 roku

Minister spraw zagranicznych zajmuje stanowisko w sprawie przypadku Murata Kurnaza: „Istnieją podstawy do przypuszczeń, że Kurnaz udał się do Pakistanu, by stamtąd wspierać talibów i walczyć przeciwko USA”. Jest to początek kampanii zniesławiającej, w której biorą też udział były kanclerz Gerhard Schröder oraz były minister spraw wewnętrznych Otto Schily, którzy w wywiadach ponownie formułują wobec Murata Kurnaza dawno wyjaśnione zarzuty. Powoduje to ponowne publiczne napiętnowanie Kurnaza jako człowieka „niebezpiecznego”. Najwyraźniej ma to usprawiedliwić decyzję z 2002 roku o nieskorzystaniu z oferty USA i przypieczętowanie tym samym dalszego losu Murata Kurnaza.

Ludzie, którzy zostali poddani torturom, nie mają łatwo w czasach, w których walka z terroryzmem przeradza się w walkę z zasadami państwa prawa. Źle się mają zwłaszcza te ofiary tortur, które są muzułmanami, posiadają turecki paszport i noszą długą brodę, znak swojej wiary i chęci przetrwania. Szczególnie trudno im jest, gdy to, co mówią, demaskuje polityków najwyższych szczebli, szefów służb specjalnych czy generałów.

Może się wówczas zdarzyć, że ofiary tortur, choć latami były dręczone i upokarzane, raz jeszcze przechodzą gehennę we własnym kraju. Stają się bowiem przedmiotem kampanii kłamstw i półprawd, na własnej skórze odczuwając, jaka jest siła resentymentów, do których tak często odwołują się politycy. Heinrich Böll pisał w 1974 roku, przy okazji wydania powieści *Utracona cześć Katarzyny Blum*: „Przemoc zadawana słowami jest czasami gorsza niż bicie w twarz, gorsza niż karabiny”.

24 sierpnia 2006 roku Murat Kurnaz powrócił z obozu w Guantanamo do Niemiec, a sześć tygodni później po raz pierwszy opowiedział „Sternowi” o tym, co go spotkało w ciągu minionych pięciu lat. Izolatki, elektrowstrząsy, pozbawianie snu -wszystko to były „ekscesy w wojnie z terroryzmem” George'a Busha. To był mocny materiał: przedstawiał system działania Guantanamo i zaprogramowane łamanie pozbawionych jakichkolwiek praw ludzi. Na polu polityki wewnętrznej również był to materiał wybuchowy: niemieccy żołnierze elitarniej jednostki, wyznał Kurnaz, znęcali się nad nim w Afganistanie, a

przedstawiciele służb specjalnych, wiedząc, jak jest traktowany, cynicznie go wykorzystywali.

Czy można było ufać Muratowi Kurnazowi? Wielu tego nie potrafiło.

Zeznania dwudziestoczterolatka z Bremy, które w tej książce wydatnie poszerza, zgadzają się w najdrobniejszych szczegółach ze wszystkim, co znalazło się w obszernym zbiorze dokumentów i relacji na temat Guantanamo. Byli więźniowie brytyjscy i dawni żołnierze amerykańscy opowiadali o grupach bojówkarzy i policji wojskowej w obozie Delta, którego istnieniu Pentagon przez długi czas zaprzeczał. Były kapelan wojskowy i dawni eksperci od przesłuchań opisywali przypadki systematycznego bezczeszczenia Koranu przez strażników oraz seksualnego upokarzania więźniów przez służące w amerykańskiej armii kobiety. Przedstawiciele FBI w wewnętrznych notatkach relacjonowali, jak skuci więźniowie godzinami wyczekiwali zamknięci w kontenerach przeznaczonych do przesłuchań albo jak aresztantowi noszącemu długą brodę oklejano głowę klejącą taśmą do pakowania. Organizacje obrony praw człowieka i praw obywatelskich starały się - głównie na drodze prawnej - o ujawnienie kolejnych szczegółów.

Jeśli ktoś potrafi sobie wyobrazić choćby niektóre sceny opisane w tej książce przez Murata Kurnaza, jeśli potrafi ujrzeć je jako gotowe fotografie, a potem wybierze z nich to, co najgorsze, to zobaczy w Guantanamo obrazy z Abu Ghraib. Nie ma drugiego tak dokładnego opisu Guantanamo z perspektywy więźnia jak relacja Murata Kurnaza.

Można Kurnazowi wierzyć. Ale wielu wierzyć mu nie chce.

Jako ofiara tortur Kurnaz dwa razy odpowiadał przed jawnymi komisjami parlamentarnymi w Berlinie i w Bruksel-

li, a słuchający go politycy wydawali się bardzo poruszeni. Ale nieco później znowu został zepchnięty w stronę talibów i terrorystów. Tytuły prasowe krzyczały: „Kurnaz, domniemany terrorysta, występuje obecnie w roli ofiary” czy „Jak Turek Kurnaz stał się radykalnym muzułmaninem” albo „Jak niebezpieczny był naprawdę talib z Bremy?”

I nie chodziło tu bynajmniej o zarzuty torturowania podnoszone przeciwko Amerykanom - nie: podawano w wątpliwość przede wszystkim te wypowiedzi, które obciążały niemiecki rząd federalny i Bundeswehrę. Czy to możliwe, by nad Kurnazem rzeczywiście znęcali się członkowie elitarniej jednostki KSK w amerykańskiej tajnej bazie lotniczej w af-kańskim Kandaharze? Przecież KSK w ogóle nie stacjonowała wtedy w Afganistanie - twierdzili w mediach anonimowi przedstawiciele armii.

Nasze badania oraz tajne dokumenty potwierdzają jednak, że w określonym przez Kurnaza terminie żołnierze KSK rzeczywiście przebywali w Afganistanie. Ministerstwo Obrony podaje, że Komisja Obrony ukonstytuowała się jako komisja śledcza, a w Berlinie przyznano w tym czasie nawet, że żołnierze KSK odbywali wtedy służbę w tajnym obozie w Kandaharze. Wśród dziesiątek fotografii pokazywanych mu przez prokuratora z Tybingi Murat Kurnaz rozpoznał twarz jednego żołnierza. Jednego z dwóch, którzy wcześniej zeznali przed prokuratorem, że spotkali w obozie Turka z Bremy. Żaden z nich nie przyznał się jednak do stosowania wobec niego przemocy. Kurnaz opisuje w tej książce ich kolejne wykroczenie służbowe: żołnierz KSK celował z broni do więźniów, żeby zademonstrować amerykańskim kolegom laserowe urządzenie naprowadzające.

Historia Murata Kurnaza nie obciąża jednak tylko kilku podoficerów i ich zwierzchników. Wyjaśnień należy oczekiwać również od tych, którzy zdecydowali, że młody człowiek

z Bremy-Hemelingen ma gnić w Guantanamo, podczas gdy Pentagon i CIA już we wrześniu 2002 roku sygnalizowały, że niewinny więzień z Niemiec może wyjść na wolność. Decyzja ta zapadła w wąskim gronie podczas tak zwanej „rundy prezydenckiej”, czyli cotygodniowej tajnej narady szefów służb specjalnych na siódmym piętrze budynku Urzędu Kanclerskiego. 29 października 2002 roku na posiedzeniu, któremu przewodniczył dawny szef tego urzędu Frank-Walter Steinmeier, zapadła niekorzystna dla Kurnaza decyzja o zakazie ponownego wjazdu do Niemiec, w razie gdyby wyszedł na wolność. Postanowiono, że jeśli będzie to konieczne, należy przewieźć go z Guantanamo do Turcji. Takie potraktowanie uniemożliwiłoby mu spotkanie z całą zamieszkałą w Niemczech rodziną: rodzicami, braćmi, wujami i ciotkami oraz przyjaciółmi z Bremy. Amerykanie byli zdumieni i oburzeni. Rząd turecki natomiast traktował Kurnaza jako problem czysto niemiecki. Dlatego młody człowiek pozostał w zakratowanej klatce na dodatkowych kilka lat.

Od stycznia 2007 roku przypadek Kurnaza bada komisja śledcza do spraw działania BND, mająca wyjaśnić też kwestie współpracy „czerwono-zielonej” koalicji z rządem USA. Chodzi o brutalne, łamiące prawa człowieka wynaturzenia tak zwanej walki z terroryzmem: uprowadzenia dokonywane przez CIA i tuszowany udział agentów niemieckiego wywiadu w wojnie w Iraku. Nowe dokumenty pokazują, jak dawna koalicja rządowa i aparat

biurokratyczny jeszcze jesienią 2005 roku w perfidny sposób robiły wszystko, by zamknąć Kurnazowi możliwość powrotu do Republiki Federalnej Niemiec. Wywierano nawet naciski na ministra spraw zagranicznych.

W mediach nazwiska odpowiedzialnych za ten stan rzeczy przez długi czas były tematem tabu. Nawet jeśli piętno-270 wano błędy czy niewłaściwe decyzje, nie podawano nazwisk - mówiono więc o „rządzie federalnym” albo „wysokich rangą przedstawicielach administracji rządowej”. Teraz się to zmieniło. W centrum krytyki znajduje się Frank-Walter Steinmeier, który jako politycznie i osobiście bezpośrednio odpowiedzialny piastuje dziś najwyższy urząd z całej tej grupy. Wyjaśnić swój udział w tej sprawie muszą również: obecny sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych August Hanning, wcześniej szef wywiadu (BND), oraz jego następca na tym stanowisku Ernst Uhrlau, dawniej koordynator służb specjalnych w Urzędzie Kanclerskim.

Gdy Murat Kurnaz stanął przed Komisją Berlińską, stał się niebezpieczny dla odpowiedzialnych za tamte decyzje. Minister spraw zagranicznych Steinmeier podjął więc ofensywę: w wywiadach i przekazywanych informacjach zaprzeczał, jakoby w 2002 roku pojawiła się amerykańska propozycja wypuszczenia Kurnaza na wolność, choć świadczą o tym relacje i dokumenty. Minister czuł się niezrozumiany, potraktowany nie fair, a przeciwników nazywał oszczercami. Przede wszystkim okazał się jednak niereformowalny: powiedział, że gdyby miał wybierać drugi raz, zrobiłby dokładnie tak samo. W końcu, stwierdził, po zamachach z 11 września 2001 roku chodziło o utrzymywanie zagrożenia terrorystycznego możliwie daleko od granic Republiki Federalnej Niemiec. I, jego zdaniem, nie odbyło się to

kosztem praw człowieka.

Teraz to Steinmeier stał się zakładnikiem własnych słów. Jako szef Urzędu Kanclerskiego podczas kampanii wyborczej z 2002 roku był współtwórcą ostrych ataków na żądanie wojny George'a Busha, gdy tymczasem służby wywiadowcze, nad którymi sprawował nadzór, chciały wyciągnąć korzyści z ciemnych metod stosowanych przez amerykańskich partnerów. Wyczarterowane przez CIA samoloty wielokrotnie przylatywały do Niemiec i opuszczały ich terytorium, a żaden przedstawiciel niemieckich władz nie spróbował nawet

sprawdzić, czy na ich pokładach nie znajdowali się jacyś uprowadzeni. Kanclerz za największą zasługę poczytywał sobie niemiecki sprzeciw wobec wojny w Iraku, a rozsierdzony George Bush nie przekazał Gerhardowi Schroderowi w wyborczy wieczór gratulacji. Niemieccy wysłannicy znaleźli się w Guantanamo dopiero kilka godzin po wyborach. Przesłuchali Kurnaza i jeszcze jednego więźnia obozu, któremu od dawna towarzyszyła ponura sława miejsca wyjętego spod prawa. Zameldowali też od razu przełożonym, że Kurnaz jest zupełnie nieszkodliwy. Ci jednak nie chcieli go widzieć w Niemczech - przynajmniej tak długo, jak długo nie posiadał niemieckiego obywatelstwa. Nie przeszkodziło to jednak szefowi Urzędu Kanclerskiego zarządzić ponowne przesłuchanie, tym razem przez przedstawicieli BKA, nie *przez* wywiad.

W Guantanamo można było przetrzymywać Kurnaza bez konieczności przydzielenia mu obrońcy, zbadania podstaw aresztowania, zażaleń na areszt czy ustalania terminów procesów. Po co w takim razie ryzykować jego powrót do kraju? Prokurator generalny w Niemczech odmówił przecież

przejęcia postępowania procesowego, a prokurator z Bremy musiałby nawet w przypadku oskarżenia liczyć się z uniewinnieniem Kurnaza ze względu na brak dowodów. Politycy berlińscy nie postępowali wiele rozsądniej niż waszyngtońscy: w walce z rzekomym złem gotowi byli częściowo poświęcić zasady państwa prawa, postanowienia Konwencji Genewskiej - oraz nieco człowieczeństwa. Gdy w 2002 roku odbywała się „runda prezydencka”, na której zdecydowano o przyszłości Kurnaza, powszechnie wiadomo już było, że w Guantanamo odbywają się strajki głodowe, mają miejsce liczne próby samobójcze, stosuje się tortury psychiczne oraz że w Afganistanie Amerykanie torturują więźniów. Wiedział 272 o tym każdy, kto miał oczy do patrzenia i uszy do słuchania.

Gdyby politycy poważnie traktowali werbalne ataki skierowane przeciwko Bushowi, Steinmeier i spółka postępowaliby tak jak Francuzi, Duńczycy, Szwedzi, Belgowie, Brytyjczycy, Afgańczycy, Pakistańczycy czy Saudyjczycy: pertraktowaliby z Amerykanami, aby wyciągnąć z Guantanamo swoich obywateli. „Trzeba znaleźć środki i sposoby innego traktowania więźniów” - powiedziała Angela Merkel, bez której osobistego zaangażowania Murat Kurnaz gnąłby zapewne w Guantanamo do dzisiaj. Prokurator Bremy, Uwe Pickard, zajmujący się przez lata przypadkiem Murata Kurnaza, podkreślił w rozmowie z posłami z komisji badającej działania wywiadu: „Gdyby Kurnaz miał cokolwiek na sumieniu, należałoby go przykładowo osądzić. Ale bez sędziów, bez obrońcy, w obozie dla więźniów - tego zaakceptować nie mogę. To nie ma nic wspólnego z państwem prawa”. Wśród więźniów, którzy wyszli na wolność przed Kurnazem, byli ekstremiści islamscy oraz bojownicy z Bośni i Czeczenii, szkoleni w obozach Al-Kaidy i walczący w Afganistanie przeciwko

Amerykanom. Niektórzy z wypuszczonych po procesie odsiadywali wyrok w więzieniu w swoim kraju. Tam mieli jednak szansę na warunki, jakie zapewnia normalne praworządne państwo.

I choć Murat Kurnaz jest rodowitym bremeńczykiem, pozwolono go przetrzymywać w Guantanamo. W ostatnim czasie szef kontrwywiadu federalnego Heinz Fromm bronił przed komisją badającą działania wywiadu zakazu jego powrotu do kraju. Charakterystyczne są jego słowa: „Musieliśmy się zastanowić, czy może powstać zagrożenie w sensie aktów przemocy. Nie można całkowicie wykluczyć, że [Kurnaz] podjął podróż w innym celu niż ten, o którym mówił. Tego jednak nie wiedzieliśmy”. W tej książce Kurnaz opisuje, w jaki sposób chciał pogłębić swoją wiedzę na temat Koranu i co przeżył podczas podróży.

Ofiary tortur nie mają łatwo w naszych czasach. Od końca stycznia trwa oszczercza kampania, której celem jest usprawiedliwienie *postfactum* bezdusznej decyzji władz. Politycy i ich pomocnicy wysuwają wobec młodego bremeńczyka podejrzenia o zamachy, o działania terrorystyczne, o stwarzanie zagrożenia. Na zimno i z wyrachowaniem podnoszą od nowa zarzuty, których strona amerykańska nie była w stanie dowieść po kilku latach śledztwa i przesłuchań. Posłowie do Bundestagu oraz dziennikarze w przerwach między posiedzeniami pokpiwają sobie z długiej brody Murata i cieszą się, że takie „kudły” u wielu ludzi wywołują zdziwienie. Politycy wybierają spośród tysięcy akt i notatek akurat te, które w jakiś sposób mogłyby obciążać Kurnaza. Przemilczają wszelkie oczyszczające go poszlaki. Cytują zeznania świadków dawno przez nich samych wycofane. Plotki i podejrzenia przedstawiają jako fakty. W ten sposób spodnie bojówki do kolan, które Murat Kurnaz kupił przed podróżą do Pakistanu, stały się

„spodniami wojskowymi”, a mała lornetka - urządzeniem noktowizyjnym. Kupił buty na grubej podeszwie - no a jakie miał kupić, jadąc do kraju takich bezdroży jak Pakistan?

I czego tam właściwie szukał tak krótko po zamachach z 11 września? Chciał lepiej poznać Koran? Chyba tylko głupi by mu uwierzył! Z kolei jakiś informator komórki kontrwywiadu w Bremie 25 stycznia 2002 roku stwierdził: Kurnaz powiedział podobno przez telefon, że niedługo uda się do Afganistanu, by walczyć po stronie talibów. Informator usłyszał rozmowę na temat takiego telefonu w meczecie po piątkowej modlitwie. Same rozmowy telefoniczne miały mieć miejsce trzy miesiące wcześniej. Rozmawiać mieli przebywający w Pakistanie Kurnaz i jeden z prowadzących modły w meczecie.

Ten ostatni został wówczas przesłuchany przez policję. W protokole z przesłuchania nie ma mowy o żadnych telefonach.

Inny informator twierdził, że ktoś podobno coś słyszał przed trzema miesiącami - i na podstawie tego szef bremeń-skiego kontrwywiadu napisał niemal cztery lata później, 25 grudnia 2005 roku, notatkę: „Po przyjeździe do Pakistanu Murat Kurnaz czynnie wspomagał walki talibów/Al-Kaidę w Afganistanie”. Przed uprowadzeniem do Kandaharu przez żołnierzy amerykańskich Kurnaz nigdy w Afganistanie nie był. A szefowi kontrwywiadu w Bremie chodziło o utrudnienie temu młodemu człowiekowi ewentualnego powrotu do Niemiec.

Mimo to politycy przedstawiają go jako rzeczywiste zagrożenie. Minister spraw zagranicznych Steinmeier mówi o przypadku Kurnaza: „Musimy liczyć się z zamachami również u nas i musimy zrobić wszystko, by im zapobiec”. Były kanclerz Gerhard Schroder, który według własnych słów nie

zajmował się sprawą Kurnaza podczas swojego urzędowania, twierdzi: „Pan Kurnaz najwyraźniej poszukiwał kontaktu z is-lamistami w Pakistanie”. Były minister spraw wewnętrznych Otto Schily określa młodego bremeńczyka jako „niewiarygodnego” - „szczególnie wiarygodni świadkowie twierdzili, że wybierał się do Afganistanu. Wyobraźcie sobie państwo, że wpuścilibyśmy go z powrotem do Niemiec, a on przygotowałby tu zamach”. Schily rozpowszechnia informację, że Kurnaz, wyjeżdżając z Niemiec 3 października 2001 roku, nie posiadał biletu powrotnego - podczas gdy Kurnaz posiadał taki bilet, ważny przez dziewięćdziesiąt dni. Gdy policjanci pakistańscy zatrzymali go 1 grudnia 2001 roku, miał ze sobą torby wypełnione prezentami dla rodziny.

Przemoc zadawana słowami jest czasami gorsza niż uderzenie w twarz lub karabiny. Urodzony w Bremie, tu wychowany, mający tutaj cały swój świat i z Bremą wiążący swą przyszłość młody i w pełni zintegrowany Turek staje się więc źle widzianym outsiderem. Zarazem - nie z własnej woli - staje się bohaterem tych, przed którymi siły bezpieczeństwa słusznie nas ostrzegają.

Torturowany Murat Kurnaz odpowiada ta książka. Przedstawia historię, jakiej dotąd nie znaliśmy. Pokazuje życie zasymilowanej tureckiej rodziny w Niemczech i dążenie młodego człowieka do czegoś innego. Przede wszystkim jednak Murat Kurnaz opisuje Guantanamo, jakie zna z własnego doświadczenia. Takie, które istnieje, by łamać podejrzanych o stosowanie terroru, by wyciągać z nich informacje, których wielu z nich nie posiada. Opisuje współdziałanie lekarzy z przesłuchującymi, którym pozwala się na metody prowadzące do strasznych rzeczy. Opisuje, jak reagowali więźniowie, gdy trzech spośród nich zmarli w swoich celach. I w jaki sposób

organizowali opór przeciwko amerykańskim oprawcom.

Kto nie czuje tego bólu?

Ta książka to opowieść Murata. Opowieść piętnująca dręczycieli i wszystkich, którzy im pomagają i z nimi współpracują.

Uli Rauss / Oliver Schrom* marzec 2007